

53

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

styczeń – marzec 2020



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Anna Gorejowska, „Księżyc na Pietrusińskiego”

styczeń – marzec 2020

SŁOWO OD REDAKCJIBogdan Knop, *Przepowiadanie* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: styczeń-marzec 2020 r.* 4Bogdan Knop, *Wieczór z Galerią w „Iluzji”* 6**LAURÓW WIENIEC**Redakcja, *Pasja na wagę złota* 7Janusz Jano Mielczarek, Elżbieta Jolanta Gola, *Z teatrem w sercu* 9**ROZMYŚLANIA ZBISŁAWA JANIKOWSKIEGO**Zbysław Janikowski, *Wizyta c.d., Rozmyślania śmieciowe... i pieskie* 11**POEZJA**Bogdan Knop, *Melancholia* 13Janusz Strojec, *Mysłokształty* 14Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *To nic* 17Anna Jędryka, *Pory roku* 19Zdzisław Opałko, *Słowo o puszczy* 21Maciej Rudlicki, *Jedenaste przykazanie* 22**WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI**Arkadiusz Frania, *O wierszach Janusza Strojca.**Spostrzeżenia i przypuszczenia* 23**PRZEKŁADY**Guntis Berelis, *Juris Kronbergs* 32Juris Kronbergs, *Viļks vienācis*, wybór i przekład Olga Anna Wiewióra .. 35**PROZA DEBIUT***Inspiracje i fascynacje. Z Jackiem Szczerbakiem**rozmawia Ida Jadwiga Łubińska* 41Jacek Szczerbak, *Lisi czar – bajka z dalekiego Maranu* 42**PROZA**Ida Jadwiga Łubińska, *Józef frasobliwy* 55**CONVERSATIO**Tomasz „Aztenty” Barański, *Gniewny prorok czy filozof –**– a może po prostu artysta?* 60**NA SZTALUGACH**Anna Gorejowska, *Mysłokształty* 67

styczeń – marzec 2020

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Tadeusz Luterek, <i>Niecodzienne sny szczęśliwca, czyli artystyczne „prestigitacje”</i> <i>Janusza Jano Mielczarka</i>	69
Ryszard Wytrych, <i>Konie Janusza Mielczarka</i>	73
Roman Wyborski, <i>Marzyć 5 listopada u Dudy-Gracza</i>	75
Maciej Rudlicki, <i>Czy miłość jest sztuką?</i>	78

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Szczęście</i>	83
--	----

Z PODRÓŻY

Joanna Grygiel, <i>Opowieści katalońskie</i>	91
--	----

HISTORIA W GALERII

Jarosław Kapsa, <i>Pekin</i>	100
------------------------------------	-----

NOTY O KSIĄŻKACH

Noty o książkach

Zbysław Janikowski, <i>Moja Częstochowa w PRL, mój PRL w Częstochowie.</i> <i>Tylko dla cierpliwych</i>	116
Janusz Jano Mielczarek, <i>Motocykl Pana Kafki</i>	116
Tadeusz Luterek, <i>40 i 4 rymowanki dla Adama</i>	116
Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, <i>Zbudzić się przed zaśnięciem</i>	117
Jacek Gierasinski, <i>Nic tak szybko w życiu nie umiera, jak wiersze</i>	117
<i>Turniej jednego opowiadania. Antologia</i>	117

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, <i>Aktualności</i>	119
--	-----

NOTY O AUTORACH

Janusz Strojec	16
Guntis Berelis	34
Jacek Szczerbak	54
Anna Gorejowska	68

SPROSTOWANIE

Informuję Państwa, że wydawcą książki Zbysława Janikowskiego *Moja Częstochowa w PRL, mój PRL w Częstochowie. Tylko dla cierpliwych* jest Drukarnia „Garmond” Krzysztofa Kubary.

Autora, Wydawcę i Czytelników przepraszam za pomyłkę!

Barbara Strzelbicka

Na okładce: Anna Gorejowska, „Zapomniane dźwięki”

PRZEPOWIADANIE

Jeszcze kilka tygodni temu opisanie numeru 53 Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” byłoby zajęciem rutynowym, pozbawionym emocji, choć niepozbawionym nadziei. Ucieszyłbym się razem z czytelnikami informacją o przyznanej przez Miasto dotacji na wydawanie naszego kwartalnika w 2020 r. Dotacji nieco mniejszej, co w ogólnie trudnej sytuacji finansów samorządowych dziwić nie może, ale przecież wystarczającej nam do wydania trzech numerów czasopisma. Chętnie opisałbym nasze plany tegoroczne – wydawnicze i organizacyjne. Wspomniałbym o liftingu graficznym okładki „Galerii” i innych jeszcze zamiarach na przyszłość.

Ale oto przyszłość zamajaczyła przed nami w sposób nieoczekiwany, zaskakujący i groźny. Wirus. Koronawirus u bram.

Nie jest moją rolą wypowiadać się na tych łamach o aspektach medycznych, społecznych czy socjologicznych epidemii przetaczającej się przez świat niczym śnieżna kula. Mogę wspomnieć tylko o aspektach literackich. O tym choćby, że *Dżuma* Alberta Camusa stała się naraz powieścią poszukiwaną i na powrót czytaną. Że oto tytuł powieści innego autora – Gabriela Garcii Marqueza – *Miłość w czasach zarazy* nabrał złowrogiej aktualności.

Nie znamy przyszłości, a wszelkie przepowiadanie jest obarczone ryzykiem nie tylko nietrafności, ale wręcz śmieszności. Dzisiejsze troski nieraz usuwają się na bok w obliczu nieoczekiwanych wyzwań. I to co pozwala nam wytrwać, to nadzieja. Czasem ledwie się tłąca, by wybuchnąć z niezwykłą mocą. Więc miejmy nadzieję wbrew przepowiedniom i czarnym scenariuszom.

Numer 53 „Galerii” jest wyjątkowo różnorodny. Wiele miejsca zajmuje prezentacja sylwetek twórców i ludzi kultury. Janusz Strojec debiutuje u nas wierszami

inspirowanymi obrazami Anny Gorejowskiej, a wszystko wzięło początek od krytycznego opracowania Arkadiusza Frani. Prozatorski debiut Jacka Szczerbaka wprowadza Ida Jadwiga Łubińska, również autorka opowiadania. Olga Anna Wiewióra przedstawia wiersze łotewskiego poety Jurisa Kronbergsa w swoim przekładzie oraz tekst krytyczny Guntisa Berelisa. Tadeusz Luterek i Ryszard Wytrych biorą na warsztat literacką twórczość Janusza Jano Mielczarka. Fascynacją dokonania twórczymi Zbigniewa Warpechowskiego dzieli się Tomasz „Aztenty” Barański. W związku z uhonorowaniem ich zasług, prezentujemy sylwetki Zbigniewa Biernackiego (Redakcja) oraz Wojciecha Kowalskiego (Janusz Jano Mielczarek i Elżbieta Jolanta Gola).

Nasi autorzy piszą o wszystkim: o podróżach (Joanna Grygiel), o szczęściu (Małgorzata Nowakowska-Karczewska), o miłości (Maciej Rudlicki), o czasie (Zbysław Janikowski), krytycznej ocenie poddają wydarzenia kulturalne (Roman Wyborski), a Jarosław Kapsa pisze o... Pekinie. Pojawiają się wątki aktualne w wierszach Jana Ciesielskiego, Macieja Rudlickiego, Zdzisława Opalki oraz refleksyjne, podejmowane przez Elżbietę Jeziorowską-Wróbel, Annę Jędrykę i rzadko bywającego lirykiem Bogdana Knopa.

Z przyczyn losowych zrezygnowaliśmy z kroniki wydarzeń kulturalnych – jedynym wyjątkiem jest Wieczór z Galerią.

Z radością odnotowujemy, że w „Twórczości” 1/2020 ukazały się opowiadania Aleksandry Keller *Homo germanicus* oraz Janusza Jano Mielczarka *Bóg da mi konie*. Gratulujemy!

Pozostajemy z nadzieją, że kolejny numer „Galerii” nie będzie wywoływał asocjacji z *Dziennikiem roku zarazy* Daniela Defoe ani z Herbertowskim *Raportem z oblężonego Miasta*. Troszczymy się o siebie samych i o siebie nawzajem!

Bogdan Knop

KALENDARIUM styczeń – marzec 2020



STYCZEŃ

- 15.01. – Szopka Noworoczna Zbysława Janikowskiego – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 16.01. – wernisaż wystawy Aleksandry Rybak „Mała i duża forma rzeźbiarska” – Miejska Galeria Sztuki;
- 17.01. – pokaz filmu „Częstochowa lata 1939-1945 – II wojna światowa” – ACK Politechniki Częstochowskiej;
- 23.01. – Wieczór z Galerią: zakończenie obchodów 20. rocznicy śmierci Władysława Lecha Terleckiego i projekcja filmu „Gwiazda Piołun”, promocja „Galerii” 52 – OKF „Iluzja”;
- 25.01. – wernisaż wystawy „Myślokształty” Anny Gorejowskiej – OPK „Gaude Mater”;
- 25.01. – spotkanie na wystawie „Szopki krakowskie z Muzeum Krakowa”, współorganizator: Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 26.01. – wprowadzenie kuratorskie i spotkanie z Agnieszką Ciuk-Koćwin na wystawie „Szopki krakowskie z Muzeum Krakowa” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 28.01. – wernisaż wystawy Jacka Niewiadomskiego „Indianer” – OPK „Gaude Mater”;

- 29.01. – promocja tomu *Wertica Pistis* Katarzyny Zwolskiej-Płusy – OPK „Gaude Mater”;
- 29.01. – zmarł Marek Mszycza, malarz;
- 30.01. – wieczór muzyczny poświęcony pamięci Małgorzaty Sętowskiej, recital Zdzisława Sierpińskiego – ROK;
- 30.01. – Turniej Jednego Wiersza – Café Belg;
- 31.01. – finisaż wystawy „Realizm, a zmysły mamy” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 31.01. – Literacki Piątek: promocja książki *Kortyzol* Przemysława Guldy – OPK „Gaude Mater”.

LUTY

- 3.02. – otwarcie wystawy fotograficznej Altei Leszczyńskiej „Uchwycone chwile” – ROK;
- 6.02. – zmarł Romuald Lipko, muzyk;
- 7.02. – spotkanie poetyckie z Patrykiem Kosendą – OPK „Gaude Mater”;
- 7.02. – wernisaż wystawy Witolda Stelmachniewicza „News FOR Lulu” – Konduktorownia;
- 8.02. – wernisaż wystawy rzeźby Michała Szumlasa „Dezoksyrybonukleina” – OPK „Gaude Mater”;
- 8.02. – premiera filmu „Najpiękniejsza” Marii Magdaleny Jeziorowskiej – MDK;

- 13.02.** – wernisaż wystawy malarstwa Izabeli Kity „Koncert” – Filharmonia Częstochowska;
- 15.02.** – wernisaż wystawy malarstwa Wojciech Szybista „Pośród rzeczy” – OPK „Gaude Mater”;
- 16.02.** – zmarł Jerzy Gruza, reżyser;
- 18.02.** – wernisaż wystawy Marty Dunał „Nad powierzchnią” – OPK „Gaude Mater”;
- 21.02.** – Literacki Piątek: Adrian Bednarek *Córeczki* – OPK „Gaude Mater”;
- 21.02.** – wernisaż wystawy fotografii „Excellence FIAP Polska” – Galeria pod Arkadami;
- 22.02.** – koncert muzyki kameralnej w ramach II Konkursu Skrzypcowego Muzyki Polskiej im. Wandy Wiłkomirskiej – ROK;
- 25.02.** – otwarcie wystawy malarstwa słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku działającego przy Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie – ROK;
- 26.02.** – „Artur Grottger – malarz powstania styczniowego 1863-1864” – wykład dr. J. Sętowskiego – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 27.02.** – zmarł Paweł Królikowski, aktor;
- 27.02.** – Turniej Jednego Wiersza – Café Belg.
- 3.03.** – Dzień Pisarza;
- 3.03.** – wernisaż wystawy malarstwa „Co kobiety zmalowały” – MDK;
- 5.03.** – wernisaż wystawy „Architektura Roku Województwa Śląskiego 2019” – SARP;
- 6.03.** – wernisaż wystawy zbiorowej Stowarzyszenia Plastyków im. J. Dudy-Gracza – OPK „Gaude Mater”;
- 8.03.** – „Częstochowa jest kobietą” – finisaż wystawy XXXII Pleneru Miejskiego – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 8.03.** – wernisaż ósmej edycji wystawy „8 Kobiet” – Konduktorownia;
- 9.03.** – zmarł Max von Sydow, aktor;
- 12.03.** – ogłoszenie stanu zagrożenia epidemią koronawirusa w Polsce; odwołanie wszystkich wydarzeń kulturalnych;
- 16.03.** – zmarła Wilma Duda-Gracz;
- 18.03.** – zmarł Emil Karewicz, aktor;
- 19.03.** – otwarcie wirtualnych wystaw: „Drzewa – milczące piękno” – 45. Ogólnopolski Plener Malarski „Jurajska Jesień” i „Dzień dobry, pani Gauguin. Między skrajnościami. Obrazy Grzegorza Bednarskiego” – Miejska Galeria Sztuki;
- 19.03.** – zmarła Kazimiera Zdzisława Szymańska, literaturoznawczyni;
- 20.03.** – ogłoszenie stanu epidemii w Polsce;
- 24.03.** – wirtualny wernisaż wystawy „Terra recognita 2020” – Muzeum Częstochowskie;
- 27.03.** – Międzynarodowy Dzień Teatru;
- 29.03.** – zmarł Krzysztof Penderecki, wybitny kompozytor i dyrygent.

Barbara Strzelbicka

MARZEC

- 1.03.** – II Konkurs Skrzypcowy Muzyki Polskiej im. Wandy Wiłkomirskiej w Częstochowie: Wykład Kazimierza Skowronka: „Wanda Wiłkomirska – Maestra”, Koncert Laureatów – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 2.03.** – wernisaż wystawy Magdaleny Kmiecik „Fotografie z Tajwanu” – ROK;

Bogdan Knop

WIECZÓR Z GALERIĄ W „ILUZJI”

WIECZÓR
Z GALERIĄ

Styczniowy Wieczór z Galerią był inny niż poprzednie nie dlatego, że „Galeria” się zmieniała – skądże, to wciąż ta sama nasza „Galeria” ukryta pod numerem 52 – za to okoliczności były nietypowe. Promocja miała miejsce w sali Kina Studyjnego OKF „Iluzja”, na piętrze Miejskiej Galerii Sztuki w III Alei, w czwartek 23 stycznia, o 16³⁰.

A wszystko dlatego, że zamykaliśmy obchody rocznicowe poświęcone pamięci Władysława Terleckiego, których głównym punktem było Ogólnopolskie Seminarium Naukowe *Wokół twórczości Władysława Lecha Terleckiego. W dwudziestą rocznicę śmierci pisarza* (22 listopada 2019 r.). Przypomnijmy, iż jego organizatorami byli: Częstochowski Oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Muzeum Częstochowskie, Instytut Literaturoznawstwa Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie oraz Towarzystwo Galeria Literacka, które porozumiało się z Ośrodkiem Kultury Filmowej w sprawie wyświetlenia filmu „Gwiazda Piołun”. Obraz został zrealizowany przez Henryka Klubę w 1988 r. na podstawie scenariusza Władysława Terleckiego, który pisarz stworzył w oparciu o własną powieść o tym samym tytule, wydaną po raz pierwszy w 1968 r. Towarzystwo opłaciło licencję za wyświetlenie filmu, zaś OKF zajął się sprowadzeniem kopii i wszelkimi czynnościami technicznymi.

Przed projekcją w sali kinowej o filmie, scenarzyście, reżyserze i innych okolicznościach rozmawiali: dr Elżbieta Wróbel, Bogdan Knop oraz Tadeusz Piersiak. Okazało się, że oprócz kontekstu związanego z osobą Władysława Terleckiego, film ma również kontekst historyczny – to ten tytuł właśnie przed z górą 30 laty zainaugurował działalność OKF w Częstochowie! Zaś scenarzysta i reżyser byli absolwentami tego samego Liceum Ogólnokształcącego im. R. Traugutta w Częstochowie. Sam nr 52 „Galerii”, promowany tego wieczoru, w dużej części został poświęcony Władysławowi Terleckiemu, tu zostało zamieszczone sprawozdanie z seminarium oraz część tekstów na nim wygłoszonych.

Warto zwrócić uwagę na dwa aspekty wydarzenia. Pierwszy to bardzo dobra frekwencja na pokazie. A drugi to zaskakująca aktualność filmu – nie tematyczna (choć i ta po części), a artystyczna – tak jakbyśmy oglądali dzieło nakręcone całkiem niedawno. Dzieło przy tym wysmakowane i przejmujące. Seans był ujęty w repertuarze kina i dostępny dla publiczności, zatem na spotkanie licznie przybyli widzowie, wśród nich byli autorzy, związani z „Galerią” oraz wielbiciele pisarstwa Terleckiego, a także zainteresowani postacią Stanisława Ignacego Witkiewicza, bohatera filmu.

Kto nie był, niech żałuje.

Na koniec podziękowania. Pani Iwonie Kwincińskiej, kierownik Kina Studyjnego OKF „Iluzja” bardzo dziękujemy za pomoc w przeprowadzeniu zamierzenia i jego perfekcyjnie zrealizowanie. Prelegentom – dr Elżbiecie Wróbel i Tadeuszowi Piersiakowi za ciekawe i trafne wystąpienia. Członkom Towarzystwa za wsparcie, wszystkim obecnym za udział.

PASJA NA WAGĘ ZŁOTA

Zbigniew Biernacki – częstochowski księgarz i antykwariusz, który w styczniu b.r. został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, jest człowiekiem wielu pasji, którym poświęca się bez reszty. Krzyż Zasługi jest nagrodą dla osób, które położyły zasługi dla Państwa lub obywateli, spełniając czyny przekraczające zakres ich zwykłych obowiązków, a przynoszące znaczną korzyść Państwu lub obywatelom. Może być nadany także za ofiarną działalność publiczną, ofiarne niesienie pomocy oraz działalność charytatywną.

Laureat urodził się w rodzinie o tradycjach patriotycznych: dziadek walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, ojciec był żołnierzem Armii Krajowej. Zawodowo pracował jako mechanik, zaś hobbystycznie był speleologiem i członkiem zręczajnym („taternik jaskiniowy”) Speleoklubu PTTK w Częstochowie w latach 1961-1990; odkrył i opisał wiele obiektów (jaskiń, przejść wspinaczkowych, schronisk), redagował lokalne czasopismo specjalistyczne „Aven”, wychodzące w latach 1966-1977. Jego pseudonimem została nazwana jedna z sal Jaskini Wszystkich Świętych w Sokolich Górach. W młodości zaczął się także interesować literaturą i książkami. Po prowokacji z udziałem milicji w akcie protestu postanowił wyjechać za granicę, gdzie ciężko pracował, by po czterech latach wrócić i założyć w Częstochowie Antykwarnię-Księgarnię „Niezależna”, którą prowadzi od 1989 r., traktując to jako działalność usługową dla społeczeństwa, nie jest zaś, co podkreśla, służącym klientom. Wydaje oferty książek (5 rocznie, każda zawiera ok. 500 pozycji) i rozsyła je do ok. tysiąca odbiorców, którymi są biblioteki uniwersyteckie, publiczne oraz bibliofile. Zakupów dokonały m.in. Biblioteka Narodowa, Ossolineum, Archiwum na Wawelu; niestety, z ofert nie skorzystały dotąd biblioteki częstochowskie. W celu wzbogacenia warsztatu antykwarycznego bierze systematycznie udział w jarmarkach, targach książki i aukcjach.

Antykwariat Zbigniewa Biernackiego nie jest zwyczajnym sklepem, w którym handluje się książkami. Tu znajduje się imponujący zbiór *czestochovianów*, z którego korzystają zainteresowani historią naszego miasta. Zbiory są udostępniane także za pośrednictwem wydawnictw albumowych, wykonanych pieczołowicie, z dbałością o prawdę historyczną. Szczególną miłością Zbigniew Biernacki darzy stare pocztówki, o których wie niemal wszystko. Wydał 4 książki o Częstochowie: *Częstochowa na dawnej pocztówce* (2000, 2006),



Zbigniew Biernacki,
fotografia ze zbiorów prywatnych

Jasna Góra na dawnej pocztówce (2000), *Ziemia Częstochowska na dawnej pocztówce* (2007), *Region częstochowski jako województwo na dawnej pocztówce (fotografii, drukach, dokumentach, mapach)* (2018). Pokazał w nich i opisał ok. tysiąc widokówek z Częstochowy, Jasnej Góry i okolic miasta. Nie tylko one są obiektem zainteresowania, bo także mapy, fotografie i inne dokumenty, na ostatniej wystawie zaś w Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II zostały zaprezentowane stare modlitewniki: ok. 200 eksponatów, zebranych w ciągu mniej więcej 30 lat, wydanych na całym świecie, z których najstarsze pochodzą z XVIII wieku. Do rąk Zbigniewa Biernackiego trafiły także dwa sztandary z okresu międzywojennego: jeden подарował Jasnej Górze, drugi, związany z częstochowskimi kółkami rolniczymi – Muzeum Rolnictwa.

Posiada następujące uprawnienia:

- Pomocnik instruktora w taternictwie jaskiniowym – uprawnienie nadane przez Polski Związek Alpinizmu;
- Przewodnik po Jurze Krakowsko-Wieluńskiej (od 1975 r.);
- Koncesja Ministra Kultury i Sztuki na obrót dobrami kultury (książki, druki, pocztówki), powstałymi przed 9 maja 1945 r.;
- Biegły sądowy od 2007 r.;
- Rzeczoznawca księgarski od 1998 r.;
- Rzeczoznawca z zakresu księgarstwa w książkach starych (licencja z 2005 r., wydana przez Regionalną Izbę Przemysłowo-Handlową w Częstochowie).

Dotychczas otrzymał następujące nagrody i wyróżnienia:

- Brązowa (1975 r.) i Srebrna (1977) Odznaka Honorowa za współpracę z GUS;
- Brązowa (2003) i Srebrna (2014) Odznaka Honorowa Polskiego Związku Filatelistów;
- Nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury w kategorii promocja i ochrona kultury (2007 r.);
- Wyróżnienie z okazji Światowego Dnia Turystyki (2007);
- Dyplom z nominacją do Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w działalności organizacji Pozarządowych (2016, 2017);
- Honorowa Odznaka Zasłużony dla Kultury Polskiej (2019);
- Złota Odznaka Honorowa za Zasługi dla Województwa Śląskiego (2018);
- Złoty Krzyż Zasługi (2020).

Jest członkiem Polskiego Związku Filatelistów, Częstochowskiego Towarzystwa Naukowego (od 1998 r.), Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego, założycielem Częstochowskiego Klubu Miłośników Historii im. Mecenasa Jana Pietrzykowskiego. Konsekwentnie bezpartyjny – pomimo, co podkreśla, siedemdziesięciu pięciu lat życia.

Współpracuje z wieloma instytucjami i redakcjami, owocem tej współpracy są przedsięwzięcia mające na celu promocję lokalnej kultury i historii. Towarzystwo Galeria Literacka ma zaszczyt zaliczać się do tego zanego grona współpracowników, wiele razy publikowaliśmy w „Galerii” udostępnione nam materiały.

Panu Zbigniewowi Biernackiemu serdecznie gratulujemy, życzymy dalszego zaangażowania w realizowaniu pasji, zwłaszcza tych, które służą innym ludziom i Miastu.

Redakcja

Janusz Jano Mielczarek, Elżbieta Jolanta Gola

Z TEATREM W SERCU

Moja wiedza o dokonaniach teatralnych Wojtki Kowalskiej była dość powierzchowna, bo wiadomo, że najtrudniej być prorokiem... itd., ale w październikowy wieczór 2018 roku – także ze względu na niegdysiejsze zainteresowanie twórczością Michaiła Zoszczenki, postanowiłem zweryfikować ją w czasie ostatniego przedstawienia „Homo sovieticus”. Był to także pierwszy spektakl w repertuarze Wojtki, w czasie którego śpiewał solo, a że były to ballady Bułata Okudźawy, którego wielbiłem od lat 60., moje nastawienie krytyczne miało dość wysoką temperaturę.

Zaskoczeniem była pełna widownia Teatru From Poland, ale to jeszcze o niczym nie przesądzało. Usadowiony na barowym stołku tuż za granicą wyznaczającą widownię, uzbroiłem się w cierpliwość. Warto było.

Już po kilku minutach stopniałem i równie spontanicznie, jak reszta widowni, reagowałem na słowa i piosenki płynące ze sceny, a w pewnym momencie przyłapałem się na tym, że pragnę, aby przedstawienie trwało jak najdłużej. Skończyło się. Na szczęście na bis aktor zaśpiewał wzruszający „Niebieski trolejbus”, który – choć przez chwilę – pozwolił powrócić do scenicznych złudzeń. Od tego wieczoru nasze twórcze kontakty zbliżyły się i nabrały przyspieszenia. Już następnego dnia zrobiłem Wojtkowi serię portretów, a on zainteresował się tekstami moich piosenek zamieszczonymi w książce *Być pomiędzy słowem a obrazem*; i, najważniejsze – odkryłem w nim świetne aktorstwo oraz człowieka, który ma teatr w sercu.

Wojtek działał szybko, bo do końca grudnia, a więc w czasie niespełna dwóch miesięcy, musiał rozliczyć się z grantów, które otrzymał na przygotowanie spektaklu. W ostatniej chwili zmieniał plany. Nie wtajemniczał mnie w szczegóły, poza zapytaniem, czy może wykorzystać moje piosenki. Spodobało mu się śpiewanie. Mogłem jednocześnie obserwować, jak czyni to, mając na uwadze dobro spektaklu i szacunek dla widza. Pobierał więc lekcje śpiewu i tańca, a do piosenki finałowej „Song o duszy” przygotował układ choreograficzny w duecie z akompaniującym mu Michałem Pilarskim.

O uszyciu na tę okazję smokinga wspominam na końcu.

Przedostatniego dnia grudnia 2018 r., przy komplikacjach z ogrzewaniem sali, miała miejsce prapremiera „Uwolnić słowa: Miłość”.

Zarówno Wojtek, jak i ja jako jeden ze współautorów, mieliśmy do spektaklu swoje uwagi, ale zaczęło się dobrze. On zrobił swoje zmiany, ja dopisałem dwie nowe piosenki; po paru miesiącach prób 18 maja 2019 roku odbyła się w Teatrze From Poland premiera „Uwolnić słowa: Miłość”, spektaklu do tekstów Janusza Rudnickiego, Piotra Macierzyńskiego oraz z piosenkami do moich tekstów, do których muzykę napisał Michał Pilarski.

Premierowa publiczność, wśród której byliśmy oboje – autorzy tego tekstu, nie pomyliła się w przyjęciu spektaklu, który podoba się, zdobywa i kolekcjonuje laury.



Foto: Janusz Jano Mielczarek

Wojtek Kowalski, zanim zaczął osiągać sukcesy teatralne, realizował się w wielu zawodach, ale jego pasją była scena. Dzięki mamie, która dostrzegła w nim tę teatralną iskrę, mógł dążyć do spełnienia marzeń o własnym teatrze. Wracając do początków, to chłopięcą fascynację muzyką rozładowywał grając na perkusji. Wkrótce tata przyniósł mu instrument – był nim saksofon tenorowy. W latach 1985–86 założył zespół „Fzhut”. Potrzeba buntu i sprzeciwu wobec otaczającej rzeczywistości zmateriałizowała się w kolejnym zespole – „Milicja Narodów”.

Po ukończeniu Technikum Samochodowego przez rok przygotowywał się do egzaminu na polonistykę. Ucieczka od wojska powiodła się, a pod koniec studiów wciągnął go teatr. Równolegle grał w zespole „Habakuk” oraz w grupie teatralnej „WiFiFi”, w której zawarł przyjaźnię z Arturem Witoszkim i Jarosławem Filipińskim. Zaproszony na próbę do spektaklu, w którym miał zagrać na saksofonie „Summertime” – zagrał główną rolę. Był to, jak wspomina, fajny czas dla niezależnej kultury. Jednak częste występy kłóciły się z terminami koncertów i musiał odejść z zespołu.

Z Jarkiem Filipińskim utworzyli Teatr From Poland. Pamiętna data: 20 czerwca 2000 roku, godzina 20⁰⁰, w restauracji „Prohibicja” w Częstochowie odbyła się premiera „Saxofonisty” według autorskiego tekstu J. Filipińskiego. Na spektakl spadł deszcz nagród, a miesięcznik „Teatr” w 2001 roku uznał go za najlepszą adaptację tekstu, obok przedstawień Krystiana Lupy i Krzysztofa Warlikowskiego.

Ten teatr miał dwie oferty: spektakle plenerowe: „Uwaga, poezja. Wstęp wzbroniony” oraz „Desant” z wyprowadzaną na koniu nagą kobietą, jak na obrazie Władysława Podkowińskiego. Druga propozycja to monodramy. Po „Saxofoniście” grali „Stand up”.

W 2008 roku narodził się Teatr Wojtka Kowalskiego. Pierwszy monodram nosił tytuł „YatoYa”, a kolejny – „Porady dobrego wojaka Szwejka”.

W tzw. międzyczasie utworzył Grupę Kowadło w Miejskim Domy Kultury w Częstochowie, gdzie pełni funkcję instruktora.

W swoim dorobku ma także dziennikarskie doświadczenie w „Życiu Częstochowy” oraz pracę w Niezależnej Telewizji Radomsko. Doświadczenie nauczycielskie zdobył w Zespole Szkół Mechanicznych, ucząc przez trzynaście lat języka polskiego. Był także autorem reportaży dla „Faktów”. Od dwóch lat prowadzi i nagrywa wywiady ze znanymi postaciami z naszego miasta, a uzbierało się ich już blisko dwieście. TV Orion w piątki o godzinie 19⁰⁰ prezentuje je na szklanym ekranie, można je również odnaleźć we „wszechwiedzącym” Internecie.

Spotkania, te prawdziwe spotkania, zaowocowały przyjaźnią z Januszem Rudnickim. Zrodził się monodram „3XTak/Rudnicki”, i kolejny: „Homo sovieticus” wg Michaiła Zoszczenki. Wśród widzów tego ostatniego znalazł się Janusz Jano Mielczarek.

Na potrzeby kolejnego spektaklu: „Uwolnić słowa: Miłość” J.J. Mielczarek nie tylko udostępnił ze swojej twórczości kilka tekstów, ale także dopisał piosenki: „Walizki” oraz „Kucyki”, wpasowujące się w klimat opowieści. Michał Pilariski skomponował do nich muzykę i narodził się przejmujący monodram o miłości, samotności i zagubieniu. O poszukiwaniu miłości, która pozwala nam przetrwać. Wojtek Kowalski zbiera nagrody na kolejnych festiwalach, a wszędzie tam, gdzie prezentuje prozę Janusza Rudnickiego i piosenki Janusza Jano Mielczarka, spotyka się z ogromnym wzruszeniem odbiorców. Spektakl zdobył już trzy nagrody: Grand Prix im. Mariana Glinkowskiego na XXV Zgierskim Spotkaniu Małych Teatrów Słodkoblękitny (Zgierz 2019), Srebrny Gwóźdź na XXVII Ogólnopolskim spotkaniu amatorskich teatrów dramatycznych, publicystycznych, teatrów poezji i kabaretów Proscenium (Nysa 2019) oraz Złotą Miś Borowiny na 41. Biesiadzie Teatralnej (Horyniec Zdrój 2020).

Już teraz czekamy na kolejne realizacje.

Zbysław Janikowski

WIZYTA – c.d.

Zdarzyło się. A konkretnie zdarzyła się impreza, na którą byłem proszony, takie zwyczajne imieniny, kilku kolegów, kilka kieliszków (powiedzmy butelek) i tyle, i aż tyle. Dobry humor, dobra zabawa, wspomnienia, zero polityki, złośliwości, śmieszności, wymówek, toaściki... Fajnie było.

W domu dobra herbata, kilka wrażeń, fotel, telewizja, niezamierzona drzemka. Przebudzenie, jak to w takich przypadkach bywa, bolesne – jeszcze tyle wieczornych obowiązków: podlać kwiatki, napełnić wodą pojemniki na kaloryferze, żeby zapewnić właściwą wilgotność (nie ma jak higiena snu), zrobić kolejną herbatę, pościelić tapczan, umyć się, położyć. Uff! Wszystkim tym czynnościom towarzyszyło uczucie, że nie jestem sam, że jestem podglądany, więcej: kontrolowany. Wreszcie tapczan, leżę, obok pilot, bo telewizor włączony, przecież oglądam.

I wtedy odkrycie, rzeczywiście byłem obserwowany, to Ona. Siedziała na moim miejscu w fotelu z przyklejonym sarkastycznym uśmiechem, uśmiechem, w który było szyderstwo i kpina, i ani odrobiny współczucia.

– Siedzi, niech siedzi – pomyślałem. Ale Ona nie siedziała bezczynnie, zaczęła mówić, a raczej zrzędzić, oczywiście na mój temat, że jak mogę, że mam swoje lata, że nie dbam o zdrowie, że co sobie inni pomyślą, bo na pewno się skompromitowałem, że, że, że... W głowie miałem jedną myśl, która dosadnie określała tę kierowaną do mnie przemowę: „smrodek dydaktyczny”, to była taka moja wewnętrzna tarcza zapożyczona od Melchiora Wańkowicza, wypróbowany w innych okolicznościach wewnętrzny sposób obrony. Postanowiłem szybko zasnąć, ale jak?

Sen, gdy jest potrzebny, nie przychodzi, więc żeby Ją zmylić, postanowiłem udawać – wydawało się proste – zamknąłem oczy i zacząłem głęboko oddychać...

– Udajesz – usłyszałem, ale nie zareagowałem.

– Udajesz! Udawaj, udawaj i tak się nie wykręcisz, musisz prawdę usłyszeć.

Jak muszę, to muszę – pomyślałem – ty se mów, a ja zdrów.

– Zdrów? Ty i zdrów, ruina... O, herbatkę na kaca naszykowałeś, zapobiegliwy spryciarz, a nie lepiej było nie pić?

– Nie – zdumiała mnie moje stanowcza odpowiedź – a w ogóle nie wtrącaj się i już, spać przez Ciebie nie mogę, stara jędo.

Zapadła cisza, widać uderzyłem w Jej czuły punkt, spojrzałem kątem oka, nie zmieniając pozycji, siedziała i widać było, że o czymś rozmyśla. Poczułem, że zwyciężyłem, a to uczucie sprowadziło błogą senność, usnąłem i sny wspaniałe w *technics* kolorze miałem, a rano...

Otworzyłem oczy i pierwszym widokiem była Ona, jakaś odświeżona, radosna...

– Wspany? – zapytała przymilnie – Późno już, wstawaj, pies chce iść na spacer...



ROZMYŚLANIA ŚMIECIOWE...

Fotel nie zmienił swoich podstawowych funkcji, dalej służył drzemkom i rozmyślaniom... Tak, tak, siedząc w fotelu rozmyślałem, a jest o czym. Tym razem mą głowę zajęły śmieci. Jakże banalnym wydał się omówiony już przez wielu komentatorów problem zużytego, a raczej wyparzonego woreczka po herbacie! Już najtęższe głowy przeanalizowały wszystkie składowe tego śmiecia, a jakoś nikt nie zaproponował najprostszego – wysuszenia woreczka i ponownego użycia... Ale ja nie o tym, choć to mnie zainspirowało, bo...

Bo sortowanie śmieci to wiedza tajemna, która winna być wsparta naukowymi metodami organizacji pracy i organizacji w ogóle (cokolwiek to znaczy) – np. burza mózgów lub jakże popularna za tzw. komuny: „metoda „DO RO – dobrej roboty”... A skąd nieświadome społeczeństwo taką wiedzę ma czerpać, tym bardziej, że bardzo odcina się od komuny i wszystkiego, co z nią związane, no może poza swoim pochodzeniem? Jak brak wiedzy, trudno przekształcić tę wiedzę w praktyczne działanie. Tu podpowiadam. Są uniwersytety i politechniki, i jeszcze inne uczelnie wyższe, im trzeba powierzyć zadanie wychowania społeczeństwa – jak to pięknie brzmi – a rozwiązanie znowu podpowiada mi moja wyobraźnia: na takiej uczelni należy utworzyć wydział śmieciowy z kierunkami utylizacja, regeneracja i co tam jeszcze potrzebne będzie – naukowcy wymyślą. To dla młodych, dla przyszłości.

A co ze starszą częścią społeczeństwa? Proste! Są przecież uniwersytety trzeciego wieku, jakież to pole do działania, oczyma wyobraźni widzę owych nielicznych studentów i bardzo liczne studentki tych uniwersytetów namiętnie dyskutujących, drażących temat, oddanych tej śmieciowej idei, współzawodniczących, uczestniczących w wycieczkach, ruszających w teren w poszukiwaniu...

A co można znaleźć w zaśmieconym terenie?

...I PIESKIE

Psy na nim wieszają... Na kim? Wiadomo, na psie, przecież mimo że nam tak bliski, różnie o nim się mówi i nie zawsze najlepiej, bo to „nie dla psa kiełbasa”, „pies z nim tańczył”, „ni pies, ni wydra” i chyba koronne „na psa urok” – i tu zagwozdka: czy to zaklęcie mające oddalić pecha, czy tylko przekleństwo? A co zrobić z „pieskim życiem” albo „sukinsynem”???

Wreszcie chiński kalendarz – nie jakiś gregoriański czy juliański, nie babiloński ani tybetański, ani żaden inny, a chiński – a tam jak byk stoi: rok psa! Próbowałem to rozszyfrować, ale moja wiedza sinologiczna jest żadna, no, może poza modnym ostatnio chińskim wirusem... Próbowałem, próbowałem, a spustoszenia w mej głowie dopełniły godziny dnia, gdzie znowu pojawiła się godzina psa (jednak czegoś się nauczyłem, ta godzina to czas między 19 a 21)...

Nie tylko się nauczyłem, ale wiele z tego wyniosłem, zrozumiałem, czemu właśnie w tym czasie piesek chce koniecznie wyjść na wieczorny rozrywkowo-higieniczny spacer, czemu nachalnie domaga się kolacji, czemu odmawia uczestnictwa w szalonych zabawach...

Tak, moja mała Fifi, pieski dzień się skończył, wiem, że punktualnie o 21 przyjdiesz i grzecznie będziesz prosić o batonika, który jak szczoteczka do zębów czyści twoje szczerbate ząbki...

A czemu szczerbate? O, to zupełnie inna historia...

16-17 lutego 2020 r.

Bogdan Knop

MELANCHOLIA

W dniu postnym drogą szła procesja
We śnie podążał błędny krąg
Ubrana w szary pył orkiestra
W ton zamieniała każdy krok

Wyrwany z marzeń ja sprzed lat
W zaklętym kręgu pomnożony
Tysiącem istnień w czasie szmat
Kreśliłem gesty bez nadziei

Wśród innych światów w inny czas
W skinieniu czczym i w bezsilności
Głowę skłaniałem raz po raz
Gdy obok płynął tłum w nicości

Przy oknie ktoś zakapturzony
W napięciu bezruch świata zwiśł
Usta zamarłe puste głosy
Przejrzały owoc za wczesny świt

Zaklęty krąg upadły los
Za oknem mijający dzień
Daremny krzyk fałszywy blask
Dzień postny obrócony w sen

Napisane jeszcze w 2019 r.

Janusz Strojec

POETYCKIE REMINISCENCJE

powstałe podczas wernisażu wystawy malarstwa Anny Gorejowskiej „Myśllokszałty”
w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” w dniu 25.01.2020 r.

Myśllokszałty

*Myśli, wzmacniając swą strukturę,
tworzą myśllokszałty
Stąd już niedaleko do przyobleczenia
ich w atomy materii*
– Anna Gorejowska

jest noc
myśllokszałty
brzmia jak sen
woda spływa z urwisk
tysiące kaskad słodzą wody
urwisko nieco kruszeje
siedzę na klifie
nie mogę latać
skrzydła wiatr powyginał
wciąż składam metafory
w mojej głowie mętlik
myśli kłębią się, wtórują, burzą
orły szybują
krążą w uniesieniach marzeń
krzyże codzienności przygniatają
rzeczowniki bratają się z czasownikami
na ostatni ratunek
chwytałem się brzytwy
myśllokszałty
burzą mój sen
myśllokszałty wchodzi w myśloorbity,
te zaś w planetoidy i słowowkręty,
by ostatecznie,
w kształt myśli pożądaną

Zapomniane dźwięki

letnia obfitość
zmienia się w kształty
barwy bombardują me myśli
kwiatki trawy w bezkresie
tworzą linię odwilży
dotykam językiem
słodkie nektary uderzają
w akordy durowe z molowymi
kołyszą myśli nieuczesane
w powoje zieleni, spadochrony
chrząszczy, uderzają o motyle
pszczoła gnieździ swe roje
a w tle mazurek Fryderyka,
pomruk wiatru rozległy
dawny, niedościgły
w objęciach tamtego lata
uderzasz w klawisze
zapomniane dźwięki

Wieczorny wiatr

zamknięci w klatkach
ogrzani ciepłem tauronu
wstrzymujemy oddechy nawalnic,
nużyki wstrzymują oddech
na prawie dwie minuty,
ptaki grupują się
polują na gromodziaki,
ławice myśli
lądują w pokrywach lodowca,
niedźwiedź polarny
dzieli pokrywę na strzępy,
odpływają ławice arktycznych ryb,
kołyszą się
w podmuchu smugi –
balkoklatki wieczoru

Księżycowe sny

gdzieś na skrzyżowaniu
 Europy i Azji
 gdzieś na krawędzi
 ginącego bezbrzeża
 gdzieś gdzie widnokreśli
 nadziei
 kwietne macierzanki
 układają się w kolory
 jakaś cisza
 leczy bliźnię wiadomości wieczornych
 siadasz kulo czarodziejko
 odbijasz o mnie
 kilometrów blask
 w głowie zaważyło, zburzyło, pomieszało
 ciągnę po horyzoncie
 księżycowe sny
 o syryjskiej bezpamięci

Dom na Jurze

jak w lustrze
 patrzę na obraz zza okna
 wale białe
 uderzają o tafle rzeki
 pocierają się o kamienie
 i piszczą z rozkoszy
 ptaki wyruszają na połów
 przy dziennym świetle
 dziesięcioro przykazań
 układałam w pamięci
 myślę o Iraku, Syrii, Afganistanie
 patrzę na rozległe piękno
 ubieram się w zapachy
 myślę o Auschwitz
 czuję swąd palonych żywcem
 nie bądź obojętnym

Podróż I

peryfrazą goni peryfrazę
 metafora obja się o metaforę
 w marsowej scenerii
 personifikacja
 pustynia myśli z elementem
 anaforyczności
 próżno szukam nagietka polnego
 rybitwa niczym
 statek kosmiczny
 otwiera nową przepaść
 szukam nazwy przestrzeni
 w śrubokręcie myśli
 kształty, kształty, kształty

Księżyc na Pietrusińskiego 4

my wszyscy
 z Piotrowej Skały
 samouspokojeni
 zakłęci w ramy niepamięci
 żyjemy na pchlim targu
 między islamem a ateizmem
 codzienna krzątanina
 pogrzebanych nadziei
 i zwyczajnej beznadziei
 gdzieś w podróży
 znad obłoków
 uniesień i tęsknoty
 wyglądamy z okien
 z rejestrem zmarnowanych szans
 w kierunku księżyca
 a on siada
 na Pietrusińskiego 4

Bez tytułu I

mój dom będzie ogromny
 pokoi sto tysięcy
 w nim zamieszkają
 dobre duchy
 nad głową
 leśne skrzaty
 ławice słodkowodnych ryb
 w myśłokształty
 strząpieli, płaszczków, ślizg
 i zbrojników zebrowatych
 siedzę na klifie
 nie mogę się poderwać
 lotu mi trzeba
 lotu mi trzeba

Zarezerwowany wieczór

mój czas
 przefrunął przeze mnie
 jak sen
 tego wieczoru
 uliczne lampy mżyły
 silnym, mokrym światłem
 chabry prosto z nieba
 siadały jak niedyskretni
 flora rozkwitała we wnętrzach
 grająca szafa z lustrem
 odbija resztki lata
 przycisnąłem twarz do szyby
 potem ją odsunąłem
 ujrzałem swoje odbicie
 nieruchome
 a potem już tylko mrok
 po drugiej stronie świata

Metamorfoza

mój ty horyzoncie
 stepie rozległy
 gdyby nagle
 wyrosły mi skrzydła
 poszybowałbym
 nad uśpionym miastem
 byłbym jak niewolnik
 Michała Anioła
 i zszedłbym z lotu ptaka
 w głąb
 spotkałbym się z Czasem
 jak wąż z Laokoonem
 mój ty widnokregu
 syreno próżno wołającej
 swojego Odyseusza
 Andromedo samotniejąca
 piękniejesz
 porzucasz swój pancerz
 spotykasz swego Perseusza



Janusz Strojec urodzony i związany od półwiecza z Częstochową. Debiutował w 1977 r. Publikuje poezję, prozę – w prasie literackiej i kulturalnej ogólnopolskiej i miejscowej. Na co dzień nauczyciel języka polskiego w IX Liceum Ogólnokształcącym im. C.K. Norwida w Częstochowie.

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

TO NIC

* * *

Krzyk
 Cichy jak westchnienie
 a jednak krzyk
 rąk piersi bioder
 wydobywa się z głębi
 ciała
 jak manifest głoszący
 niezbywalne prawo
 do miłości

* * *

Krople deszczu na rzęsach
 powoli spływają ze światłem
 wdzierają się w zdziwione
 kąciaki ust
 – skąd w nich
 tyle soli

Wymarzyć marzenia

Przemknęło
 jak z bicia trzaśł
 już toczy się z górki
 niczym kamień po stoku

zatrzyma się
 w jakiejś szczelinie
 utknie
 na zawsze
 przemknęło
 spoglądam przez ramię
 zdołałam jedynie
 wymarzyć marzenia
 – nie obrosły ciałem

* * *

Zakleszczyła się noc
 na moich ramionach
 cisza zakneblowała usta
 niepokój spętał stopy
 bezsilna
 bezradna
 osuwam się w przepaść
 modląc się o wiarę
 w świt

* * *

Spod poduszki zezuje
 krucha nadzieja
 głaszczę ją jak dziecko
 chcę przytulić
 wymyka się spłoszona
 nadmiarem czułości

* * *

Wstrzymuje oddech
 (tak na próbę)
 może uda się go uśpić
 wstrzymuję oddech
 (tak na wszelki wypadek)
 może uciszę umysł

poszukujący zrozumienia
 sfiksowanego świata

* * *

Mamo
 wciąż boję się burzy
 gromów i błyskawic
 tych z nieba
 i tych od ludzi
 co robić
 gdzie teraz iść kiedy
 nie ma już naszego gniazda
 (na czwartym piętrze pod dachem)
 i nie ma ciebie
 i taty
 i naszej starej szafy do której
 mogłam się schować

* * *

To nic
 to tylko cień skrzydeł ptaka
 na mojej twarzy
 to nic
 to tylko deszczu zbłąkana kropla
 nie zbladłam
 nie zmokłam

jedynie we wnętrzu
 coś parzy

* * *

Próbuję
 jak dawniej
 zamknąć słowa w kopercie
 – zalakować
 posklejać myśli w myśl jedną
 schować się w mysią dziurę
 skulić w sobie jak embrion
 w ciszę ciało wpasować
 zniknąć
 przestać istnieć
 i stać się
 ostatnim moim wierszem

Anna Jędryka

PORY ROKU

NIE PRZYWOŁAM CI WIOSNY

Nie przyniosę ci wiosny, gdy jesienna słota,
Gdy słowików nie słyhać dokoła
I chociaż mi przychodzi ogromna ochota,
Aby wiosnę jesienią przywołać.

Nie przywołam ci wiosny, gdy deszcz się z nieba,
Gdy po szybach łez płyną strumienie.
Nie przyniosę ci słońca – chociaż go potrzeba,
Gdy skrywają go chmur gęste cienie.

Nie dogonię już wiosny, gdy listopad kroczy,
Gdy wiatr strąca z drzew ostatnie liście,
Gdy znienacka śnieg mokry sypnie prosto w oczy,
Kiedy rankiem jest ciemno i mgliście.

Nie przyniosę ci wiosny, nie odnajdę lata,
Kiedy zima puszysta i biała
I choć myśl moja śmiała pędzi na kraj świata,
Coś jej szepcze, by szybko wracała

17.08.2019 r.

SMAK LATA

Noc gasnących gwiazd,
Mgła budząca świt,
Mewy głośny krzyk,
Plusk spokojnych fal,
Bryzy słony smak,
Szum uspiionych drzew,
Lazur zwiewnych chmur,
Pierwszy słońca blask,
Śmiech letniego dnia,
Kontur twoich ust,
Myśli tęskny szept,

Śmiałych marzeń cień...

02.09.2019 r.

JESIENNA TĘSKNOTA

Szał tęsknoty otulił mnie znów,
Dziś brakuje mi ciepłych twych słów,
Zaginęły w przestworzach
Albo wpadły do morza,
Gdzie przegląda się zorza
I mgła, i mgła, i mgła.

Wiatr jesienny na liściach wciąż gra,
Wczoraj razem – a dziś tylko ja,
Dni się ciągną bez końca,
Wciąż brakuje im słońca,
Barwnych kwiatów tysiąca
I nas, i nas, i nas.

Te spojrzenia gorące jak żar
Są odległe jak ust twoich czar,
Tylko wiatr za oknami
Płacze się wieczorami,
Znika gdzieś nad polami
I gna, i gna, i gna.

Może też jest samotny jak ja
I od dawna tę samotność zna?
Chociaż tańczy, wiruje,
Spada z chmur i szybuje,
Lecz miłości nie czuje
I drży, i drży, i drży.

Jesień bywa kapryśna i zła,
Mówi: jeden – zamiast mówić: dwa
I za wcześnie się zjawia,
Cierpkie ślady zostawia,
Ludzi złudzeń pozbawia
I łka, i łka, i łka.

Serce z piersi wyfruwa jak ptak,
Pewnie pragnie ci dać jakiś znak,
Ale ty nic nie czujesz,
Za horyzont wędrujesz,
Inne szczęście malujesz,
Nie sam, nie sam, nie sam!

11.09.2019 r.

JESIENNA MIŁOŚĆ

Jesienna miłość przyszła niezapowiedziana,
Jesienna miłość może chciana lub niechciana,
Jesienna miłość wdarła się w jesienną ciszę,
Jesienna miłość barwne liście drzew kołysze.

Może niejedna taka miłość cię zaskoczy,
Wystarczy moment, w którym spojrzysz czule w oczy
I nie wiesz nawet, że to miłość cię spotkała –
Jak babie lato taka zwiewna i nieśmiała.

I od tej chwili wciąż uśmiechasz się do siebie,
I masz wrażenie, że przebywasz w siódmym niebie.
Już ci nie grożą żadne smutki, złe humory.
Pytasz sam siebie, czy nie jesteś może chory?

Nie przewidziałeś, że to może się wydarzyć.
O tej miłości dotąd mogłeś tylko marzyć.
To przecież dziwne, że zjawiała się jesienią,
Gdy zimne ranki, mgła rozciąga się nad ziemią.

A w twoim sercu świeci słońce, tańczy lato,
Więc pochwyć miłość i podziękuj życiu za to.
Bo może teraz już ostatni raz przybywa.
Z upływem czasu – właśnie ona dziś wygrywa.

05.11.2019 r.

Zdzisław Opałko

SŁOWO O PUSZCZY

Od wieków karmi schronienie daje
 prawie każdemu kto życiem się trudzi
 w słońcu i w deszczu na piaskach i skałach
 już trwała
 gdy jeszcze nie było ludzi
 gdy jeszcze po niej nie wędrowały
 grupy na poły dzikie
 pożarom wstrząsom ulegać musiała
 upartej walki się stając pomnikiem

Nie żali się nie złości nigdy
 na złe pogody warunki
 na twardość ziemi moc wiatru który podmuchami
 śle na nią chmury z piorunami
 i gdy ją trzebi bez drgnienia powiek
 największy jej szkodnik – człowiek...
 boleśnie doświadczana potrafi wiele przetrzymać
 uparcie jakby na przekór
 tworzy dla życia klimat
 dostojna łagodna zaradna patrzy w przyszłość
 nawet nad martwym runem
 śpiewa swą pieśń cichym szumem

Jest w niej pokora i siła i wielkie zaufanie
 do każdego kto po niej chodzi lub
 stoi na polanie zdziwiony
 bogactwem barw odgłosów i ścieżek w nieznane
 wstępu nie zabrania nie czyni przeszkód nikomu
 nawet tym co różnymi drogami
 pojedynczo i w grupie głośno lub po cichu
 wchodzą w jej wnętrze z toporami...
 swoje rany leczy długo przez wieki
 cierpliwości i łaskowości emanując tajemnicą
 zaprasza wszystkich choć się nie narzuca
 i nie na każdego chucha
 dla tych co potrafią patrzeć i słuchać
 apteką jest i lecznicą
 wśród jej korzeni pni liści znajdziesz wszystko
 oprócz nienawiści

Maciej Rudlicki

JEDENASTE PRZYKAZANIE

Auschwitz, kolejna rocznica
 Mrok, rozedrgany tysiącem płonących zniczy
 Tłum pątników pamięci Holocaustu
 z głowami państw, w ich pochyleniu
 Niektórzy w pasiastych czapkach
 Drżenie rąk obejmujących twarze
 w nieszczelnych dłoniach

I znów wszechogarniające uczucie zdziwienia i rozpacz
 Bezgranicznego ciężaru, którego
 nie da się zdjąć z tych, co przeżyli,
 z tych, co ufali, że to niemożliwe,
 z tych, co nie zrobili nic, by zapobiec

Porażające święto klęski człowieka
 Bolesnej pamięci czynów schizofrenicznych morderców
 i judaszowych tchórzy
 Obojętności i bezradności Boga
 nieodpowiadającego na pytanie Benedykta XVI
 – Gdzie byłeś wtedy, Panie?

Na tle muru zbrodniczej pamięci – on!
 Były więzień z wyciągniętą ręką i krzykiem
 – Nie bądźcie obojętni!
 Potęga wzruszeń zgodnych serc pątniczego tłumu
 – Nie bądźcie obojętni, taka klęska nie spada z nieba!

Jak długo w oświęcimskiej ciszy przetrwa ten krzyk?
 Jak długo będzie trwał ten krzyk w nas?
 Ilu z nas, zamkniętych w kokonie egoistycznej wygody,
 a czasem w poczuciu wyższości,
 usłyszy go i zrozumie
 – Nie bądźcie obojętni!..

29.01.2020

Arkadiusz Frania

O WIERSZACH JANUSZA STROJCA. SPOSTRZEŻENIA I PRZYPUSZCZENIA



Synonimem współczesności jest nadmiar. Łatwość publikowania książek powoduje ich zalew i pewnie nie ma osoby, która zdołałaby przeczytać całą bieżącą literaturę np. z półki „Poezja”. Dlatego trudno uwierzyć, że w tym świecie superaty funkcjonują mający coś ważnego do powiedzenia poeci bez tomiku na koncie twórczym, zadowalający się jedynie drukami w prasie literackiej i kulturalnej oraz różnego typu antologiach. Do tego kręgu należy częstochowski literat Janusz Strojca (ur. 1958). Z danych biograficznych podajmy, że w 1982 roku ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Pracował w Domu Kultury „Stradom” w Częstochowie, był polonistą w częstochowskim Technikum Hutniczym, po czym objął posadę nauczycielską w IX Liceum Ogólnokształcącym im. Cypriana Kamila Norwida w Częstochowie, z którym jest związany do dziś.

Debiutował bardzo młodo, bo w wieku 19 lat, wierszem *Wszystko* w grudniowym numerze Magazynu Społeczno-Kulturalnego Województwa Częstochowskiego „Nad Wartą” z 1977 roku na stronicie oddanej we władanie początkującym literatom „W kręgu młodych twórców”¹. Notabene pięć lat później poeta uzyskał tytuł magistra filologii polskiej na podstawie pracy poświęconej właśnie temu regionalnemu periodykowi (*Zarys monograficzny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Nad Wartą” za lata 1958-1969*), napisanej pod kierunkiem profesora Edwarda Polanowskiego².

1 J. Strojca, *Wszystko*, Magazyn Społeczno-Kulturalny Województwa Częstochowskiego „Nad Wartą” 1977, nr 12 (grudzień), s. 6.

2 B. Puchała, A.J. Zakrzewski, *Dziesięciolecie działalności polonistyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Często-*

Jak się rzekło, Janusz Strojec dotąd nie wzbogacił swojego indywidualnego dorobku o zbiór liryczny, choć w 1996 roku zapowiadał prymicję na rok następny. Na konstatację dziennikarza, że mimo wielu publikacji, nie wydał woluminu z poezją, wyznał:

Prawdopodobnie dlatego, że nie przykładam do tego zbyt wiele uwagi, ale myślę że w przyszłym roku w ramach „Częstochowskiej Biblioteczki Poetów i Prozaików” w końcu zadebiutuję wydawnictwem książkowym. Ale są to koszty. Poezja nie przynosi dochodów. Nawet rzadko się zwraca koszt wydania³.

Namiastką tego typu edycji może być publikacja 22 utworów Janusza Strojca objętych tytułem *Wiersze zebrane* w książce *Varia Częstochowskie 2006 albo Rocznik literacki* (2007)⁴, choć sugestia „pełności” zaprezentowanego bloku tekstów jest myląca, w prezentacji bowiem nie pomieszczono wszystkich wierszy częstochowskiego autora. Raczej uznałbym, że omawiany zestaw zawiera liryki wyselekcjonowane przez samego poetę. Należy też żałować, że Władysław Edward Piekarski (pominę liczne zastrzeżenia do owoców jego niewątpliwie ważkich pomysłów) nie zrealizował wydania *Poetyckiej Częstochowy (wraz z okolicami) 1945–2005*⁵, która miała zawierać, jak pisał redaktor w trakcie jej przygotowywania, „wiersze zebrane i wybrane urodzonych w regionie częstochowskim oraz tworzących w nim w latach 1945–2005”⁶; byłaby zatem duża szansa na wczytanie się w pełny dorobek Janusza Strojca, może nawet zawierający pierwodruki.

Wróćmy do skrótego przeglądu publikacji częstochowskiego autora. W 1978 roku światło dzienne ujrzało edytorskie pokłosie V Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich w Kłobucku z wierszem ***(*Wspinasz się coraz wyżej, dzień każdy dla nocy jest stopniem*)⁷. Pierwszy większy, bo 6-tekstowy blok ogłosił twórca w dziale „Poezja” w „Informatorze Kulturalnym Województwa Częstochowskiego »Tematy«” z czerwca 1981 roku⁸. Rok 1981 przyniósł poecie także wyróżnienie w II – prestiżowym do dziś – Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Haliny Poświatowskiej w Częstochowie za opatrzony godłem „Rak” zestaw wierszy o miesiącach późnoletnio-jesiennych, który, wraz z lirykami innych nagrodzonych

chowie, „Prace Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie”, seria: „Filologia Polska” – „Historia i Teoria Literatury”, t. 2, red. E. Polanowski, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 1989, s. 118. Tam: *Spis tytułów prac magisterskich wykonanych pod kierunkiem pracowników Instytutu Filologii Polskiej w latach 1975–1985*.

3 J. Strojec, *Z konkursami jak z loterią*, rozmawiał wep [W.E. Piekarski], *Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria”* nr 6, listopad 1995, s. 13.

4 Tenże, *Wiersze zebrane* [zawartość: *Dom*, ***(*Mam*), *Wrzesień*, *Wszystko*, *Pejzaż*, *Sierpień*, *Odlamek skalny*, *Góry*, *Wzruszenie*, *Miedzy mną a Tobą*, *Ulica*, *Raj duszy*, *Metafizyka uprzejmości*, *Wigilia 90*, *Wigilia 91*, *Wigilia 92*, *Wigilia 93*, *Wigilia 94*, *Wigilia 95*, *Kikuty*, *Moja inność*, *Wzruszenia*], [w:] *Varia Częstochowskie 2006 albo Rocznik literacki*, oprac. W.E. Piekarski i Z. Stańczyk, Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „LiTWA”, Częstochowa 2007, s. 145–148 (wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”).

5 Władysław Edward Piekarski nie doprowadził również do końca zainicjowanej w 2001 roku, a obliczonej na kilka części, edycji *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975–2001*; ukazały się tylko 2 części, część I: 2001–2002, część II: 2002; oprac. i red. W.E. Piekarski, Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa (wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”).

6 W.E. Piekarski, *Dwa wiersze*, [w:] *Varia Częstochowskie 2006*, s. 343.

7 J. Strojec, ***(*Wspinasz się coraz wyżej, dzień każdy dla nocy jest stopniem*), [w:] *Konfrontacje poetyckie* [almanach V Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich w Kłobucku], Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Częstochowie, Częstochowa [1978], s. 28.

8 Tenże, *Dom*, ***(*mam*), *Wrzesień*, *Wszystko*, *Pejzaż*, *Sierpień*, „Informator Kulturalny Województwa Częstochowskiego »Tematy«” 1981, nr 6 (czerwiec), s. 16–18.

autorów, opublikowano w magazynie „Nad Wartą”⁹. Wiele lat później, bo w 1995 roku, poeta podzielił się z czytelnikami Częstochowskiego Pisma Artystycznego „miniGaleria” („Wydanie Specjalne z okazji XIX Konfrontacji Poetyckich im. Haliny Poświatowskiej”) refleksjami dawnego laureata. Na pytanie dziennikarza, czy wyróżnienie było dla niego niespodzianką, odpowiedział:

Prawdopodobnie tak, bo z konkursami poetyckimi to jest tak jak z loterią lub wyborem miss. Nie zawsze to co jest najpiękniejsze zdobywa nagrody. Przyczyna – subiektywność ocen jury. Każdy z jurorów preferuje własną poetykę. Zbieżność poetyk zdarza się bardzo rzadko i dlatego wielokrotnie przyznawane są nagrody *ex aequo* lub nie przyznaje się I, II czy III nagrody. Tak poza tym to jest to pewnego rodzaju satysfakcja z tego, że zauważono tekst i... kandydata na poetę¹⁰.

W połowie lat 80. XX wieku Janusz Strojec należał do „zauważonych” częstochowskich ludzi pióra, skoro Halina Swaton w pracy *Literaci związani z ziemią częstochowską. Słownik bibliograficzny* zawarła biogram poety i wzmiankę o jego twórczości¹¹. Nota twórcy, mimo braku edycji książkowej, znalazła się też w *Słowniku biobibliograficznym twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)* Władysława Edwarda Piekarskiego i Zbigniewa Stańczyka¹².

W grudniowym numerze „Informatora Kulturalnego Województwa Częstochowskiego” z 1985 roku wydrukowano sześć wierszy twórcy¹³. Prezentacja pojawiła się dwa miesiące przed proklamacją Grupy Poetyckiej „Lit-Ars” (1986-1989), w szeregi której wstąpił także Janusz Strojec. *Spiritus movens* przedsięwzięcia, Elżbieta Libel”, w tekście programowym Grupy¹⁴ zachęcała czytelników: „wspomóżcie [nas] swoimi propozycjami”, żywiąc nadzieję na powodzenie inicjatywy:

Oby ta data [luty 1986 roku – wieczór inauguracyjny] stała się dobrą wróżbą dla przyszłości naszej grupy – otwartej i czekającej na nowych przyjaciół. Spotykamy się w Klubie Filharmonii w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca¹⁵.

„Lit-Ars” był efektem fermentu, jaki narastał w Częstochowie od 1983 roku dzięki Stowarzyszeniu Środowisk Twórczych. Elżbieta Wróbel w opracowaniu *Życie literackie Częstochowy po 1945* roku pisała:

9 Tenże, *Sierpień, Wrzesień, Listopad*, Magazyn Społeczno-Kulturalny Województwa Częstochowskiego „Nad Wartą” 1981, nr 1 (styczeń), s. 5.

10 Tenże, *Z konkursami jak z loterią*, s. 13.

11 H. Swaton, *Literaci związani z ziemią częstochowską. Słownik bibliograficzny*, „Kwartalnik Metodyczny”, Rok X, 1985, nr 1-2, Katowice – Bielsko-Biała – Częstochowa, V. Wkładka 2, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. dra Władysława Biegańskiego w Częstochowie, s. 33.

12 W.E. Piekarski, Z. Stańczyk, *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, Wydawnictwo WIKSTAN, Częstochowa 2006, s. 383-384 (wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”).

13 J. Strojec, *Miłość, Wszystko, Bez tytułu, Poszukiwania, Istnienie, Ulica*, „Informator Kulturalny Województwa Częstochowskiego” 1985, nr 12, grudzień, s. 36-38.

14 Grupę założyli: Elżbieta Libel, Anna Grzywińska, Janina Łotach, Agata Polak, Edyta Gronert, Klaudia Rabenda, Józef Rygał i Krzysztof Seweryn Wroński.

15 E. Libel, *Cyrograf*, „Informator Kulturalny Województwa Częstochowskiego” 1986, nr 4 (kwiecień), s. 34. Na apel odpowiedzieli: Wiesław Wyszynski, Jacek Gierasinski, Janusz Strojec i Marek Maculewicz.

W 1983 roku powstał Klub Środowisk Twórczych (KŚT), mający swe zaplecze logistyczne w Filharmonii Częstochowskiej; kierownikiem klubu został Andrzej Młodkowski. Działaczom udało się doprowadzić do powstania niewielkiej kawiarni i tam odbywały się spotkania. Z grona twórców uczęszczających na spotkania KŚT wyodrębniła się grupa artystyczna Lit-Ars, składająca się z literatów i plastyków; jej nazwa nawiązywała do grupy działającej w okresie międzywojennym¹⁶.

Natomiast Władysław Edward Piekarski w przeglądzie *Poetycka Częstochowa lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych* zauważył:

Kolejną próbą budowy środowiska literackiego w Częstochowie było utworzenie Stowarzyszenia Środowisk Twórczych. Jego bezsprzeczną zasługą jest stworzenie warunków do spotkań twórczych i kilku turniejów jednego wiersza, gdzie zaistniały kolejne nazwiska jak Wiesław Wyszyński, Janusz Strojec, Elżbieta Libel, Agata Polak, Krzysztof Seweryn Wroński, Marek Maculewicz. [...] Jednocześnie istnieje przez pewien czas grupa literacka „Lit-Ars”¹⁷.

Bez wątpienia emanacją „Lit-Arsu” był niezbyt udany poligraficznie, lecz cenny ze względów merytoryczno-historycznych zbiorek *Poeeci Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego* (1989), skoro wśród 12 autorów aż 7 z nich to „litarowcy”, w tym Janusz Strojec z 3 tekstami¹⁸. Dodajmy, że nieco wcześniej, w grudniowym numerze z 1987 roku Miesięcznik Społeczno-Literacki „Okolice” opublikował jego liryk *Ulica*¹⁹.

Poniekąd próbą kontynuacji założeń Grupy Poetyckiej „Lit-Ars” mogło stać się Stowarzyszenie Literackie przy Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”, tym bardziej, że w jego komitecie założycielskim było aż 3 „litarowców”: Agata Polak (w 1994 roku pełniła funkcję Przewodniczącej), Krzysztof Seweryn Wroński i Janusz Strojec. O inicjatywie donosił „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” w wydaniu z 2 grudnia 1993 roku²⁰.

U progu nowej epoki o sile poezji częstochowskiej stanowił właśnie zespół twórczy spod znaku „Lit-Arsu”, czego dowodzi choćby trzykrotna obecność Janusza Strojca w „Okienku z wierszem” ukazującym się na łamach „Dziennika Częstochowskiego. 24 Godziny” w latach 1991-1994²¹. Poeta uczestniczył w antologii *Czarno-białe rysunki*

16 E. Wróbel, Życie literackie Częstochowy po 1945 roku, [w:] *Encyklopedia województwa śląskiego*, t. 3 (2016), http://ibrbs.pl/mediawiki/index.php/%C5%BBycie_literackie_Cz%C4%99stochowy_po_1945_roku – dostęp 29 września 2018 roku).

17 W.E. Piekarski, *Poetycka Częstochowa lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych*, Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria” nr 2, czerwiec – wrzesień 1993, s. 1.

18 J. Strojec, *Wzruszenia, Między mną a Tobą, Ulica*, [w:] *Poeeci Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego*, red. W.M. Gaiński, T. Gierymski, Urząd Miejski w Częstochowie i Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 1989, s. 18-20.

19 Tenże, *Ulica*, Magazyn Społeczno-Literacki „Okolice” 1987, nr 12, s. 138.

20 Celem Stowarzyszenia była „integracja i promocja działalności literackiej autorów literackich, żyjących w Częstochowie i w regionie częstochowskim, bądź w jakiś sposób związanych z ziemią częstochowską” ([redakcja], *Stowarzyszenie Literackie*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1993, nr 234, s. 8).

21 (WMG) [W.M. Gaiński], „Okienko z wierszem”: J. Strojec *Reportaż*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1991, nr 75, s. 4; (y) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: J. Strojec *Erotyk odstępniety*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1992, nr 11, s. 4; (y) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: J. Strojec *Kikuty*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1993, nr 215, s. 4.

(1995)²², gościł także w czterech numerach Częstochowskiego Pisma Artystycznego „miniGaleria”, w wymiarze 15 liryków²³. Na stronicach innego częstochowskiego pisma kulturalnego „Aleje 3” (grudzień 1995, jeszcze wtedy jako „Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny”) poeta odnotował jedno wejście i to w wydaniu otwierającym historię czasopisma²⁴.

Poezja Janusza Strojca nie jest eksperymentem ani wypryskiem awangardy. Wydaje mi się, że autor ma jeden cel: opowiedzieć prawdę o sobie. W 1991 roku Waldemar M. Gaiński dostrzegł:

Poezja, którą [Janusz Strojec] uprawia, nastawiona jest głównie na autokreację – najczęściej sam autor występuje w roli podmiotu lirycznego swoich wierszy. Poetyckiej autokreacji ma służyć forma swoistego „reportażu wewnętrznego”, niemal ekshibicjonistyczna wiwisekcja własnej osobowości²⁵.

Przyjrzyjmy się jednak debiutanckiemu wierszowi *Wszystko*, napisanemu, jeśli wierzyć dacie pod tekstem, „20.09.1977 r.”. Tu niespełna dwudziestoletni młodzieniec nie jest tak skory do dzielenia się intymnością, ukrywa się za opisem, który, zgodnie z tytułem, w lirycznym skrócie ujmując sens życia ludzkiego. Inicjalny dwuwiers brzmi: „Wszystko ma swój początek / ściana sufit podłoga”, ale już na łączeniu pierwszej i drugiej linijki domyślamy się „końca”, bo jest to wszak tekst o początku i końcu, upływie czasu, ale i o nakładaniu się na siebie zdarzeń o różnym zabarwieniu: „grają mendelсона / wyprowadza ich nokturn żałobny / tańczą / płaczą”. Po prostu wieczne *memento vitae* i *memento mori*. Frazy, a więc i obrazy poetyckie Janusza Strojca są cięte, łamane, migawkowe, postaci i zdarzenia zarysowane wyraźnie, dojmująco. Wiersz toczy się szybko jak życie człowieka, w napięciu nerwowym:

splecione ręce
złożone ręce
pozostał wśród nas
odszedł
nie
on pozostanie w nas.

Wiele sytuacji lirycznych wtopił twórca w pejzaż zasępionej polskiej rzeczywistości przełomu lat 70. i 80. ubiegłego stulecia, pojawia się więc tak *anturaż* kolejkowy (cecha zewnętrzna), jak i rozlewający się smutek (cecha wewnętrzna): „Utrudzona trudem matka, / Codzienna polska rozmowa, / Kolejkowe narzekania, / Niespokojne moje serce” (*Dom*).

22 J. Strojec, *Wigilia 94* [wiersz], [w:] *Czarno-białe rysunki*, wybór wierszy: I. Smolka, P. Matywiecki, słowo wstępne Iwona Smolka, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”, Częstochowa 1995, s. 64.

23 Na łamach Częstochowskiego Pisma Artystycznego „miniGaleria” pojawiły się następujące wiersze J. Strojca: *Kikuty*, *Moja inność*, *Wzruszenia* (nr 3, październik – listopad 1993, s. 11); *Dziewczyna uliczna*, *Rocznik bardzo poprawny*, *Noc*, *Wigilia 93* (nr 4, październik 1995, s. 6); *Raj duszy*, *Metafizyka uprzejmości* (nr 6, listopad 1996, s. 13); cykl *Wigilie Janusza Strojca*: *Wigilia 90*, *Wigilia 91*, *Wigilia 92*, *Wigilia 93*, *Wigilia 94*, *Wigilia 95* (nr 7, grudzień 1995 – styczeń 1996, numer świąteczny, s. 4).

24 Tenże, *Wigilia 94*, Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny [później „Aleje 3”] nr 1, grudzień 1995 – styczeń 1996, s. 8.

25 (WMG) [W.M. Gaiński], „Okienko z wierszem”: J. Strojec *Reportaż*, s. 4.

Gdyby poeta urwał w tym miejscu, nadzieja byłaby jedynie w fazie potencji. Zmęczenie, bezsilność, przytłoczenie, przygniecenie przez los stępiony systemem – to bezwartości, którym należy przeciwstawić czyn budowy „mego / Polskiego domu”:

Zaczynam składać swój dom –
Papierowe ściany podpieram tekturą,
Zapałaczany dach smaruję akwarelą,
Glinianą podłogę zalewam betonem,
Szukam nowego sensu dla mego
Polskiego domu
(*Dom*).

Tytułowy dom nie jest budowlą z prawdziwego cementu i szkła, lecz myślą o Polsce, ideą ojczyzny; Janusz Strojec objawia się więc jako poeta współodczuwający niedolę momentu historycznego, twórca zaangażowany piórem. Ten wątek patriotyczny snuje się niczym nić przez liryki miesięcowe roku 1980: *Sierpień*, *Wrzesień* i *Listopad*, których nie sposób nie umieścić w kontekście wydarzeń sierpniowych, powstania „Solidarności”, czasu wielkich emocji, pragnień, ale i lęków. W *Sierpniu* bowiem czytamy: „Nad Polski sierpniowym / niebem / Zgromadziło się chmur wiele, / Spadł grad z deszczem łez, / Krew zmieniała swój obieg”. *Wrzesień* przynosi już nadzieję: „Przez okno zajrzało słońce”; wprawdzie pod głównym tekstem znajduje się odautorskie datowanie „1980 roku”, ale proponuję przeczytać je łącznie z ostatnim wersem utworu (tożsamym z pierwszym): „Przez okno zajrzało słońce / 1980 roku”. Z kolei aurę *Listopada* można rozszyfrować jako umiarkowaną (ostrożną) wersję „karnawału »Solidarności«”:

Mieszany to pejzaż,
Z rozterek i dążeń
i głosów wzburzonych
I serc niespokojnych
– Pod naszym tekturowym domem,
Zaczyna powoli
Kiełkować fundament.

Mamy więc tu ciąg dalszy pragnień zarysowanych już w *Domu*: „Papierowe ściany podpieram tekturą, / [...] / Glinianą podłogę zalewam betonem”, mimo niepokoju gmach się stabilizuje, bo choć „nasz tekturowy dom” jest słaby (tektura to wzmocniony papier, materiał raczej na okres przejściowy), to jednak *coda* wiersza *Listopad* („Zaczyna powoli / Kiełkować fundament”) urzeka zarówno pod względem materializacji wiary (czasowniki: „zaczyna” i „kiełkować”), jak i w sferze pięknego oksymoronu, stanowiącego esencję nadziei na przekór burzom: „kiełkujący fundament”.

Na miano wiersza-przygnębienia zasługuje natomiast liryk o incipicie ^{***}(*Mam*): „Mam / lat dwadzieścia trzy – / umieram powoli, / tak jak umierają / tysiącletnie drzewa”, choć równolegle nazwałbym go intymnym i ograniczającym świat do przeżyć „ja”. Janusz Strojec ujawnia również oblicze subtelnej liryki: „Gdyby przyszło znowu mi / zapłakać, / Tej jesieni wśród kasztanów. / Nie zniósłbym innych łez, / Niż te, co twój pejzaż poznały...” (*Pejzaż*), tym bardziej, że można – przynajmniej w jednej z wersji interpretacyjnych – traktować ten tekst jako erotyczny; „twój pejzaż” to bowiem z jednej strony krajobraz zobaczo-

ny przez „ty” miłosne, z drugiej natomiast – ciało, a więc mielibyśmy do czynienia z erosem skaleczonym, zranionym. Na trop sensualizmu pejzażowego wpadniemy bez wątpienia po lekturze utworu *Odlamek skalny*, gdzie – niczym w analizach freudowskich – rzeczym przypisano znaczenia seksualne: „Spotkałem się z górą, / Miała erotyczny kształt”.

Jaki jest zatem podmiot liryczny tych wierszy? Zakończenie *Odlamka skalnego* sugeruje, że to ktoś szukający siebie, stwierdzający własną kruchość, znikomość, prawie nieobecność: „Wczoraj spotkałem się z górą / Obok niej leżał mały kamyk, / Zwykły, nie zauważony / Biło ciche w nim serce, / Znalazłem siebie”. W *Ulicy* czytamy: „Zaszyję się w ciemność pokoju / bez paszportu”. Bohater wiersza czuje słabość wobec świata i może innych ludzi, chciałby się skryć, może nawet „nie być”, skoro utożsamia się z kamikiem „zwykłym, / nie zauważonym” (*Odlamek skalny*). Gdzie indziej, stojąc wobec potęgi gór, zauważa: „Wielotysięczne serce gór / Spogląda bielą śniegu / W smutek swej trwałości” (*Góry*).

Mimo iż poeta wyznaje: „Jak trudno pisać o miłości, / Pióro wysycha z pragnienia” (*Poszukiwania*) oraz „mam napisać wiersz erotyk, / i znowu gryzę ołówek” (*Reportaż*), wyodrębniłyśmy urywki sygnowane znakiem czystego erosa. Głównie będą to obrazy stonowane, z bardziej powściągniętymi emocjami, z uczuciem kipiącym pod skórą wierszy, między literami, za zasłoną: „Między mną a Tobą / to jak / między niebem a ziemią / wiersz niewypowiedziany” (*Między mną a Tobą*) albo wprost w sferze marzeń sennych i fizyczności, na granicy jawy i hipnozy, o czym mówi *Miłość*:

Znam miękkość ciał,
W draperii marzeń –
Jednoznacznie i blisko
Znam też oddalenie,
Wielotysięczne, bez dotyku,
W wiosennym chłodzie.

Między partnerami tężeją bolesne relacje czy zawiedzione pragnienia, a stan spustoszenia uczuciowego ukazuje antynomia ciepło – zimno: „Ja już nie wierzę / w kolejne dotknięcia / palce ma martwe / na ciepło odporne” (*Między mną a Tobą*). Stykamy się tu w pewnym stopniu ze śmiercią (oczywiście mentalną) „ty” lirycznego. Zwróćmy uwagę na motyw ciała w tej poezji: „upadnę na kolana przed tobą / moje ciało mnie odstąpi / będę czysty” (*Ulica*). Cieleśność zdaje się być objęta swoistym tabu, jawi się jako źródło grzechu, na pewno między podmiotem lirycznym a jego powłoką zewnętrzną istnieje napięcie, doznanie i uznanie winy: „Kobiety spoglądają na mnie / z odbicia drewnianych lusterek / Mężczyźni próbują siłą / Swego ... i stali” (*Ulica*), choć poeta pisze, że: „moje palce chcą dotykać przyziemie” (*Kikuty*); z innej notacji biologicznej wynotujemy *passus*: „z potarganych twoich włosów / z twego runa z jego / kędziorów / zaczęła / wyzierać Dusza” (*Raj duszy*). Wątek erotyczny w jakimś sensie koreluje z aurą *Mojej inności*, której tematem jest ekshibicjonizm, bycie i czucie się innym:

Moja inność
przypomina o mojej śmierci
jest cała bezwstydną,
wygląda dokładnie jak ja

Ma moją twarz, włosy, ręce:
jest Piotrkim, Rafałem, Andrzejem

obnaża się
w bezdotyku ulicy
i w jej szponach.

Gest ujawniania swojej osobowości i tożsamości znajdziemy w *Erotyku odsłoniętym*: „Ja kłown / ukrywam w tuszu / codzienność / umyłam twarz / z kolejnej warstwy szminki”.

W relacjach międzyludzkich (partnerskich) panuje chłód, snują się wygasłe uczucia:

masz w dłoni nóż
i wbijasz go ostrzem
między świątynie
i wszystko burzysz
rozrywasz wspólne godziny
delikatne paciorki uniesień
pomiędzy nami
już tylko
protezy marzeń
(*Kikuty*).

Nie jest łatwo nawiązać porozumienie, gdy „W naszej korespondencji Krzywe / dźwięki / Powyginane rybitwy wspomnień / i ta cholerna Uprzejmość” (*Metafizyka uprzejmości*).

Podmiot liryczny ucieka od ludzi, wśród których grozi mu śmieszność, brak zrozumienia, czekają upokorzenia i nieodwzajemniony gest wyciągniętej przez „ja” przyjacielskiej dłoni. Schronieniem staje się nieraz przestrzeń miasta, mająca początek w domach, a wiodąca w strefę ulic:

Coraz lepiej znam ulicę,
poznałem jej domy,
przyłapałem je,
gdy gadały do siebie
późną nocą
Wysokonogie plotkowały w samotni
o ludzkich wzruszeniach,
przyłapanie,
zachowywały się jak ludzie –
chciały uciekać
Domy są tak bardzo podobne
do ludzi,
kochają milczenie
(*Wzruszenia*).

Eskapizm nie może się w pełni dokonać, stąd uczłowieczenie przedmiotów i budowli, nadanie im mechaniki (odruchów) istot żywych. Antropomorfizacja, choć kreśląca intensywne miejskie pejzaże, sugeruje, że bohater znalazł się w sytuacji bez wyjścia, został schwytyany w labirynt, złapany „w życiu”. Jedyne, co może zrobić, to uświadomić sobie własną niewolę.

Znakiem rozpoznawczym częstochowskiego poety jest bez wątpienia cykl świąteczny (*Wigilie Janusza Strojca*), składający się z 6 wierszy-roczników – od 1990 do 1995 (*Wigilia 90*, *Wigilia 91*, *Wigilia 92*, *Wigilia 93*, *Wigilia 94*, *Wigilia 95*). Są to teksty w dużych swoich partiach komentujące rzeczywistość, więc nie brak też przywołania zdarzeń już dziś historycznych („Naszą wyobraźnię przerosła Rzeczywistość”, *Wigilia 90*), a wówczas rejestrowanych przez poetę na bieżąco: „Jaruzel rzucony o kant historii / [...] Jacek [Kuroń] gotuje zupki / w polskim kociołku mieszają bigos / nadzieja” (*Wigilia 90*). Zwróćmy uwagę, jak autor zręcznie przechodzi od ujęć niemal reportażowych do poetyckiego i surowego uogólnienia, co zresztą znamionuje zestaw liryków wigilijnych. Zacytujmy kolejny przykład:

a zima już grudniowa
i grube kalesony otulają wpajaną nadzieję
że będzie prosto zwyczajnie
jak w wielu miejscach na świecie
i prawda stanie koło prawdy
któraż to już Prawda
naszych ulepszonych światopoglądów
(*Wigilia 91*).

Nie tak wyobrażał sobie pewnie podmiot liryczny polski dom w wierszach z 1980 roku, musiał czuć się zatem zawiedziony, rozczarowany i oszukany: „liczymy / że jedno słowo / Prawdy cały świat odmieni” (*Wigilia 1995*). Poeta przeprowadził więc w *Wigiliach* gorzką analizę polskiej transformacji, pisząc o aferach, pysze i bezkarności władzy („Chłodno głodno a czasami zimno / kiedy wracał z jakiejś samorządowej narady / z kieszeniami wypchanymi dietą”, *Wigilia 92*), bogactwie nielicznych i udręce bezdomności. Znalazły miejsce w tych lirykach odwołania do wojny domowej w Rwandzie, niepokoju i nienawiści w Jugosławii i Czeczenii. Wszechobecne iluminacje świąteczne tworzą „sztuczny realizm”, imitację tak przesadną, że mogącą uchodzić za jedyną prawdę: „końcówka grudnia / Miasto jakby trochę zwariowało / stragany zapełniły się znowu tandetą” (*Wigilia 93*), „Chicago jak zwykle / zawyło neonami / a przed Bożym Narodzeniem / stało się bardziej niż betlejemskie” (*Wigilia 94*).

Przywołajmy z twórczości poetyckiej Janusza Strojca, na prawach uzupełnienia, dwie wzmianki częstochowskie: „Pośrodku Świętego Miasta / zaś wysoka jodła RMF-u / a z Jasnej Góry / ciche / lulajże Jezuniu” (*Wigilia 94*), „smutek jest dobrym przewodnikiem myśli / a w Częstochowie właśnie zasmucił się Pan Bóg” (*Kikuty*).

Na pewno Janusz Strojca nie rozpieszca czytelników, dawkuje swoje wiersze oszczędnie, lecz czy to rozważa, czy objaw zachwianej wiary w sens tworzenia, trudno orzec, niemniej im szczuplejszy jest dorobek dobrego poety, tym donioślejszy jest jego przekaz, więc warto wczytać się w każdą ofiarowaną literę.

Poeta od dawna pozostaje dla mnie tajemnicą. Być może swój właściwy dorobek ukrywa pod pseudonimem, być może to, co przeczytałem, jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Obym się nie mylił, gdyż nigdy za wiele dobrej literatury.

Guntis Berelis

JURIS KRONBERGS

Łotewski poeta i tłumacz Juris Kronbergs urodził się w 1946 roku i mieszka w Szwecji. Jego rodzice uciekli do Szwecji w 1945 roku podczas II wojny światowej, kiedy Sowieci zajęli Łotwę. Kronbergs czuje się swobodnie w dwóch kulturach. Tłumaczy prozę i poezję ze szwedzkiego na łotewski oraz z łotewskiego na szwedzki. W Szwecji zostało opublikowanych ponad 40 dzieł łotewskich autorów w jego przekładzie. Jako poeta jest dwujęzyczny, ale pisze głównie po łotewsku. W latach 1992-2002 pełnił funkcję attaché kulturalnego w ambasadzie Łotwy w Sztokholmie.

Zadebiutował literacko w 1970 r. zbiorem wierszy *Pazemes Dzeja*¹ (*Underground Poetry/Poezja podziemna*), który został wydany na arkuszu papieru w formacie A3 złożonym na cztery. Wiersze z tego zbioru spotkały się z różnym przyjęciem. Konserwatywne kręgi łotewskiej społeczności na emigracji zareagowały przerażeniem, ale reakcja młodego pokolenia była entuzjastyczna. W tym czasie Kronbergsa można postrzegać jako jednego ze zbuntowanych młodych twórców literatury łotewskiej. Autor wykazuje nieco anarchistyczną tendencję intelektualisty lewicowego, który nie wykazuje najmniejszego wahania przed demaskowaniem stagnacji społecznej i mitów. Kolejne opublikowane zbiory *Ienas un citi dzejoli* (1971) (*Common Cold and Other Poems/ Katar i inne wiersze*), *Biszāles* (1976) (*Buckshot/Proch*), *Tagadnes* (1990) (*Presences/Obecność*), *Mana latviskā ikdiena* (1994) (*My Latvian Everyday/Moja łotewska codzienność*) charakteryzują się nieco lżejszym tonem, ale nawet w tych zbiorach zauważalny jest sceptycyzm i ironia autora wobec społeczeństwa oraz tradycyjnych form literackich i klisz. Ten punkt widzenia z czasem zyskał w twórczości Kronberga nazwę „anty-poezja”. Aby to zilustrować, jeszcze niedawno Kronbergs napisał wiersz o komputerowych programach do sprawdzania pisowni, które oceniają wyrazy określające wiele małych narodów jako błąd ortograficzny. Tak więc Kronbergs oskarża komputer o rasizm, ponieważ ten nie był wrażliwy na problemy małych narodów, w tym Łotwy, w dobie globalizacji.

W 1994 r. Kronbergs współpracował z łotewskim poetą Uldisem Bērziņšem przy kolekcji zatytułowanej *Laiks* (*Times/Czas*). Połowa zbioru została napisana przez Bērziņša, a druga przez Kronbergsa. Warto dodać, że niektóre ze swoich wierszy Kronbergs zamieścił w języku szwedzkim, a te następnie zostały przetłumaczone na łotewski przez Bērziņša. Tomik powstawał w latach 1989-92, kiedy Łotwa odzyskiwała niepodległość lub – jak to nazywa Kronbergs – „kraje bałtyckie odchodzą od Imperium”. Chociaż w tekście znajduje się wiele wyraźnych odniesień o dokumentalnym charakterze, nie można uznać go jako „dokumentu



Juris Kronbergs, foto Egils Kronbergs

1 Polskie odpowiedniki łotewskich tytułów oraz fragmenty wierszy w przekładzie Olgi Wiewióry.

naszych czasów”. Teraźniejszość, ta chwila, są ściśle związane z wiecznością, a poeta może być tym, który łączy wieczność z teraźniejszością. Kiedy wszystko zostanie powiedziane i zrobione, nawet dzisiejsze wydarzenia staną się częścią wieczności. W rzeczywistości *Laiks* to kolejna utopia, dzieło, którego tworzenie nigdy się nie kończy. W miarę upływu czasu książka może się rozwijać, a czas może płynąć wstecz do nieskończonej cofającej się przeszłości, punkt wyjścia zawsze jest obecny. Nawet małe chwile można bez końca rozdzielać, aby rozpoznać „atomową” strukturę czasu. Czas tworzy teksty, teksty dają nam wgląd w czas.

Zbiór wierszy *Vilks Vienacis* (*Wolf One-Eye/Wilk Jedno Oko*) został opublikowany jako dwujęzyczne wydanie w języku łotewskim i szwedzkim w 1996 r. Bezpośrednią inspiracją było osobiste doświadczenie autora – odwarstwienie siatkówki oka. Doprowadziło to do zdeformowanego widzenia świata, które Kronbergs charakteryzuje w wierszach. *Vilks Vienacis* jest częściowo autobiograficzną, a zarazem starożytną metaforą zaczerpniętą ze skandynawskiej mitologii, która dotyka głębi naszego bytu. Centralnym zagadnieniem w tej pracy jest pytanie – czym dokładnie jest wzrok? Czy widzimy więcej dwójgim oczu niż jednym? Co to znaczy „widzieć do środka”? W końcu *Wilk Jedno Oko* dochodzi do wniosku, że:

„Język widzi
Język jest trzecim okiem (drugim)”
Wilk Jedno Oko w pamięci i języku

Kolejny zbiór – *Notikumu apvārsnis* (*Event horizon/Horyzont zdarzeń*) – jest precyzyjnie datowany: 11 września – 3 listopada 2001 r. Inspirowany była wieloma wydarzeniami. W tym czasie na Łotwie odbywał się *III Europejski okrągły stół poezji* – 10 września jego uczestnicy ogłosili, że poezja może uczynić świat lepszym miejscem. Następnego dnia miał miejsce atak terrorystyczny na World Trade Center w Nowym Jorku, po tym nastąpiły bombardowania Afganistanu przez USA i wojna z terroryzmem. Kronbergs napisał:

„Czy poezja może uczynić świat
kiedykolwiek choć trochę lepszym?
Czy to tylko przypomina nam
Że nigdy nie dowiemy się
Co czeka za rogiem?”

Jednak *Notikumu apvārsnis* w żadnym wypadku nie jest prostą, automatyczną odpowiedzią na dane wydarzenie, kilkanaście linijkami dziennikarza „na temat” lub czymś podobnym. Ta praca łączy ze sobą wątki z różnych okresów historii i z wielu krajów. Czasami autor podaje nawet szczegółowe przypisy do własnego tekstu. Inspiracja Kronberga mocno osadza się w starożytnych krainach między Tygrysem a Eufratem, gdzie ponad cztery tysiące lat temu powstała epopeja *Gilgamesz* – miejsce narodzin literatury. Ciąg wydarzeń historycznych sięga tak daleko, że w końcu zaczynamy zastanawiać się nad wiecznością i nieskończonością. Dziś kraina między Tygrysem a Eufratem znajduje się w Iraku, niedaleko stąd do Afganistanu, z którego przybył poeta o imieniu Rumi (ta postać pojawia się także w *Notikumu apvārsnis* Kronberga). Oto miejsce, w którym się spotykają – *Gilgamesz* i islamscy terroryści.

Inną inspirację Kronbergs czerpie z obszaru, w którym wielu innych pisarzy grzęźnie lub – w najlepszym razie – rymuje komentarze do tekstów filozofów. We wstępie do *Notikumu apvārsnis* Kronbergs cytuje astrofizyka Stephena Hawkinga i używa terminu, jakim posługiwał się fizyk – „horyzont zdarzeń” – jako tytułu swojej książki. Pojawienie się tego

terminu, a także wnioski innych fizyków teoretycznych, jest symptomatycznym podejściem Kronbergsa do poezji. W czasach, gdy powstawał epos *Gilgamesz*, poezji nie postrzegano jako odrębnej od wiedzy jako całości. Poetyckie zrozumienie było takie samo jak analiza racjonalnego świata. W rzeczywistości nawet dzisiaj poeta i astrofizyk zmagają się z tymi samymi problemami wieczności i nieskończoności. Obaj stoją przed tym samym problemem: jak opisać to, co nie ma nazwy. Jedyną różnicą jest słownictwo używane przez poetę i fizyka. Z tego właśnie powodu jest całkiem prawdopodobne, że teorie Hawkinga wydają się bardziej liryczne niż twórczość wielu poetów. Być może celem Kronbergsa jest połączenie tych dwóch światopoglądów. Może się to wydawać utopijnym i nieosiągalnym celem, ale mimo wszystko zachwycającym, więc:

„Mistrzowie tańczą
W snach fizyków
Nic nie tworzy substancji
Nigdy nie odnosi się do materii
To samo, co konsumujesz każdego dnia (...)
Materia formuje się, przemienia się oczywiście
Fortuna i Los kochają
Chaos pochodzi z tarcia i pozostawia odciski
Pamiętaj: motyl trzepocze skrzydłami
W Brazylii i porusza tornado w Teksasie
Lub:
Anioł trzepocze skrzydłami w raju
I rozpala miłość w Paryżu”.

Na koniec warto dodać, że w latach 60. i 70. XX wieku Kronbergs był perkusistą w łotewskim zespole rockowym. Ten związek z przeszłością został podtrzymany, gdy autor wydał płytę CD zawierającą wiersze z tomu *Vilks Vienacis*. Można usłyszeć tu głos poety podczas czytania tekstów z podkładem muzycznym w tle.

Przekład tekstu z języka angielskiego – Olga Wiewióra

Guntis Berelis – (urodzony 2 lipca 1961 r. w Cēsis) – łotewski krytyk literacki i pisarz. Studiował na Uniwersytecie Łotewskim na Wydziale Fizyki i Matematyki (1979-1981) oraz na Wydziale Bibliotekoznawstwa i Bibliografii na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łotewskiego. Swoje dzieła literackie zaczął publikować w 1986 roku. Wydał kilka kolekcji opowiadań, książek dla dzieci. Zajmował się także badaniem wątków postmodernizmu w prozie łotewskiej. Za książkę *Neēd šo ābolu, tas ir mākslas darbs* (pol. *Nie jedz tego jabłka, to dzieło sztuki*), która opowiada o łotewskiej prozie lat 90., a także za powieść *Ugunīgi vērsi ar zelta ragiem* (pol. *Ogniste byki ze złotymi rogami*) otrzymał Literacką Nagrodę Roku. W 1994 r. został członkiem Łotewskiego Związku Pisarzy. W latach 90. XX wieku powstały jego najważniejsze książki literackie *Klusums un vārds* (pol. *Cisza i słowo*), *Latviešu literatūras vēsture* (pol. *Historia literatury łotewskiej*) i *Neēd šo ābolu, tas ir mākslas darbs*. Współpracuje z magazynem „Karogs”, w którym regularnie publikuje recenzje najnowszej literatury.

Juris Kronbergs

VILKS VIENACIS
[pol. Wilk Jedno Oko]

Z jasnego nieba

Za dnia widział księżyc
I zwiotczały sznur na którym

czarny żuk tańczył nad widnokręgiem
wzdłuż mgły obłoków

wzdłuż jakby pokrytej pęcherzykami nitki

I ani słowa o akwariu
w głowie. Powoli lecz z premedytacją napełniał je

nieprzejrzystą kurtyną nieczystej wody

Ciemność opadała szybko na drogi i pola i lasy i śniegi
Źródła jeziora szuwały wzgórza zarośla i śniegi

W akwariu czarne żuki kręciły się to tu to tam –
Nasiona śmierci które szukały swojego początku:

W końcu

Wilk Jedno Oko w pierwszym dniu

Ołów świat ołów słońce ołów chmury
Ołów pięść bijąca w pierś ołów oka powieka
bolesny widzenia krąg

Ołów odbiera myślom myśl w miejsce ciężaru
Czarne gwiazdy czarne źrebięta w czarnych derkach
w kotlinie nieba czarne promienie nad sklepieniem oka

Wilk Jedno Oko żali się, wyleguje, tęskni
Za przyjemnymi snami o kotach i aniołach
budzi się w jednookim świecie

Nie przeklina losu nie przeklina śmierci
przeklina tylko ołów w sercu

Pragnie by dni więcej już nie było
lecz w nocy cierpi z bezsenności

i powietrze jest ciężkie i gwiazdy zgasły
słońce zgasło i wszystkie przyszłe dni
i wszystkie przyszłe dni

Jak Wilk Jedno Oko stracił oko

Pewnego ranka obudził się
wyczuwając w nozdrzach dziwny odór

Obok stała Śmierć
i Śmierć rzekła: „Ścigajmy się!”

Odparł: „Idź sobie, stara złodziejko,
dopóki jeszcze mogę się ruszać
będę kłoda pod twoimi nogami
rozszarpującą ciebie twój cień
i wszystkich twoich przyjaciół pędzących w be em wicach!”

Lecz Śmierć rzekła: „Ścigajmy się!” „Ścigajmy się!”

„Dobrze, ścigajmy się do zachodu” – odparł
„Podążajmy za zachodem słońca. Zatrzymamy się wtedy, kiedy ostatni
promień słońca przebieje się przez ciało powietrza!”

Tak biegli bok przy boku
Śmierć ze swoim odorem i swoim cieniem
Wilk ze swoim futrem i swoimi zębami
ostrymi jak skutki niektórych słów

Biegli przez wsie i miasta
pola zagrody po drogach i mostach

Powoli Śmierć wyraźnie słabła
bo nawet w biegu czyniła swoją robotę

Widząc, że Wilk będzie pierwszy
podstępnie chciała złapać go za kark lecz trafiła w oko

Więc to zdarzyło się, gdy Śmierć zapragnęła jego ciała
Więc to zdarzyło się, gdy Śmierć zaczęła brać swoją część

Wilk Jedno Oko dwójga oczu

Był czas gdy Wilk Jedno Oko
 nie był Wilkiem Jedno Oko
 Wtedy nie nazywano go Wilkiem Dwoje Oczu
 lecz tylko Wilkiem

Tego czasu nie mógł sobie przypomnieć

Czy wtedy widział podwójnie to, co widzi teraz?
 Swoje narodziny i umieranie?
 Przeszłość i przyszłość?
 Zło i dobro ludzkiej natury?
 Przede wszystkim jedno potem drugie czy oba na raz?
 Uczciwość i oszustwo?
 Oszustwa dwa razy tyle zdrady dwa razy tyle?
 Kości i trzewia?
 Obnażoną nagość?
 Tych którzy raz zasiali las?
 Tego który raz zasiał świat?
 I czy to był on sam?
 A gdyby to był ktoś inny
 czy on by to widział – czy to nie było pytanie
 o widzenie ale o punkt widzenia?

Wilk Jedno Oko myśli o niezmienności

Wszystko w przyszłości będzie
 jak teraz. Nie. Śmierć zwycięży

Nigdy więcej nie będę
 tym kim byłem wcześniej. Nie. Śmierć zwycięży

Więcej nie będę jednością. Dla mnie
 przedłuży się wieczność. Nie. Śmierć zwycięży

Każdego ranka spróbuję poszerzać horyzont. Śmierć zwycięży
 Poszukam tego światła które było. Śmierć zwycięży

Mgła jest i będzie moim jedynym wiernym sąsiadem
 Ciemność wyzna to czego światło nie powie. Śmierć zwycięży

Wilk Jedno Oko obserwuje swoje myśli

Zobaczył, że do wnętrza
może patrzeć tak samo dobrze jak dwójgiem oczu

Zaczyna obserwować swoje myśli
Ze środka lasu wydostaje srebrny ekran

Rozpina go w pustym kącie swojego mózgu
Obserwuje jak nerwowe końcówki myśli zaczynają się formować

„To prawda że co myślę to widzę gdy
nie myślę czuję tylko jak końcówki nerwów tańcząc kreślą wzór wiersza!

Lecz gdy nową myśl myślę widzę więcej tych starszych!”

I jego myśli przychodzą wolniej i wolniej
i każda kolejna jest cieniem poprzedniej

Czuje się jak mówca który słyszy swoje echo
milknące coraz wolniej i wolniej

Wilk Jedno Oko wpada w zakłopotanie zaczyna ciskać myśli w coraz szybszym tempie
plącze się w fałdach meta-myślenia w kłębówisku mtv-rozbłysków

W końcu pojmuje że rzeczywistość skrywa
jedną nieuniknioną myśl:

jeśli coś się stanie z drugim okiem

Wilk Jedno Oko wyobraża sobie mrok

„Jeśli zostanę bez oka
Jeśli świat zniknie

Jeśli mnie zamknie w ciemnej przestrzeni”
Wilkowi Jedno Oko urywa się oddech

Jest wczesny mglisty poranek o pierwszym wschodzie słońca
jeden promyk Jutrzenki prześlizguje się przez gęstwinę
jak nagły podmuch przez bezwietrzny dzień

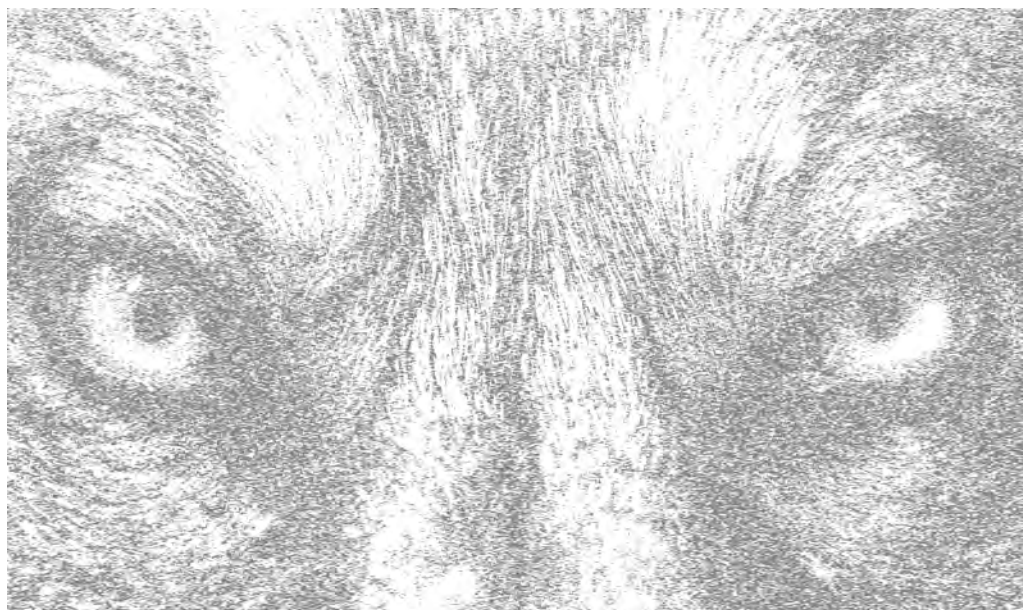
Wilk Jedno Oko upija się bytem
Wszystkie wcześniej wzgardzone drobiazgi na wpółzgniłe szyszki

stają się niezbędne. Chce objechać świat
odwiedzić obce lasy badać owady ryby
próżnię położyć na wagę

Nawet podróżować w czasie z powrotem do historycznych miejsc
poczuć dawne lecz istotne uczucia

widzieć widzieć widzieć

*Wybór i przekład
Olga Anna Wiewióra*



INSPIRACJE I FASCYNACJE.

Z Jackiem Szczerbakiem rozmawia Ida Jadwiga Łubińska

Skąd czerpiesz inspiracje i pomysły do swoich utworów? Wiem, że wielokrotnie tworzyłeś opowiadania z gatunku *fantasy*...

Od lat jestem fanem fantastyki i związanych z tą dziedziną historii, czy to w postaci gier komputerowych, filmów, seriali, czy książek. Wciąż pozostaję pod wielkim wrażeniem powieści Guya Gavriela Kaya *Under Heaven* i *River of Stars* oraz gry *Total War Three Kingdoms*. Zainspirowały mnie. To pod ich wpływem powstało to opowiadanie, pisane równolegle z powolną, rozsmakowaną w szczegółach rozgrywką i lekturą. Inne inspiracje to podróże oraz osobiste poszukiwania związane z kulturą wschodu, buddyzmem i mitologią.

Jak długo trwa ta fascynacja?

Mniej więcej od 10 lat. Kiedyś przypadkowo trafiłem na wykład Marka Witka o buddyzmie tybetańskim na Festiwalu Kultury Buddyjskiej w Częstochowie. Zaciekał mnie swoim ekscentrycznym sposobem bycia i poczuciem humoru i przez kilka lat nawet medytowałem i poznawałem to środowisko, jeździłem na wykłady i czytałem książki o buddyzmie. Pojechałem też do Chin, Tajlandii, Wietnamu i Kambodży, gdzie zwiedzałem klasztory i ruiny. W niektórych z tych miejsc, np. w Angkor Wat miałem wrażenie, jakbym przeniósł się do jakiegoś miejsca z książek *fantasy*.

Napisałeś doktorat. Na jaki temat? Gdzie i kiedy? W jaki sposób przekłada się to na Twoje aktualne zainteresowania?

Doktorat o relacjach prasowych z rewolty studenckiej z 1968 roku napisałem na Uniwersytecie im. Mickiewicza w Poznaniu, gdzie studiowałem lingwistykę stosowaną. Do dzisiaj fascynują mnie te czasy idealizmu, eksperymentów i kontrkultury, chociaż ostatnio o wiele bardziej wolę starszą historię, najlepiej średniowieczną albo starożytną. Pewnie dlatego, że nasza wiedza o tych czasach ma sporo luk, które można wypełniać własnymi wyobrażeniami, jak w powieściach historycznych.

A mnie zaintrygowała tematyka Twojej pracy doktorskiej. Można by jakieś szczególnie interesujące jej fragmenty opublikować. To już historia. I wiele osób nie pamięta, nie zna tamtych wydarzeń... Na koniec chcę jeszcze dopytać, czy jest coś, czym chciałbyś się podzielić z czytelnikami, coś od siebie dodać?

Chciałbym wytłumaczyć się w tego Maranu, dlaczego nie napisałem, że chodzi po prostu o Chiny, chociaż pewnie łatwo się tego domyślić. Chciałem przez to podkreślić, że jest to opowiadanie bardziej fantastyczne niż historyczne i nie dotyczy żadnego konkretnego miejsca ani okresu. To znowu pomysł zaczerpnięty z Guya Gavriela Kaya, który w *Podróży do Sarancjum* przedstawił swoją alternatywną wizję Bizancjum. Opisując kraj tylko inspirowany historycznymi Chinami, a tak naprawdę wymyślony, dałem sobie większą swobodę, niż gdybym zdecydował się na opowiadanie o postaciach i wydarzeniach historycznych. Takie „krzywe zwierciadło” wynika też z lenistwa, bo pozwoliło mi uniknąć żmudnej lektury książek historycznych. Wolę powieści i opowiadania.

I.J. Ł. Dziękuję za rozmowę!

Jacek Szcherbak

LISI CZAR – BAJKA Z DALEKIEGO MARANU

Mistrz Fu Ling ciasniej zawiązał chustę na głowie i potarł zgrabiąle z zimna ręce. Choć w dolinie drzewa nosiły jeszcze jesienne liście, na górskich szlakach zalegał już śnieg, a każdy oddech zamieniał się w mgiełkę pary. Całe szczęście, że jego wędrówka zbliżała się wreszcie do końca – za następną przełęczą powinien już dojrzeć Wichrowy Klasztor, z którego przed rokiem wyruszył na misję. Próbował przekazać nauki Czterech Szlachetnych Postaw i Siedmiu Błogosławionych Praktyk mieszkańcom dzikich stepów Gofanu, bez większych sukcesów, co Mistrz Fu Ling przypisywał swoim marnym zdolnościom językowym. Choć nauczył się na pamięć całego słownika gofańsko-marańskiego i przestudiował wszystkie stare gofańskie kroniki i poematy, jakie tylko znalazł w klasztornej bibliotece, jego wymowa budziła nieestosowną wesołość, kiedy wyjaśniał Istotę Bytu i Niebytu albo szukał gofańskich odpowiedników dla „niebiańskiego spokoju” czy „nieśmiertelnej duszy”. Gofanie, słysząc „nieumierający duch”, wyobrażali sobie, że ten dziwny przybysz zza Krańcowych Gór próbuje im zaoferować swoje usługi jako szaman przywołujący duchy zmarłych. Zwracały się do niego wdowy z zapytaniem o swoich zmarłych mężów i młodzi wojownicy, dopytujący się o bojowe rumaki, które potracili w boju i czy w Krainie Śmierci są szczęśliwe. Na taką naiwność Fu Lingowi pozostawało jedynie pokiwać z politowaniem głową. Mistrz z rozczarowaniem zadumał się nad ich przesądami i brakiem zrozumienia dla wyższych religijnych idei. Tamtejsi szamani, kiedy tylko zdali sobie sprawę, że cudzoziemski mistrz raczej nie odbierze im wyznawców, zaprosili go kiedyś na ceremonię Przywołania Ducha Wielkiego Jeźdźcy, na której, wypiwszy przypadkiem kubek ohydnej brei, którą mylnie wziął za miejscową herbatę, Fu Ling tańczył do rana przy ognisku, a nad ranem jeszcze opowiadał szamanom swoje sny, choć nie przypominał sobie, żeby tej księżycowej nocy w ogóle kładł się spać. Potem Wielki Jeździec objawił się także i jemu w postaci gadającego kota.

– Wiem, że trochę trudno ci w to uwierzyć – powiedział mu wtedy młody pręgowany ruzdzielec, ocierając się grzbietem o jego kolano. – My, koty, zwykle nie rozmawiamy z ludźmi, są na to zbyt ograniczeni.

– W takim razie czemu ja zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał Fu Ling, głaszcząc go energicznie za uszami.

– Pomyślałem, że tej nocy, kiedy księżyc tak jasno świeci, mogą ostatecznie zrobić wyjątek, a poza tym mam dla ciebie wiadomość.

Wiadomość od kota brzmiała, że powinien udać się w powrotną wędrówkę do Wichrowego Klasztoru. Słyszając to, mistrz Fu Ling nagle zatęsknił za swoimi braćmi i spokojnym klasztorным życiem. I teraz, ciężko dysząc pod ciężarem torby z księgami i zwojami, wchodził właśnie na przełęcz, z której już widać było kryte czerwoną dachówką pagody i Ogród Świętego Spokoju z szemrzącą wśród drzewek pensai fontanną. Pierwsze, co zauważył, to Wielki Posąg Świętego o Łagodnym Uśmiechu, który zamiast jak zwykle górować nad dziedzińcem, leżał na ziemi z roztrzaskanym tułowiem i patrzył w niebo, uśmiechając się zapewne nad marnością ludzkich dzieł i wyobrażeń. Kolejną rzeczą, która w czystym, górskim powietrzu i świetle popołudniowego słońca rzucała się w oczy mimo odległości, była wyważona z zawiasów drewniana brama. Choć zwykle stała otworem, mnisi nigdy nie pozostawiliby jej zawieszoną krzywo na jednym górnym zawiasie jak

złamane ptasie skrzydło. Pewne było, że klasztor został napadnięty i prawdopodobnie też splądrowany. „A co z braćmi?” – pomyślał z niepokojem mistrz, zbiegając w dół śliską i wyboistą ścieżką do wyważonych wrót i wykutych w skale, zawieszonych nad przepaścią budynków.

– Mistrzu Ling! – usłyszał wołanie z góry. Ściągnął zakrywający mu oczy kaptur i zadarł głowę. W otwartym oknie biblioteki stał Pan Song – przyjaciel i darczyńca klasztoru, władca na sąsiednim zamku Mao Zhu. Spotkali się w połowie drogi na dziedzińcu, na którym żołnierze w mundurach rodu Song układali na wozie ciała mnichów – mądrego i zawsze pogodnego opata Lu Fo, małomównego mistrza Wanga, który zagadnięty zwykle odpowiadał grą na flecie, nowicjusza Bo, który opiekował się ogrodem i bibliotekarza Puia o niezrównanej pamięci do starych wierszy. Wszyscy mieli jednakowe, głębokie rany na gardłach i zakrwawione szaty.

– Kto mógł to uczynić? – zawołał z rozpaczą Fu Ling do Pana Songa, zapominając o ukłonie. Pan Song pierwszy uklonił się nisko mnichowi i odpowiedział:

– Widział ich jeden z moich ludzi, jak uciekali w Dolinę Żurawi. Trzech zamaskowanych mężczyzn w czerni na najlepszych sardańskich koniach. Pewnie są już daleko stąd. Wygląda mi to na Bractwo Cieni.

– Kto wynajmuje najdroższych w kraju zabójców, by pozbyć się nieszkodliwych sług Świętego?

– Mam nadzieję, że wkrótce się tego dowiemy.

– Nie po to, by dokonać zemsty, ale by zrozumieć.

– Oczywiście – zgodził się Pan Song, który był pobożnym uczniem Ścieżki Czterech Szlachetnych Postaw i Siedmiu Błogosławionych Praktyk i choć pochodził z kasty wojowników, wystrzegał się przemocy.

– A starszy brat Ho Fan? Nadal mieszka w pustelni? Jest bezpieczny?

– Zmarł zeszłej zimy.

– Niech jego dusza odnajdzie drogę!

Cesarz Shao, Syn Zielonego Smoka i Władca Pięciu Kierunków, nie był ostatnio zadowolony ze swojej trzeciej żony, Pani Hu. Odkąd wróciła z pielgrzymki do Wichrowego Klasztoru, jej gra na pięciostrunowej lutni utraciła dawną harmonię i łagodność. Dźwięki, jakie teraz wydobywała z instrumentu, nie stały się bynajmniej fałszywe czy nieprecyzyjne, lecz zamiast koić cesarskie nerwy, wprowadzały go raczej w ponury nastrój, a dawniej zawsze uśmiechnięta i posłuszna małżonka teraz całymi dniami medytowała w ogrodach, gdzie zaczęła też wykonywać dziwny taniec, przypominający ćwiczenia wojowników. Poza tym dwukrotnie wymówiła się od obowiązków małżeńskich, tłumacząc się niedyspozycją, choć według cesarskiego kalendarza za każdym razem wypadała akurat pomyślna i płodna noc. A teraz trzymał w ręce jej list, przejęty przez zaufanego eunucha, pisany do „Czcigodnego Opata Lu Fo” bardziej zamasztyśnym niż dawniej i jakby męskim charakterem pisma. Uderzająca była jednak nie tyle kaligrafia, co treść: „Wypowiedziane wiele lat temu życzenie pozostania na tym świecie i spotkanie z doskonałą istotą pozwoliły mi uniknąć kolejnych narodzin. Huli jing spełniła moje życzenie, choć uczyniła to w przewrotny i zadziwiający sposób. Dwie dusze mogą połączyć się w jednym ciele, nawet jeśli jedna należy do żyjącej, a druga do zmarłej istoty. Śmierć, jak nauczał Święty, nie stanowi większej przeszkody”.

Cesarz zamyślił się. Złe czary dotknęły jego najbliższe otoczenie. Miał dowód opętania Pani Hu przez ducha jednego z tych szalonych mnichów Świętego. Choć wydawali się tacy nieszkodliwi i nauczali chłopów, że nie warto buntować się przeciwko losowi, sami dopuszczali się wynaturzonych czarnoksięskich praktyk, a co gorsza, zamieszali w to jego ulubioną

żonę. Nawet nie tyle zamieszała, co zbrukali jej czystą, niewinną osobę, być może nieodwracalnie. Klasnął w dłonie, przywołując służbę.

– Przyjmę Ministra Rytuałów – powiedział. Herbata na jego języku miała gorzki posmak.

– Jesteś okrutnym i zepsutym człowiekiem, Panie – powiedziała Pani Hu, nalewając cesarzowi herbatę. Zadbała o to, by jej ręka, w której trzymała czajnik, zatoczyła zwyczajowy pełny łuk, połączony z tanecznym ruchem głowy. Nie mogła sobie w takiej chwili pozwolić na okazywanie słabości.

– Twój czyn przynosi hańbę całej dynastii. Przejdziesz do historii jako cesarz, który kazał zamordować bezbronnych uczonych Świętego.

Cesarz skrzywił się, Hu nie wiedziała, czy na jej słowa, czy na smak herbaty, którą zaparzyła wyjątkowo mocną i cierpką.

– A o tobie kroniki napiszą: „Popadła w obłęd lub opętała ją demon i spędziła resztę życia w odległej południowej prowincji o paskudnym klimacie”.

– Uwierz mi, Panie, że po tym, co zrobiłeś, każde miejsce jest dla mnie dobre, jeżeli tylko leży dość daleko od ciebie.

– Jest taka wyspa na Perłowym Morzu, nazywa się „Wyspą Moskitów”. Wysłałam na nią urzędników, którzy przyjmowali zbyt wysokie łapówki i konkubiny, które dręczyły mnie swoją mową.

Hu wzięła głęboki oddech. Odkąd zaczęła medytować zgodnie z praktyką, jaką codziennie przez 35 lat klasztornego życia wykonywał starszy brat Ho Fan, potrafiła lepiej opanować oddech i własne emocje. Teraz też zmusiła się do spokoju i swoim dawnym, łagodnym głosem powiedziała, jakby zaczynała jedną z klasycznych dworskich opowieści:

– Kiedy był jeszcze młody, czyli pewnie bardzo dawno temu, Ho Fan spotkał kiedyś huli jing.

– Kobietę-lisa z ludowych opowieści?

– Właśnie, lecz była całkiem realna. Zbierając w lesie grzyby, zauważył lisicę w pułapce kłusownika. Uwolnił ją i opatrzył jej zranioną łapę. Wtedy lisica przemieniła się w kobietę o urodzie nieśmiertelnych, która w podziękowaniu obiecała Ho Fanowi, że spełni jego życzenie. Mistrz Ho Fan opowiadał mi tę historię w swojej pustelni, w której poczęstował mnie zaskakująco wybornym winem pigwowym. Miał twarz pomarszczoną jak stare jabłko, lecz jego spojrzenie było pełne mocy i życzliwości. Umarł kilka dni później.

– Czego zażądał od lisicy?

– Zadałam mu to samo pytanie. Zaśmiał się i odpowiedział, że zażyczył sobie odrodzenia na ziemi w nieśmiertelnym i doskonałym ciele, które będzie mógł dowolnie zmieniać, tak samo jak huli jing raz przybiera postać lisa, a raz pięknej kobiety.

– I to niby się stało? Chcesz mi wmówić, że opętał cię ten lubieżny stary mnich?

– Nie, próbuję ci powiedzieć, że Ho Fan osiągnął nieśmiertelność i objawił się w moim ciele. Cały czas się objawia.

– Minister Rytuałów zaproponował, żeby poddać cię egzorcyzmom.

– Nic by nie dały. Zresztą są niepotrzebne. On już i tak sam niedługo mnie opuści.

– I będziesz taka jak dawniej?

– Chyba już nic nie będzie takie jak dawniej po tym, jak nasłales zabójców na klasztor.

– A gdybym ufundował nowy klasztor?

– Wtedy, kto wie, przy odrobinie szczęścia nie odrodzisz się w następnym życiu jako owad.

– Stałaś się zbyt bezczelna, nawet Cesarzowa Wdowa tak do mnie nie mówi.

– Cesarzowi nikt nie ośmiela się mówić prawdy. Na tym polega słabość IX Dynastii.

Mistrz Ho Fan dokładnie zapamiętał chwilę, kiedy ostatni oddech opuszczał jego stare, wysłużone i chrapiące przez sen ciało. Jednym z powodów, dla których zamieszkał w pustelni, oddalonej o pół li od Wichrowego Klasztoru, było właśnie jego głośnie chrapanie, którym budził innych mnichów. Sam oczywiście nie miał okazji się o tym przekonać, ale rano ziewający, niewyspani bracia o zaczerwienionych oczach, często pytali go, z jakimi to demonami walczył we śnie, bo w nocy syczał, gwizdał, a nawet krzyczał coś niewyraźnie. Dopiero na granicy snu i śmierci przekonał się, jak wielką cierpliwością wykazywali się jego przyjaciele przez długie lata, zanim wyprowadził się do pustelni. Ostatni oddech starego Ho Fana był połączony z przeciągłym, świdrującym gwizdem, który narastał i narastał, aż sam się od niego przebudził, ale już poza ciałem. Widział je wyciągnięte na posłaniu i nieruchome. Oczy miało zamknięte, a usta wykrzywione jakby w drwiącym uśmiechu. Wyglądało jak ciała innych nieboszczyków, jakie widział w swoim długim życiu.

Znacznie ciekawsze było wrażenie unoszenia się w powietrzu. Wyleciał przez szczelinę w oknie i poszybował przez rozświetlone księżycem niebo. Gwiazd było o wiele więcej i świeciły nie tylko srebrem, lecz każda miała własną, niepowtarzalną barwę i rytm pulsowania. Po nocnym niebie fruwały nietoperze. Niektóre przelatowały całkiem blisko, a nawet jakby przez niego, nie natrafiając na żaden opór. Przypomnił mu się wiersz o przelatującym żurawiu, który recytował kiedyś brat bibliotekarz – „swobodnie i lekko jak duch, niesiony wiatrem”. Jednak jego wiatr wcale nie unosił, choć słyszał, jak lekki podmuch porusza liśćmi drzew i drewnianymi kołatkami zawieszonymi pod dachem klasztoru. „Nie ma uszu, lecz słyszy, nie ma oczu, lecz widzi” – nauczał Świąty.

Wtedy przypomniawszy sobie o huli jing – kobieta-lis obiecała mu dar odrodzenia. Przez całe lata wcale o nie myślał o tym spotkaniu z nieśmiertelną. Przypomniała mu o tym objawieniu dopiero Pani Hu, Trzecia Cesarska Małżonka, parę dni temu – choć teraz wydawało się to bardzo dawno – jej śpiewny głos miał ten sam kuszący i czarodziejski ton, co głos huli jing. Myśl o Pani Hu przeniosła go natychmiast nad Pałac Zielonego Smoka. Choć za życia nigdy nie przestąpił Zakazanej Bramy, dokładnie wiedział, gdzie mieszczą się apartamenty Pani Hu. Okna jej sypialni były zamknięte, lecz bez trudu przecisnął się pod zamkniętymi drzwiami. Spała na wielkim łożu z rozrzuconymi jedwabnymi poduszkami. Oddychała spokojnie i bezgłośnie. Duch mistrza Ho Fana zawisł tuż nad jej małym zadartym nosem, który zadrżał lekko, po czym wciągnął głęboko powietrze, zasysając go do środka.

Budząc się następnego dnia, jak zwykle tuż przed południem, Pani Hu przypomniawszy sobie o lataniu nad Wichrowym Klasztorem. Przeciągnęła się, ziewając i przywołując kolejne fragmenty sennych marzeń – bezgłośnie fruwające wokół nietoperze, gwiazdy o pulsującym, niebieskim, zielonym i czerwonym świetle, wreszcie lot nad Pałacem Zielonego Smoka, zamknięte okno w jej sypialni i jak ominęła tę przeszkodę. „Ominęła czy ominął? Ale właściwie kto?” – pomyślała. W tej chwili zrozumiała, że mistrz Ho Fan nie żyje.

– Właściwie jestem teraz nieśmiertelny – usłyszała wewnętrzny głos. – Bardzo mi przykro, Pani, zdaje się, że oboje padliśmy ofiarą lisich czarów.

– Lisich czarów? Co to ma znaczyć? – Pani Hu przebudziła się już na dobre. Wstała z łóżka i spojrzała w lustro, by upewnić się, czy przypadkiem nie chodzi o czary oszpecające. Poza lekką błądzącością wszystko było na całe szczęście w porządku.

– Pamiętasz, Pani, jak opowiadałem ci o moim spotkaniu z huli jing? – odezwał się znowu głos.

– Ale to przecież niemożliwe. Jak śmiałaś wybrać akurat mnie? Jestem Trzecią Małżonką Cesarza.

– Niestety, w mojej pustelni przez ostatnie 20 lat bardzo niewiele widziałem kobiet. Huli jing są duchami pożądania. Chyba nawet po śmierci jesteśmy im posłuszni.

Mei Mei od dziecka służyła Pani Hu. Była tylko o dwa lata młodsza od Trzeciej Małżonki i choć pochodziła ze skromnej, prowincjonalnej rodziny, cieszyła się większym zaufaniem swojej pani niż większość jej dam dworu. To ją Pani Hu pytała o najnowsze plotki krążące wśród służby, kiedy Mei Mei cesała i upinała jej włosy albo wykonywała masaże i liczne upiększające zabiegi.

W ciągu kilkunastu lat służby Mei Mei nigdy nie jeszcze nie widziała, żeby Pani Hu wybiegła z sypialni z rozwianymi włosami w nocnej sukni, by zasiąść w ogrodzie ze skrzyżowanymi nogami jak jakiś mnich Świętego. Kiedy okrywała jej ramiona ciepłym płaszczem i stawiała na trawie tacę z sokiem z mango, usłyszała, jak Pani Hu mamrocze jakieś niezrozumiałe słowa.

– Dobrze się czujesz, Pani? – zapytała. – Czy weźmiesz poranną kąpiel?

– Później, Mei Mei. Zostaw mnie teraz samą.

Pani Hu wzięła głęboki oddech i mamrotała dalej. Mei Mei skłoniła się nisko, choć Pani Hu miała przymknięte oczy i była myślami zbyt daleko, by móc to zauważyć.

Członkowie rodziny cesarskiej dość często zachowywali się ekscentrycznie, chociaż u kobiet zwykle ograniczało się to do oryginalnych strojów i fryzur, ewentualnie do kolekcjonowania niecodziennych przedmiotów albo zwierząt. Pierwsza Małżonka, Cesarzowa Xi, założyła na tyłach Ogrodu Zachodu menażerię, w której zamieszkał kirin (było to łagodne zwierzę o śmiesznie długiej szyi, podobno dar od jakiegoś zamorskiego króla), tuzin małych małpek, a nawet niedźwiedź panda. Druga Małżonka nosiła szaty o tak długich rękawach, że idąc, zamiatała nimi podłogę, a Czwarta (i ostatnia, poniżej której w pałacowej hierarchii stały nienumerowane już konkubiny), choć najmłodsza, od lat budowała swój wielki podziemny grobowiec, w którym kazała umieścić całą armię figur strażników z terakoty. W porównaniu z nimi Pani Hu jak dotąd nie przejawiała żadnych dziwacznych upodobań, z wyjątkiem może zwyczaju zwiedzania okolicznych klasztorów Świętego, gdzie składała przesadne hojne – zdaniem Mei Mei – dary i skąd pożyczła niezliczone księgi, które często kazała sobie czytać przed snem. Mei Mei przeczytała jej wszystkie *Siedem ballad o nieszczęśliwym zakończeniu*, *Dzieła Zebrane Wyklętych Poetów VI i VII Dynastii* i *Kronikę oblężenia miasta granicznego Liyantong przez hordy barbarzyńców i potworów zza Długiego Muru oraz bohaterskiej obrony przez Cesarzową Yu*. Jednak ostatnio Pani Hu coraz częściej prosiła, by czytać jej *Mysli i mantry Świętego z czasów jego ostatniego wcielenia*, które brzmiały na przykład tak:

„Przesiedziawszy bez słowa siedem wieczornych godzin pod Drzewem Opo-
wieści, Święty wypowiedział te oto słowa do zebranych uczniów, pogrążonych
w głębokiej medytacji, w jaką wprawiała ich jego doskonała obecność:

»Panowanie nad umysłami innych ludzi jest przejawem słabości, a nie siły.
Panować nad własnym umysłem jest rzeczą całkowicie wystarczającą, a przy
tym szlachetniejszą. Nawet cesarz, bóg czy nieśmiertelny nie powinien innych
istot mieć za swoje sługi, lecz własnymi siłami podążać do coraz to doskonalszej harmonii«

Mei Mei zapamiętała ten fragment, bo był ostatnim, jaki jej przeczytała. Od paru dni Pani Hu sama czytała sobie księgi i zwoje, czasem cicho mrucząc przy tym pod nosem, a najczęściej całkiem bezgłośnie, w cieniu drzewa paulowni, z którego wiatr zrzucił właśnie ostatnie liście.

Jesienią Pani Hu popadała niekiedy w melancholię, lecz dotąd miała ona dość łagodny charakter. Tym razem Mei Mei z żalem stwierdziła, że od nadmiaru modlitw i książek jej pani zaczęła dziwacznie i coraz częściej mówić sama do siebie, nie zwracając wcale uwagi na wierną sługę. Dziewczyna poczuła się ignorowana i by o sobie przypomnieć, postanowiła wykonać Taniec Smutnej Czapli, zamiast siedzieć na wilgotnej trawie za swoją panią i wpatrywać się bez końca w liście, fruwające na zimnym wietrze. Stała przed nią i dwukrotnie się ukloniwszy, dotykając czołem ziemi, zafalowała nagle długim jedwabnym rękawem, przegięła w tył plecy i rozpuściła włosy, by porwał je wiatr. Potem szeroko rozłożyła ramiona jak szybujący ptak i lekko przebiegła kilka kroków w jej stronę.

– Chcesz mi przez ten taniec powiedzieć, że siedzę w ogrodzie jak szalona Cesarzowa Wdowa i wiatr niszczy mi fryzurę?

– A do tego narażamy się na plotki szpiegów Cesarzowej Tfu. Może uznać, że wędrowniki do klasztorów ci nie służą i zakazać ci opuszczania pałacu.

– Masz rację, ale chyba powinniśmy mieć jakiś pretekst, by przesiadywać w ogrodzie o tak chłodnej porze. W takim razie ja też zatańczę – powiedziała Pani Hu, wykonując przed Mei Mei jeden, nie tak głęboki ukłon i powtarzając jej ostatnią figurę. Kolejne kroki nie należały już do Tańca Smutnej Czapli ani do żadnego innego, jaki Mei Mei kiedykolwiek widziała. Były to Lisie Łapy na Wilgotnej Trawie, jak powiedziała Pani Hu, nie przerywając tańca. Jej figury przypominały trochę ćwiczenia wojowników ze Szkoły Sokoła, lecz były przy tym pozbawione całej ich agresji. Nie był to wcale smutny, lecz raczej zamyślony lis, stwierdziła Mei Mei, próbując naśladować jej ruchy. Pani Hu tańczyła cały ten długi układ jak coś, co należy do codziennej rutyny, a powtarzane setki i tysiące razy stały się pewnym sposobem przywoływania pewnego uporządkowanego i pożądanego stan umysłu, otwartego na wszelkie sugestie, lecz przy tym uspokojonego.

Taniec był istotnym elementem codziennych praktyk mistrza Ho Fana od ponad trzydziestu pięciu lat. Zaczął tańczyć niedługo po spotkaniu z kobietą-lisem. Kroki te, za każdym razem inne i jego samego zaskakujące, wykonywał, przypominając sobie pełen wdzięku sposób poruszania się huli jing. Te doskonale nieśmiertelne istoty, które przybierały niekiedy postać lisic, a niekiedy wyjątkowej urody kobiet, były duchami tych nieśmiertelnych, którzy porywali śmiertelników do swojego raju, w którym czas wcale nie płynął. Mogły minąć całe lata, a nawet setki lat, zanim huli jing przypominała sobie, by zwrócić porwanego człowieka z powrotem jego dawnemu światu. Taki nieszczęśnik siedł do swojego domu, gdzie dowiadywał się, że zmienił się cesarz i to kilka razy, a wszyscy, których znał, już dawno umarli – nawet jego dzieci, które doskonale pamiętał, że były jeszcze całkiem małe, kiedy ostatni raz je widział. A przy tym on sam nie postarzał się nawet o rok. Każdy obawiał się spotkania z huli jing, lecz nikt nie potrafił im się oprzeć. Zadawały wybranym przez siebie śmiertelnikom zawsze to samo pytanie: „Jakie jest twoje życzenie? Mogę je spełnić, jeśli mi się spodoba”.

Ho Fan tańczył w ciele Pani Hu, zachwycając się jej młodością i talentem. Wcześniej podczas siedzącej medytacji, osiągnął z nią prawie doskonałą harmonię – nie był już obcym demoniem w cudzym ciele, intruzem podsłuchującym jej myśli i podglądającym jej sny. To były już jego sny i jego taniec, nie było już miejsca, w którym kończyła się Pani Hu, a zaczynał się Ho Fan, który w tej chwili przypominał sobie, że dopiero co przecież umarł. A jeśli mimo to tańczy, to pewnie istotnie, dzięki życzeniu wypowiedzianemu huli jing trzydzieści pięć lat temu, sam stał się nieśmiertelny. I wtedy w krzakach peonii po drugiej stronie małego, porośniętego lotosem kanału, przecinającego Ogród Wschodu, dostrzegł(a) lisa. Na jego widok obie tańczące kobiety znieruchomiały, patrząc, jak zwierzę o wspaniałym lśniącej futrze drepce pomału w ich stronę z otwartym, lekko szczerzącym się, jakby uśmiechniętym pyskiem.

Lisica, będąca objawieniem nieśmiertelnej Pani Czo, słynnej tancerki z czasów II Dynastii, zstąpiła do krainy śmiertelnych, bo spełnić dawną obietnicę. Ponad trzydzieści lat minęło od jej spotkania z tym mnichem, który był na tyle bezczelny lub ekscentryczny, że zamiast porwania do krainy nieśmiertelnych zażyczył sobie pozostania na tym marnym, tymczasowym świecie, pełnym cierpienia i innych niedoskonałości. Zamiast udać się z nią do siódmego albo i ósmego raju, gdzie jak swoi poprzednicy zgłębiałby u niej tajemnice miłości i filozofii, on wolał odrodzić się na ziemi, a do tego „w doskonałym i nieśmiertelnym ciele”. Nie było to łatwe życzenie do spełnienia, nawet dla bogini.

Pani Czo w skromnym, lecz eleganckim ciele lisicy, usiadła u stóp Pani Hu i oparła łeb na miękkich łapach.

– Nie macie czasem ryżowych ciasteczek? – zapytała. – Mogłabym sobie, oczywiście, sama coś upolować, ale przechodzę na weganizm.

Podobnie jak kot, który przemówił w barbarzyńskim Gofanie do mistrza Fu Linga, lisica odezwała się nie słowami, lecz posługując się znaną nieśmiertelnym sztuką czytania i mówienia w myślach.

Mei Mei zwróciła się do swojej pani:

– Czy ja dobrze rozumiem, że mam przynieść ryżowe ciasteczka?

Pani Hu uśmiechnęła się i skinęła jej głową. Służąca skłoniła się dwukrotnie przed Panią Hu, a po chwili wahania też raz przed lisem i odeszła w pośpiechu.

– Mam nadzieję, że spodobał wam się mój czar – zaczęła huli jing, kiedy zostały same. – Nie całkiem może mi wyszło z nieśmiertelnością, ale jak mówią moi wyznawcy „co dwie dusze, to nie jedna”.

– Poprzednio byłaś chyba srebrnym lisem, czy mi się wydaje?

– Pamiętasz? A myślałam, że ludziom wszystkie lisy wydają się takie same. Tak, tamtego futra już dawno nie mam, są jednorazowe. Kiedy wracam do siebie, zwierzę zostaje tutaj, gdzie kończy jak wszystkie zwyczajne lisy.

– A czemu nie objawisz się w swojej ludzkiej postaci? – zapytała Pani Hu, która w połowie tańca lisich kroków uzyskała dostęp do wszystkich wspomnień Ho Fana.

– Moje ludzkie wcielenia za bardzo rzucają się w oczy. Tak jest bardziej dyskretnie. Ale pewnie nie mamy zbyt wiele czasu. Za chwilę przyjdzie jakiś ogrodnik i zacznie krzyczeć „Szu-szu! Uciekaj stąd!”.

– To bardzo prawdopodobne. Twój dar jest znakomity, ale obawiam się, że nie spodoba się cesarzowi.

– Ładny mi cesarz! – prychnęła lisica. – Nadęty bufon i nieudacznik. Urządza polowania na lisy. Z nagonką! I uważa to za świetną rozrywkę! Nie mogłam jednak przewidzieć, że po śmierci dusza mojego mnicha poleci akurat do cesarskiego pałacu, chociaż muszę powiedzieć, że świetnie wybrał. Czar rzuciłam, zanim jeszcze ty, Pani, się urodziłaś. A co do nieśmiertelności, to wymaga jednak wymiany ciała.

– Wymiany ciała?

– Tak. Dusza mistrza Ho Fana będzie ciągle wędrować od osoby do osoby, kierując się pożądaniem i ciekawością. Wędrowkę wywoływać będą sny o kimś upragnionym. I niekoniecznie trzeba będzie przy tym umierać jak stary Ho Fan.

Pani Hu już miała jej odpowiedzieć, ale właśnie pojawił się pałacowy ogrodnik, który klasnął w dłonie i syknął: „Szu-szu! Uciekaj stąd!” i lisica czmychnęła w zarośla. A kiedy nadeszła Mei Mei z talerzem ryżowych ciasteczek, uklonił się przed Panią Hu i wyjaśnił: „Cesarzowa Tfu zabrania dokarmiać zwierzęta”.

Po brutalnej napaści na Wichrowy Klasztor Mistrz Fu Ling został jedynym żyjącym mieszkańcem klasztoru z wyjątkiem brata Taia, ale ten przebywał na misji na Deszczowych Wyspach. Pan Song w trosce o jego bezpieczeństwo zostawił mu kilku strażników, którzy naprawili i wzmocnili bramę i na zmianę pełnili wartę. Fu Ling kilka razy wyszorował podłogę Komnaty Ukojenia, usuwając krew, która zdążyła wsiąknąć w deski. Potem kazał żołnierzom wywieźć szczątki rozbitego posągu – z wyjątkiem uśmiechniętej głowy, którą umieścił w Ogrodzie Świętego Spokoju pod starym figowcem. Robił to wszystko jakby nieobecny duchem, wciąż wspominając nieżyjących przyjaciół, ich spojrzenia, gesty i głosy podczas wspólnie śpiewanych mantr. „Niech wasze dusze odnajdą drogę” – powtarzał co chwilę i przykładając złożone dłonie do uszu, oczu i ust. Spalił przed ołtarzem Świętego cztery trociszki za każdego z braci, ufając, że dym okadzi i oczyści klasztor zbrukany przemocą. Kiedy śpiewał modlitwę za zmarłych, usłyszał, jak wtóruje mu cicho kobiecy głos. Odwrócił się i ujrzał Panią Hu, składającą mu potrójny ukłon.

– Mistrzu Fu Ling, czuję się odpowiedzialna na śmierć opata Lu Fo, mistrza Wanga, mistrza Puia i nowicjusza Bo.

– Wasza Wysokość z pewnością nie mogła dopuścić się takiej zbrodni – odparł Fu Ling, także nisko się kłaniając.

– Cesarz polecił Ministrowi Rytuałów surowo ukarać mnichów z Wichrowego Klasztoru za praktykowanie czarów. Minister Rytuałów zwrócił się z tym do Ministra Kar, który powiedział mu, że sądy są przeciążone nadmiarem spraw i polecił zwrócić się do Bractwa Cieni, które sprawiedliwość wymierza równie skutecznie, a do tego szybciej. Moja służąca Mei Mei usłyszała o tym od sekretarza Ministra Rytuałów, który zapisuje wszystkie jego rozmowy.

– Ale o jakie czary Jego Cesarska Wysokość, oby żył 10 000 lat, oskarżył nasz Klasztor?

– Czy starszy brat Ho Fan wspominał ci kiedyś o swoim spotkaniu z huli jing? Napisałam list do opata Lu Fo, ale został przechwycony przez ludzi mojego męża. Opisuję w nim czar, który kobieta-lis rzuciła na, a właściwie dla starego Ho Fana.

– Kiedyś o tym wspominał. Zażył sobie czegoś osobliwego, ale nie pamiętam już dokładnie, czego.

– Chciał po śmierci odrodzić się w doskonałym ludzkim ciele, które mógłby swobodnie zmieniać.

– Cały Ho Fan! Skąd mu przyszła do głowy taka niedorzeczność! Ale co to ma wspólnego z cesarzem?

– Dusza Ho Fana jest we mnie. Ja jestem Ho Fanem. Przynajmniej na razie. Oczywiście jestem też nadal sobą, trudno to wyjaśnić.

– Koniunkcja dusz? Pisał o tym Mistrz Su Kong z III Dynastii w *Interesujących interpretacjach interpersonalnych*.

– „Nie istnieją żadne znane z teorii i praktyki jaźni przeszkody, by dwie, a nawet kilka dusz jedną zamieszkiwało istotę” – wyrecytowała z pamięci Pani Hu.

– Ale to nie może się tak przecież skończyć – powiedziała Pani Hu, zapalając trzy rytualne świece na ołtarzu Świętego w Wichrowym Klasztorze, by kontemplować Trzy Skarby. Zapalając pierwszą świecę, patrzyła (podobnie jak zawsze robiła to jako Ho Fan), jak światło rozchodzi się wokół i rozświetla cienie. Przy drugiej skupiła myśl na płomieniu własnego życia, który teraz w ciele Pani Hu tlił się równo i mocno. Trzecia świeca była kontemplacją wypalającego i ulatniającego się w powietrzu wosku i myślą o naturze czasu. Obok płonących świec mistrz Fu Ling wyłożył na ołtarz pięć miseczek z pięcioma rodzajami owoców, symbolizującymi pięć żywiołów: ziemię, ogień, drewno, wodę i metal.

– Jeśli to prawda, co mówisz, a zakładam, że twoja służąca nie kłamie, to oznacza, że cesarz utracił mandat niebios.

– Zapewne zabrzmi to jak zdrada, ale być może potrzebna jest zmiana na Smoczym Tronie.

– A może i na Tronie Feniksa?

Feniks był symbolem pierwiastka żeńskiego i cesarzowej, a smok – znakiem pierwiastka męskiego i cesarza. Oba mityczne stwory były wyrzeźbione na stojących naprzeciw siebie tronach w Sali Mądrości i Majestatu. W jednym zasiadała Cesarzowa Tfu, plując, jak miała w zwyczaju, pestkami wiśni do porcelanowej filiżanki. W drugim Cesarz Shao popijał dla symetrii grzane szafranowe wino z lakowej czarki. Tuzin dam dworu stał wokół Tronu Feniksa, trzepocząc wachlarzami i szepcząc sobie nawzajem do ucha i co chwilę chichocząc. Wokół Smoczego Tronu stali mandaryni w jednakowych szeleszczących jedwabnych kaftanach w kolorach odpowiadających ich pałacowej randze. Na drugim końcu sali utalentowana lutnistka wygrywała senne, uspokajające nuty.

– Nie ma innego wyjścia. Musisz zawrzeć nowe małżeństwo – powiedziała Cesarzowa, plując pestką, która zabrzęczała cicho o dno filiżanki.

– Ale ja mam już cztery żony! – odpowiedział lekko rozdrażniony cesarz. – Czasem myślę, że to aż nadto.

– Bez trudu mógłbyś oddalić co najmniej jedną z tych niewydarzonych dziewczyn. Wykazałaś godną podziwu cierpliwość wobec Pani Hu, która, niestety, wciąż pozostaje opętana. Jeśli nie pojmiesz za żonę księżniczki Ta Szy, znowu wybuchnie wojna, a wiesz, jak fatalnie się to zawsze odbija na zyskach z karawan.

Księżniczka Ta Szy (było to jej marańskie imię, to gofańskie było zbyt trudne do wymówienia dla cudzoziemców) była starszą córką Ulbeka, wodza Gofan. Plemię to nie uznawało ani władzy marańskich cesarzy, ani nauk Świętego, ani nawet sztuki parzenia herbaty i budowania miast. Zamieszkujący bezkresne stepy po drugiej stronie Długiego Muru Gofanie żyli jak ich przodkowie pod dachem nieba, podążając niestrudzenie za swoimi stadami koni i bydła. Ich obozy powstawały tam, gdzie akurat zatrzymywała się horda. Rozbijali wtedy wygodne, choć nie chroniące przed przeciągami skórzane namioty i rozpalali wielkie ogniska, przy których tańczyli i upijali się kumysem – mocnym trunkiem z kobyłego mleka. Albo urządzali honorowe walki na długie kije, w których udział brały także kobiety. Od gofańskich księżniczek oczekiwano biegłości w tych zawodach, lecz Ta Szy była prawdziwą mistrzynią. Często bez trudu powalała na ziemię silniejszych i bardziej doświadczonych przeciwników, czasem nawet z najlepszych wojowników Plemienia z przybocznej straży swojego ojca.

Tej nocy były ostatnie takie zawody. Następnego dnia miała wyruszyć w daleką drogę aż do marańskiej stolicy i zostać jedną z żon tamtejszego cesarza, o którym słyszała tylko, że nie jeździ konno, tylko wszędzie każe się nosić w fotelu na nosidłach, zwanym palankinem. Nie mogła się pogodzić z tym, że ojciec oddaje ją za żonę takiemu człowiekowi. W dodatku zniewieściałemu i staremu Marańczykowi. A wszystko to dla swoich wybujałych politycznych ambicji.

Przymierze z Cesarstwem, o które zabiegał Ulbek, musiało być potwierdzone małżeństwem, które dawało Ulbekowi dostęp do cesarskiego dworu. Bardziej niż cesarską żoną Ta Szy miała być szpiegiem ojca.

– Chcę wiedzieć, ile koni ma garnizon w Wielkim Mieście. Chcę wiedzieć, co mówi twój mąż na zebraniach ze swoimi doradcami. Chcę wiedzieć, jak oni tkają jedwab i jak są w stanie wyżywić taką masę ludzi w tych kamiennych miastach.

– Tak, ojcze.

– I nie rób takiej miny. Kiedy dowiesz się, czego trzeba, znowu ruszymy na wojnę. Bę-

dziesz moimi oczami i uszami. Daję ci cztery moje najlepsze sokoły. Wszystkie szkolił Szaman z Jaskini Czaszek.

– Dziękuję, ojciec.

– Znasz mowę zwierząt, Ta Szy?

– Sam mnie uczyłeś.

– Przesyłaj mi nimi wiadomości. To dużo bezpieczniejsze niż ten marański papier i znaki kreślone pędzlem.

– Oni są zwyczajnie słabi. Mogłbyś ich pokonać nawet bez wysyłania mnie tam. Walczyłabym u twojego boku.

– Twój mąż raczej nie będzie ci się naprzykrzać. Ma podobno oprócz czterech żon niezliczone niewolnice. Ale postaraj się w miarę możliwości urodzić jego dziecko. Nie dla niego, tylko dla nas. Zostanie następnym cesarzem. A ty będziesz Cesarzową Matką, czy jak oni to nazywają.

– Mam nadzieję, że pozwolą mi tam polować.

– Na południu Maranu żyją tygrysy o takich rudych, przegrywanych futrach. W twojej umowie małżeńskiej będzie zapis, że możesz jeździć konno i polować, ile tylko zapragniesz. I jeszcze jedno – chcę się czegoś dowiedzieć o ich szamanach i czarach i czy znają wojenną magię, którą mogliby nam zagrozić.

Cesarz Shao nie miał szczęścia do małżeństw. Cesarzowa Tfu z każdym rokiem stawała się coraz grubsza i bardziej apodyktyczna. Druga Małżonka, Pani Lu Tse, interesowała się wyłącznie projektowaniem coraz to dziwniejszych i trudniejszych do rozsypiania strojów, zupełnie jakby chciała go tym zniechęcić do miłosnych zbliżeń. Kiedy pewnego razu, zniecierpliwiony, poprosił, by przyjmowała go w zwykłej nocnej sukni, Pani Lu Tse rozplakała się i zaczęła krzyczeć, że nawet on, którego miała za osobę wyrafinowaną, nie ma za grosz zrozumienia dla jej sztuki krawieckiej. Trzecia, Pani Hu, której konwersację cenił równie wysoko jak jej doskonałe, jakby stworzone do rozkoszy ciało, po tej całej aferze z klasztorem coraz bardziej się od niego oddalała. Sama przyznała, że w jej ciele zamieszkał obcy duch jakiegoś oświeconego mnicha. Shao nie miał zamiaru sypiać z opętaną. Z czarami trzeba uważać. Taki duch mógłby opętać i jego, a wtedy cesarstwo byłoby zgubione. Pani Hu z ulgą zgodziła się na rozwód. Od razu przeniosła się do Wichrowego Klasztoru, zabierając ze sobą tylko jedną służącą. Podobno została tam opatką. Po tym rozwodzie Czwarta Małżonka, Pani Su Liu, awansowała na Trzecią, ale z niej też nie było żadnego pożytku. Zajmowała ją wyłącznie życie pozagrobowe i ciągnęła rozbudowa własnego mauzoleum. Po nocy spędzonej z Panią Su Liu zwykle dręczyły go ponure myśli. Całe szczęście doczekał się już siedmiu synów, w tym aż trzech z Cesarzową, więc ciągłość IX Dynastii była zapewniona.

A teraz po żmudnych wielogodzinnych ceremoniach ślubnych spędził pierwszą noc ze swoją nową Czwartą Małżonką, Ta Szy. Pierwszą i ostatnią, jak sobie obiecywał. Tylko dla dobra cesarstwa pojął za żonę barbarzyńską księżniczkę. Choć była niezaprzeczalnie powabna, jej manery były prostackie, nie potrafiła grać na żadnych cywilizowanych instrumentach muzycznych, a do tego nie była nawet dziewicą. A już niewybaczalne było to, że ośmieszała się wyśmiać jego wyrafinowaną miłosną technikę. Rozdrażniony, szybkim krokiem udał się do pałacowego haremu, by jak najszybciej zapomnieć o tym przykrym rozczarowaniu w ramionach konkubin, od których jego żony wiele mogłyby się nauczyć.

Nowa Czwarta Małżonka, Księżniczka Ta Szy (której chińskie imię oznacza Pani Celnego Łuku) już kilka dni po przybyciu do Pałacu Olśniewającej Wspaniałości Syna Niebios (jak brzmiała pełna nazwa kompleksu cesarskich pałaców w sercu Wielkiego Miasta Xu Dong) ujrzała rudego tygrysa, o którym wspomniał jej ojciec. Nie było to jednak niestety

na polowaniu, lecz w menażerii Cesarzowej Tfu, gdzie mieszkał też łagodny, długoszyi kirin, a ostatnio pojawiała się także dzika lisica o przepięknym futrze, która lubiła ryżowe ciasteczka. Tygrys miał na imię Kicia i był ulubieńcem Pani Tfu, która teraz z poufałością głaskała go i szarpała za grube futro na karku.

Ta Szy zatrzymała wzrok na jasnych, błyszczących nawet w słońcu ślepiach. Tygrys Kicia, który nienawidził swojego imienia, lubił nawet tę poufałość, która była też oznaką śmiałości Cesarzowej. Jednak gdy tylko ujrzał Księżniczkę Ta Szy, całą uwagę skupił właśnie na niej, ignorując swoją panią. Gdy spotkał się wzrok dziewczyny i tygrysa, jedno i drugie poczuło nagłą i dość oszałamiającą obecność, zupełnie jakby każde z nich czytało w myślach i drzemało w ciele tego drugiego. Tygrys usłyszał w swoich futrzastych uszach głos księżniczki, która nauczyła się od ojca rozmawiać ze zwierzętami. Mówiła do niego:

– Co za sielanka! Cesarzowi też jesz z ręki?

– Szczerze mówiąc, nie przepadam za tym jegomościem – odpowiedział jej telepatycznie tygrys. – Co z tego, że jest cesarzem? Zachowuje się, jakby wcale mnie nie widział, ale jego pot ma zapach strachu.

– O wilku mowa – powiedziała Księżniczka Ta Szy, która towarzyszyła Cesarzowej Tfu w jej spacerze do menażerii i stała blisko niej, choć w bezpiecznej odległości od tygrysa, gotowa wrócić do przerwanej rozmowy. Rozmawiały o jej „godnym ubolewania” – jak wyraziła się Cesarzowa – „barbarzyńskim wychowaniu”.

Ta Szy patrzyła, jak sunąc długim, zamaszystym i niecierpliwym krokiem, zbliża się do nich ich cesarski małżonek, opędzając się od kilku urzędników wyższego szczebla, sądząc po kolorach ich szat, którzy próbowali wyprosić u niego przyłożenie cesarskiej pieczęci. Pieczęć znajdowała się na trzecim palcu cesarskiej ręki i była wryta w jadeicie osadzonym w grubej i niewygodnej złotej oprawie, która bez przerwy przypominała mu o ciężących na nim nieustannie obowiązkach Najwyższego Sygnatariusza Pałacowej Biurokracji. Kiedy odpędzeni gniewnym głosem i zniecierpliwionym machnięciem Syna Niebios urzędnicy wycofali się, bijąc potrójne ukłony, Cesarz Shao, udając, że nie widzi wśród dam dworu swojej najnowszej żony, zwrócił się ciągle rozdrażnionym głosem do Cesarzowej:

– Nie minął tydzień od mojego ślubu z tą małą dzikuską, a jej ojciec już sprawia problemy. Mówiłaś, że małżeństwo załatwi sprawę, a tu proszę, przed chwilą przyjechał posłaniec z Siedemnastej Bramy Długiego Muru. Znow na ziemiach Gofan zaginęła cała karawana razem z eskortą – tuzinem halabardników i trzema tuzinami kuszników! Zapadli się pod ziemię, razem z ładunkiem żeń-szenia, złota, jadeitu, jedwabiu i niewolników. I to już trzeci taki przypadek w tym miesiącu!

– Uspokój się, mój drogi Panie – powiedziała Cesarzowa Tfu. – Podniesiemy podatki i łatwo powetujemy sobie wszelkie straty na handlu.

– Nie o to chodzi! W dupie mam żeń-szeń, złoto, jadeit, jedwab i niewolników! Tu chodzi o mój honor, co ja mówię, o honor dynastii!

– Nie unoś się, proszę, wiesz, że Kicia tego nie lubi.

Długi ogon tygrysa rzeczywiście zaczął nerwowo drgać, jakby przechodził przez niego prąd, a potem nawet bić o ziemię na dźwięk piskliwego i pełnego pretensji głosu Cesarza.

– W dupie mam to, co lubi twoja kicia! – wrzasnął wściekły Cesarz, omiatając nieprzytomnym wzrokiem damy dworu. – Ci Gofanie to plemię zawszonych, kłamliwych bandytów, nieumiejących nawet jeść pałeczkami ani wymawiać poprawie czterech tonów!

Ta Szy faktycznie nie umiała jeść pałeczkami, co podczas weselnej uczty wywołało pełen zgorszenia chichot – najpierw cesarza, a następnie reszty ucztujących. Jednak ze swojej znajomości marańskiego była nawet dumna. Wielokrotnie służyła ojcu jako tłumaczka, kiedy

rozmawiał z marańskimi kupcami i dowódcami. Co prawda nigdy specjalnie nie przykładła się do wymowy.

– Powinniśmy byli wysłać na nich ze trzy armie z południa, zamiast się z nimi żenić.

– Nie martw się, z czasem dziewczyna nabierze ogłady.

– Jest pospolita i irytująca. Naucz ją zachowywać się, bo inaczej ją odeślę – powiedział cesarz, wpatrując się teraz prosto w Ta Szy.

Nie mówi się tak do córki wodza Gofan! – pomyślała księżniczka, znów nawiązując kontakt wzrokowy z tygrysem. Jedną myślą napięła potężne mięśnie drapieżnika.

– Kicia, siad! Siad, mówię! – krzyknęła Cesarzowa Tfu. Lecz Kicia, owładnięty gniewem księżniczki, nie zamierzał wcale jej słuchać. Skoczył prosto na Syna Niebios, przewracając go na ziemię jak szmacianą lalkę. Przyduślił go przednimi łapami i zatopił kły w jego chudej szyi, po czym jednym szarpnięciem rozerwał mu tętnicę, złamał kręgosłup i prawie oderwał głowę.

Książę Xu Dao, najstarszy syn Cesarzowej Tfu, jak większość dziesięcioletnich chłopców z arystokratycznych rodów, lubił jeździć na kucyku, grać w go i słuchać makabrycznych opowieści. Choć znał już na pamięć *Mysli i mantry Świętego z czasów jego ostatniego wcielenia*, jego charakter pisma był jeszcze dziecinny, a wypracowania na temat sprawowania rządów i reform IX Dynastii, jakie zadawał mu prywatny nauczyciel, zdradzały naiwność typową dla jego młodego wieku. Cały cesarski dwór oczekiwał więc, że jeszcze co najmniej przez kilka lat regentką młodego cesarza będzie jego matka albo któryś z najbardziej wpływowych ministrów.

Jeszcze tego samego tragicznego dnia, w którym stary cesarz wstąpił do Niebios, a młody na Smoczy Tron, Księżniczka Ta Szy wysłała do ojca sokoła z wiadomością: „Cesarz nie żyje. Miał wypadek z tygrysem. Jego następca jest jeszcze dzieckiem. Ministrowie i cesarzowa kłócą się, kto ma rządzić. To najlepszy czas, żeby uderzyć”.

Jednak mimo młodego wieku Xu Dao okazał się władcą nadspodziewanie energicznym i zdecydowanym, zupełnie jakby nagle spłynęła na niego mądrość cesarskich przodków lub – jak twierdzili inni – opętał go demon, podobnie jak niedawno Panią Hu.

– Nie, mamo, nie będziesz moją regentką – zawołał, siedząc na wysokim Smoczym Tronie i machając nogami, którymi nie sięgał do marmurowej podłogi. – Sama tresowałaś Kicię, prawda? Podejrzliwi wrogowie mogliby cię oskarżyć, że spowodowałaś śmierć ojca, żeby przejąć władzę. Poza tym pewnie słyszałaś, że lud za tobą nie przepada.

– Lud nie ma tu nic do gadania – odparła Cesarzowa Tfu. – Jak dorośniesz, zrozumiesz, że chcę tylko twojego dobra.

– A ja chcę, żeby moi poddani byli szczęśliwi, jak za czasów Błękitnego Cesarza. On też objął tron w młodym wieku.

– Nie możesz jeszcze sam rządzić cesarstwem. Jeśli mnie odsuniesz, zostaniesz mario-netką ministrów.

– Chyba wiem, jak tego uniknąć – uśmiechnął się młody cesarz i klasnął w dłonie, przyzywając sekretarza.

– Wezwij Panią Hu i Mistrza Fu Linga z Wichrowego Klasztoru. Będą służyć mi radą. Odwołuję cały gabinet, a Ministra Rytuałów i Ministra Kar skazuję na banicję. Nie muszą jechać na Wyspę Moskitów, ale niech udadzą się gdzieś równie daleko. – Sekretarz notował błyskawicznymi ruchami pędzelka jego słowa. – Wprowadzam zmiany w kodeksie kar – 20 uderzeń kijem zamieniam na 20 sztuk srebra albo 20 dni służby publicznej. Znoszę karę śmierci i tortury. Od tej pory nie trzeba poddawać się kastracji, by zostać pałacowym sługą. Ogłaszam całkowitą amnestię. Chłopi mają prawo opuszczać ziemię i bez podatku sprze-

dawać płody rolne na targu... Każdy arystokrata ma obowiązek płacić dwie grzywny złota rocznie za każdego swojego zbrojnego...

W ciągu pierwszych kilku dni swojego panowania Xu Dao wydał aż pięćdziesiąt podobnie radykalnych edyktów. Ku wielkiej konsternacji mandarynów powołał Panią Hu na Ministra Oświecenia i Sztuki, a kiedy któryś ośmielił się przypomnieć, że jest przecież kobietą, powierzył jej jeszcze Wysoki Urząd Emancypacji Kobiet. Pana Songa, darczyńcę Wichrowego Klasztoru i człowieka o wielkiej prawości i uczciwości, mianował Ministrem Handlu i Jedwabnego Szlaku. Mistrzowi Fu Lingowi i Czwartej Wdowie Ta Szy polecił wspólne opracowanie nowego słownika marańsko-gofańskiego i gofańsko-marańskiego z zapisem fonetycznym.

– Wiem, że rozumiesz mowę zwierząt – powiedział Xu Dao do Ta Szy. – A przynajmniej tygrysów i sokołów. I wiem, że wysłałaś do ojca sokoła z wiadomością. A nawet wiem, co to była za wiadomość.

Widząc przerażenie w jej oczach, młody cesarz roześmiał się.

– Nic się wielkiego nie stało. Możesz mu wysłać nową wiadomość. Ale najpierw coś ci pokażę.

Z niewielką świtą udali się konno za mury Wiecznego Miasta. Ta Szy nie mogła uwierzyć, że nikt jej jeszcze nie zamknął w ciemnym lochu, a nawet o nic nie oskarżył. „Źle go oceniłam” – pomyślała – „Ten dzieciak jest groźniejszy, niż mi się wydawało”. Zatrzymali się przy niewielkim oddziale żołnierzy, którzy przetaczali i ustawiali wielką metalową rurę osadzoną na ciężkim dwukołowym wózku z okutymi blachą kołami.

– Widzisz tamtą starą stodołę? – pokazał jej cesarz. – Niech wszyscy teraz zatkają uszy! Gotowi? Ognia!

Zapaliwszy wystający z rury kawałek sznura, żołnierze sami też zatkali uszy. Po chwili rozległ się ogłuszający huk i stodoła zamieniła się w drzazgi i pył.

– Ulubiona zabawka mojego ojca – wyjaśnił cesarz. – Nazywa się bombard. Koniecznie wspomnij o niej Ulbekowi, kiedy będziesz słać do niego następnego sokoła.

Bombarda była co prawda tylko jedna, a przetransportowanie jej wołami na granicę z Gofanem zajęłoby kilka tygodni, ale niezaprzeczalnie robiła wrażenie.

Jasny księżyc rozświetlał pałacowe ogrody, po których spacerowali we dwoje: mały cesarz i jego świeżo mianowana Minister Oświecenia, Pani Hu. Nocną ciszę przerywał tylko szum liści na wietrze i kumkanie żab, zamieszkujących liczne kanały i sztuczne stawy, pochłaniające negatywną energię. Zatrzymali się na jednym z drewnianych mostków, prowadzących na sztuczną wyspę z altaną i zapatrzili się na odbicie księżyca w pomarszczonej drobnymi falami wodzie. Pani Hu, upewniwszy się, że nikt ich nie usłyszy, zwróciła się cichym głosem do cesarza:

– Jeszcze niedawno interesowałeś się tylko jazdą na kucyku i budowaniem zamków z drewnianych klocków.

– Musiałem szybko wydorosnąć.

– Miałeś może ostatnio sen o lataniu?

– Tak, zaraz po śmierci ojca. Stary Ho Fan jest teraz we mnie, żeby dalej służyć innym. Ale ciebie wcale nie opuścił, prawda?

– Objawia się w nas jednocześnie. To dziwne, dwie dusze mogą mieszkać w jednym ciele, ale może też być odwrotnie.

– Zatańczysz ze mną ten jego lisi taniec?

– Z przyjemnością.

Jacek Szczerbak – z pochodzenia częstochowianin, z zawodu tłumacz z języka angielskiego i niemieckiego.

Ida Jadwiga Łubińska

JÓZEF FRASOBLIWY

I

Słońce dopiero co zajaśniało na horyzoncie. Świt wolno przedzierał się przez zakurzoną szybę okna. Józef, opierając się o bufet zniszczonego kredensu, jeszcze sprzed wojny bolszewickiej, z trudem zdołał dobrać do parapetu. Przed nim odsłona jesiennych barw.

Obraz niby codzienny, a jednak inny. Konary drzew, kolory liści poprzecinane gałązkami przypominają ołowiane kontury witraży w miejscowym kościele. Poruszane wiatrem ruchome kompozycje mienia się odcieniami żółci, czerwieni, zieleni i brązu, a nawet niebieskości czy delikatnego fioletu, może granatu... W wyobraźni Józef tworzy zamknięty ramą obraz. Jest na nim mniej kolorów, kształtów, zagięć tworzonych przez gałęzie drzew. Zapatrzył się i rozmarzył. Docierające do uszu brzmienia poszumów gałęzi, szmery przemierzających się liści, trzepot zlatujących się gromad ptactwa dopełniają całości.

Nieustępliwy ból przywraca go bieżącej chwili. Ta okropna niemoc... Zrobienie kilku kroków wymaga nie lada wysiłku. Ojjoj! Głośno jęczy. Ręką dotyka taboretu i wykonując kilka niezgrabnych ruchów, siada.

Wypadek, może też i nieuważność odebrały mu czucie w nogach, prawa wydaje się całkowicie martwa. Zamyślił się. Taka to praca w lesie, w tartaku. Ciężka, niebezpieczna, ryzykowna. Ale była. Gdzie by co innego znalazł?... Nie umiał pisać ani czytać, choć swój podpis umiał nagryzmolić. Przynajmniej tyle! Oj, nie nadaję się do tego świata, nie nadaję!.. Ludzie mądrzy, wyuczeni. A ja – ofiara losu! Jego twarz odzwierciedla zmienność przepływających myśli, żal nad własnym losem.

Ze skutkami wydarzenia w tartaku musi się codziennie borykać. To czas smutku, załamań, rozgoryczenia. Nie radzi sobie z taką sytuacją, nie radzi. Czuje, jak boleść ściska mu serce. Minęło zaledwie pół roku. Przez pierwsze miesiące był przykutym do łóża.

A przecież z roli, z uprawy ojcowizny trudno było wyżyć rodzinie. Musiał sezonowo dorabiać, dopraszać się o tę pracę. Pracowity był, miał się najrozmaitszych zajęć. Czasem dopisało szczęście. Dziedzic Borycki, po czterech latach darmowej pracy u niego w lesie, oddał mu na własność dwuhektarowy zagajnik. Ziemia wprawdzie piaszczysta, ale drzewa dorodne, zdrowe. Miał z czego dla żony i dzieciaków pobudować dom. Był z niego dumny i z zabudowań gospodarskich, które postawił. Nawet sąsiedzi jakby z większym szacunkiem zaczęli traktować jego i jego bliskich.

II

Józef ma świadomość, że jest stary. Do tego niedołężny. Jak tu żyć?... Nie chce być ciężarem dla rodziny. Ile to mam lat? – zastanawia się, liczy. Po chwili głośno artykułuje: siedemdziesiąt siedem, siódemka na końcu. Siekierka!

Samotność mocno doskwiera. Jej ciężar czuje każdego dnia. Marcysia, żona, odeszła do tego lepszego świata już pięć lat temu. W momentach wspomnień powtarza w myślach: wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, wieczny odpoczynek... Dobrą była kobietą – kiwa głową.

Pewnie dlatego lubi przesiadywać przy oknie. Wydaje mu się, że jej postać w granatowym fartuszkum migie w ogrodzie. Tak wiele spędzała tam czasu. Kochała te swoje roślinki.

W chałupie mieszka z córką Jadwigą i jej rodziną. Właściwie to z jej najmłodszym synem, Bartkiem. Starsze dzieci są już na swoim. Mąż na saksach, ale od kilku lat nie pojawia się w domu. Nawet nie daje znaku życia, gdzie jest, co robi... Nic o nim nie wiadomo. Jakby zapadł się pod ziemię. Jadzi i wnukom przykro.

Izbę Józefa, długą i wąską, od reszty domostwa oddziela wąska sień. Teraz, kiedy dopadło go kalectwo, takie małe wnętrza łatwiej ogarnąć, a przy rodzinie wyżywić się. Nie, nie je dużo. Jest niewysoki i chudy. Jak się rozbierze, to widać wszystkie żebra. Wąskie usta wyginają się w grymasie uśmiechu. Ale źle się z tą swoją niemocą czuje, źle. Jak odmienić los, Boże?!

III

Wolno podnosi się z nocnego snu. Łóżko skrzypi, a on czuje, jakby jedną nogą był w innym świecie. Ponownie opada na łożo, naciągając pierzynę. Nie otwiera oczu, nie chce, by mara senna odpłynęła w niepamięć. Dziwna taka... Jak by ją nazwać? – zastanawia się – bardzo dziwna. W myślach odtwarza ją, chce jeszcze raz przeżyć. Zatrzymuje się na szczegółach. W uszach dźwięczy mu głos Anioła, no bo przecież to był Anioł. Cały utkany ze świetlistej, przeźroczystej poświaty, taki niecielesny. Bo czym by było to niebiesko-białe migotanie światła, w którym ta postać, ten głos mu się jawił? A był donośny, jak głos trąby. Z pogłosem, jak echo w lesie. Dwukrotnie powtórzył przekaz: wyzdrowiejesz! Wyraźnie to słyszał: wyzdrowiejesz! Józef zapłakał, łzy popłynęły mu po policzkach i brodzie. Rąbkiem pościeli wyciera nos i twarz. Mówił jeszcze, że warunkiem będzie rozwieszenie i ustawienie we wsi kapliczek. W Nurach, tu, gdzie mieszka. Nie jednej, wielu! Bogu Najwyższemu na chwałę! To będzie twoja modlitwa, prośba i dziękczynienie – powiedział na koniec. I zniknął. Józef jeszcze teraz czuje lekki powiew tej świetlistości na policzku. Leży nieruchomo, po wielokroć odtwarzając senną wizję. Uwierzył, wierzył w anielskie przesłanie. Niosło nadzieję na życie, normalne życie. Zwłókł się z łóżka. Klęcząc, głośno modlił się.

IV

Kiedyś lubił strugać, czy to z patyków, czy z kawałków drzewa. A to ludziki, kiedy indziej zwierzaki, motyle, ptaszki. Różne takie zabawki dla dzieci, czasem kwiaty. Dla przyjemności. Niektórym nawet się podobały. Mówili: Józek, złote te twoje ręce. Cieszył się z pochwał i tym chętniej ofiarowywał dzieciakom ze wsi drewniane figurki. Lata mijały, a on zestarzał się, ręce wykrzywił mu reumatyzm i dawno niczego takiego nie robił.

Nowe wyzwanie jest inne, wymagające powagi i zaufania, że spodoba się Stwórcy. Józef mocno wierzy, że uda mu się spełnić wolę Bożą przekazaną we śnie. Wyrzeźbi kapliczki, najpiękniej jak potrafi. Robota w drewnie pociąga go, wprawia w uniesienie, a z drugiej strony napawa lękiem. Czy podoła? Wymaga innych umiejętności. Strach powoduje wzmożone kołatanie serca. Ale nic to – myśli sobie.

Nikommu jeszcze nie opowiadał snu, lecz w głowie, na kartkach ze starego zeszytu w kratkę rysuje, tworzy ustawienia postaci, wprowadza nowe elementy, wymyśla obramowanie dla tworzonej scenki. No bo i postacie są w każdej z nich inne: ukrzyżowany Chrystus, Maryja z Dzieciątkiem, Święta Rodzina... Co jeszcze? Różne pomysły cisną się do głowy i niewiele mniej związanych z nimi rozterek. Na początek zrobi je z osikowych kłoców, leżących w stosie na podwórku.

V

Pierwsza kapliczka pojawiła obok furtki prowadzącej do zagrody. Dość szybko wyrzeźbił ją starym, zdezelowanym kozikiem. Przyzwyczał się do niego, uważając, że lepiej niż inne narzędzia go słucha. Do bardziej precyzyjnych nacięć ma własnoręcznie wykonane z grubych prętów metalu – dłuta.

Dłużej niż rzeźbienie trwało tłumaczenie wnukowi, dlaczego rzeźbi, dlaczego z pokoju, w którym żyje i śpi, zrobił stolarnię. Zamiast wypoczywać. Czemu chce robić te kapliczki i na dodatek rozstawiać je we wsi. I czemu uważa to za swój obowiązek. Bartek z niedowierzaniem słuchał wywodów dziadka, zwłaszcza historii z Aniołem. Po radzie rodzinnej umieścił kapliczkę na ogrodzeniu domu.

Co przedstawiała? Zafrasowanego Chrystusa z cierniową koroną na głowie. Oj, On dobrze wie, co to ból, co to udręka – rozmyślał Józef, z czułością żłobiąc kolejne wgłębienia i rysy w drewnianej postaci. Całości dopełniało dwóch klęczących Aniołów.

Druga praca w formie płaskorzeźby została ustawiona na rozdrożu, a trzecia u wylotu dróżki prowadzącej do ich chałupy. Józef ma już nowe pomysły. Czekają na dopracowanie. Trzeba też znaleźć najlepsze do ich ustawienia miejsca. Może przy kościele? Zastanawia się.

Do kościoła nieczęsto dociera. Czasem któryś sąsiad podwiezie go furmanką, a czasem starym rozklekotanym autem. Nie lubi tych wypraw. Już raz wartburg utknął pośrodku drogi, coś się zepsuło. Kierowca i jego rodzina nie wiedzieli, co z tym kaleką zrobić.

Choć doskwierają mu różne dolegliwości, Józef z pasją rzeźbi postacie do kapliczek. Niebawem najnowsza zawiśła obok przykościelnego muru.

W niedzielę, zaraz po sumie, przybiegła sąsiadka z wypiekami na twarzy, opowiadając, że ksiądz podczas kazania nakazał pozbyć się ze wsi jego drewnianych posążków. Mówił, że nie życzy sobie takiego badziewia ani przy kościele, ani we wsi, że to profanuje Majestat Boga, jego świętość. Z ambony – podkreśliła to dwa razy – nakazał parafianom, aby te pogańskie dziwolągi jak najszybciej zniknęły z obszaru jego parafii. Niektórym ludziom też nie podobają się jego rzeźbione ludziki – mówiła. Po chwili dodała:

– Mnie się wydają ładne. Rogala i Kosek zaraz po mszy porozbijali stojące najbliżej kościoła rzeźby – dodała – tak bez szacunku!

Józef pochylił się, opierając się łokciami o stół. To, co mówi Stysiowa, boli, rani serce. Co ma robić? Przecież wie, jest pewny, że otrzymany przekaz był prawdziwy, że musi go spełnić. Obecny przy rozmowie wnuk docina:

– A mówiłem, żeby dziadek się nie wygłupiał!

Matka zgromiła go ostrym spojrzeniem. Zamilkł.

Józef odchorował to wydarzenie. Gorączka, kaszel, duszności. Przeleżał na zapoconym łóżu prawie dwa tygodnie. Był bardzo słaby. Córka doglądała go, pocieszała. Czuł, że jest po jego stronie.

VI

Przekonał Jadwigę, żeby ustawiła Kapliczkę Świętej Rodziny na rozdrożu, przy wylocie z drogi krajowej. Taka powtórka, bo wcześniejsza kapliczka została zniszczona i gdzieś się poniewiera. Bartek kategorycznie odmówił. Jadwiga podjęła się tego zadania, chociaż do technicznych robót to ona talentu nie miała. Po dłuższych przemyśleniach udało się. Kapliczka była dość duża i według niej wyglądała godnie, nadając temu miejscu inny, jak powiedziała – święty wymiar.

To był też dobry omen dla Józefa. A miejsce wyjątkowe. Przejeżdżało tędy wiele samochodów, przechodziło wielu ludzi.

W dość krótkim czasie kapliczkę zauważył, przejeżdżając przez Nury, profesor ze stołecznego uniwersytetu, etnograf Waligórski. Zaintrygowała go, uznał, że jest niezwykle oryginalna. Zatrzymał się we wsi, a miejscowi chłopci doprowadzili go do domu Józefa. Po godzinnej rozmowie przy herbacie, którą poczęstowała Jadwiga, profesor pożegnał się, namawiając rzeźbiarza, tak go nazwał, do dalszej pracy. Obiecał też, że go odwiedzi. Kupił małą figurkę Jezusa Frasobliwego i krzyż. Pieniądze, które im wręczył, zdumiały ich, przekraczały wszelkie wyobrażenia. Józef część dał córce na życie, za resztę postanowił kupić farby malarskie, aby niektóre postacie, teraz z surowego drewna, pokolorować.

Entuzjazm profesora, z jakim opowiadał o pracach Józefa, jego pochwały, zaintrygowały pewnego dyplomata francuskiego, pana André Depui, kolekcjonera polskiej sztuki ludowej. Był już posiadaczem dużego zbioru. Specjalnie wybrał się do Józefa, do Nur. Kapliczki w jego ocenie miały oryginalny, niepowtarzalny ryt. Zasługiwały na uznanie. Postanowił pomóc staremu, bezradnemu człowiekowi. Widząc, z jak poważnymi problemami ruchowymi zmagają się, przywoził ze sobą znanego neurochirurga, by zajął się leczeniem chorego.

Doktor Waldemar Rosiński podzielił pochlebne opinie dyplomaty o sztuce wiejskiego rzeźbiarza. Zaopiekował się nim z zaangażowaniem i serdecznością. A Józef był święcie przekonany, że doktor jest tym „człowiekiem przysłanym przez Boga”, zapowiedzianym przez Anioła. To dzięki niemu wrócił do zdrowia, zaczął chodzić! Za bezpłatną pomoc i przywożone leki był obdarowywany „Józiowymi” rzeźbami, bo tak nazywano go w rodzinie Rosińskich. Ozdabiały później warszawskie mieszkanie doktora.

Te wydarzenia oraz coraz większe zainteresowanie jego osobą sprawiły, że Józef rozwijał się jako artysta. Widać było zmiany w jego technice, poszukiwał nowych, ciekawszych form. Obrazowania kapliczek były coraz bardziej wyszukane. Kupowali u niego nie tylko kolekcjonerzy, ale i zwykli ludzie. Zyskał szacunek rodziny i ziomków.

VII

Matylda wolno przechadza się wzdłuż ścian galerii. Chce ochłonać po emocjach wernisażu. To jej pierwsza indywidualna wystawa. I wreszcie swobodna, wolna chwila w samotności. Chyba uroczystość się udała. Byli znajomi i wielu gości. Były też miłe i pochlebne opinie. Zatrzymała się przy portrecie chłopaka w kowbojskim kapeluszu. Z obrazu patrzyły na nią podkrążone, mocno zarysowane oczy. Modelem był Maciek, kolega z roku.

Czy rzeczywiście aż tak wyraźnie widoczne jest na tej jej grafice podobieństwo do rysunku oczu w rzeźbach pradiadka? Nigdy wcześniej nie zauważała takich niuansów. Ale ta starsza pani, podobno z muzeum na Kredytowej, kiedy podeszła do niej z gratulacjami, powiedziała, że ma nieodparte skojarzenie z postaciami z kapliczek wyrzeźbionych przez jej pradiadka Józefa. Zwłaszcza oczy ludzi – dodała. To stwierdzenie zaskoczyło Matyldę. No tak, nosi przecież to samo nazwisko, co pradiadek, Marzec, więc pewnie dlatego to porównanie. Muzeum etnograficzne ma przecież dużą jego kolekcję.

Coś w tym chyba jest? Może rodzinne geny – pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem. Mama zawsze, gdy Mati kreśliła na kawałkach papieru swoje rysunkowe historyjki, mawiała z przekąsem, że też jabłko pada blisko jabłoni. Wiedziała, że chodzi o pradiadka. Wtedy nie lubiła tych porównań. Było jej przykro.

Teraz – nie. Józef Marzec dzięki swoim rzeźbom-kapliczkom został uznanym artystą. Życiorys pradiadka był nawet inspiracją dla pewnego twórcy filmowego. Powstał dokument

pod tytułem „Józef Frasobliwy”. Ale od tego czasu, od projekcji w kinie, minęło dobrych trzydzieści lat. Matylda go nie widziała. Nie było jej jeszcze na świecie. Jest też sporo opracowań naukowych na jego temat.

Mati odgrzebuje stare wspomnienia. Dziś, właśnie dzisiaj, z odległej perspektywy czasowej, stały się inne, ważne. Zrozumiała, że są częścią jej życia, jej tożsamości. I dumy. Tak, kochany dziadzio ma swoją kartę w historii sztuki. Chociaż jego technika rzeźbienia, ze względu na ograniczoną sprawność rąk, była prosta, potrafił wykreować własny, niepowtarzalny styl. Stworzył oryginalny system znaków do zaznaczania postaci czy całych przedstawień. Tak prezentują go krytycy. Ale to prawda. Pierwsze kapliczki wotywnie miały formę zadaszonych skrzyneczek z płaskorzeźbami świętych. Późniejsze, przeznaczone do wnętrz mieszkalnych, to głównie kapliczki o słupowatym kształcie, pokryte z każdej strony płaskorzeźbami. Wykonywał je dla ludzi z miasta, często stałych klientów. W jego zbiorze były też prace świeckie, nawiązujące do życia dawnej wsi: rzeźby pastuszków, muzykantów, zwierząt.

Matylda trochę pamięta pradiadka. Jak była małą, może kilkuletnią dziewczynką, jeździła latem z mamą do Nur, do dziadka Józia i babci Jadzi. Tak się o nich mówiło, choć w dosłownym tego słowa znaczeniu nie byli nimi. Mati lubiła przesiadywać w izbie dziadka. Przyglądała się jego pracy. Zawsze też na odchodnym wręczał jej jakąś figurkę, zabawkę. Ma ich kilka. Był już bardzo stareńki. Przy tym zawsze uśmiechnięty. Na to wspomnienie Matyldzie zaszklily się oczy. Ta jego pogoda ducha pewnie stąd się brała, że rzeźbienie do końca życia było jego wielką pasją. Tak jak moje malowanie, moja praca przy sztalugach, moje kompulsywne wręcz tworzenie na każdym skrawku papieru lub innym podłożu – zamysliła się. – Lubiłam to od przedszkola.

Przygląda się obrazowi. Oczy Maćka chyba rzeczywiście mogą być kojarzone z oczami z figurek pradiadka. I dobrze. To zapewne rodzinne geny – dźwięczy jej w głowie. Oddalając się od portretu, Matylda cichutko chichocze.



Tomasz „Aztzenty” Barański

GNIEWNY PROROK CZY FILOZOF – A MOŻE PO PROSTU ARTYSTA?

(spotkanie z pierwszym polskim performerem Zbigniewem Warpechowskim – rozmowa o jego sztuce i o nim samym)



Zbigniew Warpechowski,
fotografia ze zbiorów prywatnych

Pojęcia takie jak sztuka *performance'u* czy sztuka konceptualna nie są jeszcze całkowicie rozpoznawalne w aktualnym horyzoncie sztuki, choć przecież istnieją od końca lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Może zresztą dlatego, że zasadzają się na eksponowaniu samego procesu twórczego – tego, co jest najważniejsze w dziele sztuki – czyli konceptu i idei – co właśnie jest ulotne, a przez to trudne. W rezultacie artyści tego nurtu odrzucili prymat przedmiotu nad ideą, przy jednoczesnym mocnym podkreśleniu intelektualnego charakteru twórczości. Terminu „sztuka pojęciowa” (konceptualna i zdematerializowana) – użył jako pierwszy Guillaume Apollinaire w stosunku do kubizmu (w szczególności do dzieł Pabla Picassa). Z kolei *performance* uważany jest za sztukę żywą, rozumianą dwójako: z jednej strony jako osobisty, personalny pokaz artysty przed publicznością i bezpośredni z nią kontakt, z drugiej – jako sprzeciw wobec tego, co rozumie się poprzez sztukę konwencjonalną (przedstawiającą i materialną).

Urodzony w 1938 roku, pochodzący z dawnych Kresów, zaliczany do światowej czołówki artystów awangardowych Zbigniew Warpechowski mówi tak: „Z pojęciem *performance'u* zetknąłem się stosunkowo niedawno (może kilkanaście lat temu). Początkowo też do określania tego rodzaju sztuki używano nazwy *happening*”. Przyznam, że gdy znalazłem się na tego typu seansie sztuki po raz pierwszy, to oprócz tego, że byłem zszokowany – nic nie rozumiałem, a nawet denerwował mnie on! Dość szybko jednak przyswoiłem to sobie. Znalazłem różnego rodzaju wypowiedzi, opisy, poznałem także samą teorię zjawiska. Ustaliłem też nazwiska osób, które ten rodzaj sztuki uprawiały od lat i tworzą ją do dziś. Należą do nich: Zbigniew Warpechowski – absolutny numer jeden na skalę światową, Józef Robakowski oraz Janusz Bałdyga. Apetyt rośnie w miarę jedzenia i kiedy już zasmakowałem w tej sztuce, dowiedziałem się, że Król polskiego *performance'u* mieszka z wyboru w pięknym mieście Sandomierzu – dokąd też dotarłem, aby przeprowadzić z nim rozmowę na potrzeby częstochowskiej „Galerii”.

Kim zatem jest mistrz Zbigniew Warpechowski – polski pionier i jak dotąd najwybitniejszy artysta tego nurtu, który do tej pory zrealizował ponad 250 „wyczynów” (gdyż w wolnym tłumaczeniu słowo *performance* właśnie to znaczy)? Większość niestety poza granicami Polski w 25 krajach Europy, a nawet w Japonii. Biczował się, podpalał (dosłownie, bo podpalił sobie włosy uprzednio zwilżone benzyną), topił się w akwariu. Z początku nie wiedział, że robi pierwszy w Polsce *performance*, ale jak wyznał w rozmowie, czuł przez skórę, co się w ówczesnym awangardowym świecie dzieje i zazdrościł *jazzmanom* możliwości improwizacji:

Zbigniew Warpechowski: Chciałem zrobić to samo, ale z poezją; zrobić coś więcej niż tylko kolejny wieczorek poetycki. W sumie wszystko zaczęło się dużo wcześniej, niż się mówi, a nawet bardzo wcześniej – bo to była praca ze sztuką! Lata sześćdziesiąte – Kraków, zaraz po tak zwanej „odwilży” nastąpił wielki wybuch kulturalny. Pracowałem ciężko zawodowo, brakowało mi czasu, mimo to nie rezygnowałem – i tak wszystko się zaczęło. Zaprosiłem do jednego z krakowskich klubów swojego znajomego trębacza, Tomka Stańkę. Młody *jazzman* improwizował na trąbce, a ja improwizowałem, recytując. Później jeszcze współpraca z Teatrem 38, Cricot 2 i z „Piwnicą pod Baranami”. Sztuka *performance’u* wymagała też ciągłych zmian i „odkryć” i dlatego musiałem zerwać z siebie koszulę *non iron* i ją podpalić. Nie tylko *jazz* był ważny, lecz także parateatralne działania Tadeusza Kantora we wspomnianym teatrze Cricot 2. Aby zrozumieć moje poczynania, trzeba się przenieść do Krakowa tamtych lat. Ogarnęło nas złudne poczucie wolności. Rok pięćdziesiąty piąty, juwenalia – Kraków szalał. Wszyscy ludzie byli artystami – taka była atmosfera i ja tym nasiąknąłem. Dużo czasu minęło, zanim stałem się artystą. Na początku wcale tego nie planowałem, studiowałem architekturę na Politechnice Krakowskiej, później były studia na wydziale form przemysłowych Akademii Sztuk Pięknych, z których również zrezygnowałem. Wolałem malować, rzeźbić, pisać poezję.

Warpechowski przywołuje tu takie wielkie nazwiska, jak wspomniany Tadeusz Kantor, który zorganizował mu wernisaż w kamienicy „Krzysztofory” albo Józefa Panka, w związku z którym wspomina: „Z Pankiem poznawaliśmy się w ciągu trzech dni w Prokocimiu. Zaprosił mnie do siostry Tadeusza Makowskiego, gdzie też naturalnie zobaczyłem na ścianach obrazy jej brata. Aby mieć „obrazek” Makowskiego, musiałem sprzedać zegarek”. W tym momencie mój rozmówca znów podkreśla, iż wiele czasu musiało minąć, nim stał się artystą. Zaskakuje też taką wypowiedzią: „Kraków był wtedy lepszy niż Warszawa. Grupa Krakowska, na przykład, to pięćdziesięciu artystów najwyższej próby. Za sprawą Stanisława Balewicza – poety, przyjaciela artystów, ruszyły „Krzysztofory”, bywający w Paryżu Kantor przywiózł do Polski tasyzm, reprezentowany przez Jacksona Pollocka – to kilka przykładów”.

Performer zwraca też uwagę, iż w latach czterdziestych cała europejska awangarda z Paryża przenosi się do Nowego Jorku – chodzi tu przede wszystkim o Marcela Duchampa, Pieta Mondriana – by stać się opozycją wobec tzw. „szkoły francuskiej”. Wspomina, iż osobiście podziwiał autoryzowane kopie dzieł Duchampa w Jerozolimie, co dało mu nowe inspiracje.

Tomasz „Aztzenty” Barański: Jak pan na to wszystko wpadł? Czy rzeczywiście docierające do Polski z Zachodu strzępy informacji o tym, co się dzieje w tamtejszej kulturze, natknęły pana, czy może wpływ na pana rozwój miała ówczesna rewolucja hippisowska albo

pana dzieciństwo? Może także sama poezja, bo przyznam, że mnie szczególnie interesuje problem, jak zobrazować muzykę czy poezję?

Z.W.: Dzieciństwo – mówi po namyśle – może także miało wpływ na rozwój moich w tym kierunku zainteresowań, jako dziecko byłem świadkiem, jak niemiecka bomba uderzyła w biurowiec w Równem (rodzinne miasto artysty, na dawnych kresach Rzeczypospolitej), gdzie wówczas mieszkaliśmy z rodzicami i to gruzowisko mogło przypominać jakiś *happening*, zwłaszcza że fruwało tam mnóstwo papierów, których notabene używano do palenia w piecu. Rysowałem na tych papierkach pod bacznym wzrokiem mojej cioci Marii (Maryli) Dębickiej, która uprawiała wiele sztuk, była śpiewaczką, artystką malarką. To od niej odebrałem pierwsze lekcje o sztuce. Tak bardzo byłem oddany nowopowstałej „sztuce konceptualnej”, że stałem się menelem – gdyby nie rodzice, mieszkający w Łodzi, którzy mnie ratowali. A w Krakowie, Warszawie, nad morzem – „szalejący” Kantor... W r. 1967 miałem trzy wieczory poetyckie i to właśnie mnie znudziło! Postanowiłem wszystko zmienić. Kierownik Klubu przy Rynku – wolnomysliciel, organizował czwartki poetyckie – pozwolił mi zrobić *happening* podczas takiego wieczorku, luki wypełniał Tomek Stańko na trąbce. Zrobiło to duże wrażenie. Przybyło sporo ludzi, ale nikt nie wie, ile mnie to kosztowało. „Pomagałem” sobie w różny sposób – brałem proszki lub kielicha. Na dobre zaczęło się od „Mątwy” Witkacego w Cricot 2. Następny spektakl Kantora to „W małym dworcu” – wtedy rewolucja zaczęła się na dobre, później przyszedł czas na „Wariata i zakonnicę”

T.A.B.: Na ile pańskie działania natrafiły na dobry czas – chodzi tu przede wszystkim o rodzący się *jazz*, rewolucję w teatrze (jak choćby wzmiankowane już odkrycie na nowo Witkacego) – czy wreszcie rodzący się ruch hippisowski? A może też odradzający się cyklicznie bunt antymieszczański – albo... po prostu szcześnie do ludzi?

Z.W.: Odnośnie hippisów to uważam, że u nas było to tylko niezbyt udane naśladownictwo, chociaż w 1968 r. zaprosiłem hippisów na swoje przedstawienie. Przybyła m.in. Kora (Olga Sipowicz, *primo voto* Jackowska) z koleżanką, wszyscy siedzieli na środku sali i palili świeczki, a ja zanosilem im kanapki. Galeria „Foksal” zaczęła zapraszać hippisów, a ich wielki entuzjazm umiał wykorzystać Kantor. Z kolei rok 1966/7 – to „Kurka wodna” Witkacego w teatrze Kantora.

T.A.B.: Jeśli chodzi o Witkacego – co sądzi pan o tym artyście?

Z.W.: Jestem o nim jak najgorszego zdania jako o człowieku, przez którego jedna kobieta odebrała sobie życie, a drugą ledwo odratowano – co najwyżej był to wypieszczony la-luś, postać obrzydliwa moralnie. Rodzice patrzyli w niego jak w nie wiadomo co. Broni go oczywiście jego filozofia, ale malarz z niego beznadziejny i te jego teorie! Był jednak artystą uznanym. Był klasykiem sztuki nowoczesnej, teatru współczesnego – to należy docenić. Chwistek podsumował go najlepiej: „embrion oszalały w megalomanii”. Wracając do pana pytań o lata sześćdziesiąte, to nie wspominał pan o bardzo znamienitej postaci, jaką niewątpliwie był Jerzy Grotowski. W ogóle Kantor i Grotowski zapłodnili twórczo cały świat. Dodać tu trzeba także wątek muzyki awangardowej. W latach 55/56 wystartowali Bogusław Schaeffer i Krzysztof Penderecki, który z początku był awangardowy, ale później poszedł w inną stronę. Oprócz tego Kurylewicz, Trzaskowski, „Duduś” Matuszkiewicz. Jeśli idzie o innych performerów, to wybija się tu postać Józefa Robakowskiego, działającego w Łodzi.

Przyszł czas, aby omówić konkretne i mistrzowskie osiągnięcia, które na trwałe zapisały się w historii sztuki polskiej i światowej. Zaczynał od malarstwa figuratywnego, jednak niebawem pochłonęło go pisanie poezji, co też pchnęło Warpechowskiego bezpośrednio ku sztuce performatywnej. Zajmował się również filozofią, teorią sztuki, ale i scenografią filmową, stąd książki, w tym m.in. *Podręcznik*, *Zasobnik* i *Podnośnik*. Zacytuję tutaj fragment notatki autorstwa Marka Wasilewskiego, zamieszczonej na okładce *Podnośnika*: „Wystąpieniom o charakterze *performance* poświęcił główną uwagę w swej twórczości. Od początku lat 70. spisuje swoje refleksje filozoficzne na temat sztuki. Ich część zawiera *Podręcznik* wydany przez Centrum Sztuki Współczesnej w 1990 roku. (...) Zbigniew Warpechowski w swoich działaniach kładzie nacisk na inwencję artystyczną, nieustającą weryfikację twórczą i krytyczną sztuki (także własnej). Na pytanie, »kim jestem«, odpowiada, że bardziej jest artystą niż kimkolwiek innym”. Z kolei w notatce do *Statecznika* (Lublin 2004) pisze: „nie mam już odwagi fatygować profesora Stefana Morawskiego, prosząc o recenzję. Zrobił bardzo wiele dla mnie, tytułując swój artykuł o *Podręczniku: Filozoficzna kantata Zbigniewa Warpechowskiego*”. Sam artysta tak to komentuje: „Wygłoszona przez Profesora oracja na cześć *Zasobnika* rozczuliła mnie do łez (są świadkowie, ale nie ma zapisu)”. W dalszych słowach Profesor pisze: „niezwykłość tej książki nie zasadza się na tym tylko, że ona w jakimś sensie podsumowuje w tej chwili trylogię samego autora, po *Podręczniku* i *Zasobniku*, ale na tym, że jest to książka *par excellence* filozofująca albo, jakby ktoś powiedział krócej i prościej, filozoficzna” oraz: „takiego ambitnego dzieła ja nie znam nie tylko spod pióra artystów, ale nawet spod pióra filozofów zawodowych”.

Muszę stwierdzić, że po lekturze dwóch z wymienionych książek miałem nieodparte wrażenie obcowania z dziełami filozoficznymi – i to w bardzo nowoczesnym wydaniu. Zauważyłem, że samemu Mistrzowi podoba się, gdy jest traktowany jak filozof, a jeśli nie filozof, to już na pewno „gniewny prorok” – podważający to, do czego dąży współczesne społeczeństwo, potępiając konsumeryzm i walcząc o etyczny wymiar twórczości. Czym jest właściwie *performance*? Postrzegany jako sztuka realiów, bliski jest poezji i jazzowej improwizacji muzycznej, charakteryzuje go dążenie do autentycznych przeżyć, odczucia metafizycznego charakteru rzeczywistości, problematyka kreowania i narodzin czegoś nowego, nowa figuracja.

Warpechowski próbował sił we wszystkich dziedzinach sztuki. Wygrał konkurs na okładkę miesięcznika „Jazz”. Po wystawie w 1968 r. w Galerii Współczesnej w Warszawie jego obraz został kupiony do Muzeum Sztuki w Łodzi przez wpływowego dyrektora placówki Ryszarda Stanisławskiego. Jak twierdzi artysta: „Jeśli interesują się tobą Kantor i Stanisławski, to coś znaczysz – zacząłem w sobie wierzyć”. Na Warpechowskiego wpłynął też Allen Ginsberg, amerykański poeta, który przewidział hippisowską rewolucję. Jeśli idzie o dalszy rozwój Warpechowskiego – to choć wiele tworzy, kariery jednak nie robi. Bardziej interesuje go sztuka ulotnych, jednostkowych zdarzeń, z udziałem niewielkiej grupy widzów. Ówczesna sytuacja polityczna w kraju usprawiedliwia pytanie: jak zarabiał na życie? Przecież *performance* to nie obraz, który można sprzedać. Dowiedziałem się, iż w pewnym momencie pracował w fabryce naczyń emaliowanych w Rybniku albo w Łodzi przy scenografii filmowej – zresztą sam mówi: „Nikt na świecie, poza mną, nie wie, co ja w swoim życiu robiłem! Kierowała mną bardziej determinacja niż odwaga: robi się coś, bo się robi. Zawsze byłem bardzo krytyczny w stosunku do siebie – to zrodziło się w mojej duszy, bezinteresownie, wbrew wygodzie, bez szukania, nie liczyłem na poklask. Człowiek mierzy się z czymś większym od siebie i ja chętnie w to wchodziłem! Na pierwsze »przedstawienia« przychodziło dwadzieścia osób. Stawałem się właśnie

tym teoretykiem-filozofem sztuki na podstawie własnych myśli i przeżyć – taki filozof *in statu nascendi*. Jak powiedział profesor Morawski: był Warpechowski ostatnim autentycznym miłośnikiem sztuki”.

Badając losy mistrza, natrafiłem i na informację, że w roku 1968 wyrzucono go ze studiów. W międzyczasie jeździł po niezależnych galeriach, gdzie przedstawiał kolejne *performance*, m.in. osławiony „Dialog z rybą” z 1973 roku, gdzie artysta-performer przemawiał czule do ryby umierającej w jego rękach – coraz bardziej czule słowa kierował ku coraz słabszej rybie. Bezwarunkowo chodziło tu o zobrazowanie „dialogu” władzy ze społeczeństwem (przypominam, są wczesne lata siedemdziesiąte). Zresztą podobnie było w 1984 r. w galerii w Stuttgarcie; tam też przekonywał ptaka zamkniętego w klatce, że go kocha (obecnie tego typu traktowanie zwierząt zapewne spotkałoby się z protestem). Na pytanie, czy działanie to odnosiło się bezpośrednio do stanu wojennego, odpowiada: „Nie ma dla mnie znaczenia, co ludzie sobie pomyślą – *performance* nie opowiada o niczym, niczego nie symbolizuje. *Performance* w momencie trwania kreuje swoją odrębną rzeczywistość artystyczną. Jeśli już kogoś krytykuje, to z kręgu sztuki”. I dodaje: „Panie, ja panu nie będę tego tłumaczył! To nie moja rola!”.

Zawirowań w życiu Warpechowskiego było więcej. Krytyka z czasów późnego Peerelu o Warpechowskim nie wspominała, on jednak wierzył w to, co robi, szczególnie gdy wyjeżdżał na Zachód, o którym notabene twierdzi, że kocha artystów, lubi ich mieć, ale nie traktuje poważnie. Twierdzi też, że znajdująca się pomiędzy dwiema cywilizacjami Polska powinna wiedzieć, że Rosjanie są bardziej wiarygodni, i to począwszy od rozłamu łacińsko-bizantyjskiego. Szczególne miejsce w twórczości Warpechowskiego zajmuje praca „Talerzowanie”, zaprezentowana w krakowskiej galerii „Krzysztofor” w 1971 r. Kiedy rok później przedstawił ją także w Atelier 72 Richarda Demarco w Edynburgu, krytyka brytyjska („Guardian”, „Financial Time”) uznała jego wystąpienie za wybitne dzieło koncepcyjne. Warpechowski powrócił do tego *performance’u* dwadzieścia lat później, w 1992 r. w Galerii Grodzkiej w Lublinie i w Galerii Rzeźby w Warszawie. Jak sam się wyraził: „Talerzowanie” jest porcjowaniem rzeczywistości materialnej, pojęciowej i artystycznej. Po raz pierwszy „Talerzowanie” wykonał w postaci *environment* na podłodze w Krzysztoforach, podzielonej na sto kwadratowych pól jednakowej wielkości. Ustawił kompozycje z białych talerzy, opatrzonych napisami i symbolicznymi rekwizytami, np. na talerzu „Dom” leżały dwie kromki chleba, na talerzu „Ulica” kostka bruku. Później praca przybrała formę kwadratowych, płaskich skrzyń podzielonych na cztery pola. W każdym polu umieścił talerz lub kompozycję z fragmentów talerzy i opatrzył je podpisami, np. „Poko-ra”, „Na zamówienie”, „Bez przyszłości”, „Apetyt”, „Talerz wiedzy”, „Talerz autorski”. Należy zwrócić uwagę, iż tego typu „pokaz” artysta zalicza do nurtu neutralnego jeżeli idzie o emocje lub swego rodzaju szokowanie.

Tu zwróciłem się do Mistrza z pytaniem o apoteozę cierpienia lub samobiczowanie (czego nie może zrozumieć, jak ustaliłem, jego kolega „po fachu” Józef Robakowski). Otrzymałem odpowiedź następującą:

Z.W.: Robakowski jest pragmatykiem i myśli kategoriami zysku. Jest mistrzem w zabiegach komercyjnych. Ma inne zalety, metr dziewięćdziesiąt wzrostu i zawsze był wodzem – w domu dziecka, w szkole filmowej. Lubi się podobać, uznaje poetyckość i poszukuje metafizyki. Robakowski ma chorą nogę, więc nie podróżuje, ale da się lubić, widzimy się trzy razy w roku. Co do cierpienia: jeżeli ten świat jest „nic” – to Bóg również. Zawsze poszukuję pojęć wyjściowych, np. ateizm jest głupotą – można to udowodnić. Istnieje też

głupota zawiniona i niezawiniona, czystsza jest ta niezawiniona, gorzej z tą zawinioną (zawiniona jest już na pewno głupotą). Ten kraj – Polska (wbrew głupocie) trzyma się jeszcze tylko dzięki kościołowi.

T.A.B.: Przecież nie pochwała pan chyba polskiej płytkiej religijności, sprowadzającej się do regularnego chodzenia do kościoła, a zaraz potem powrót do wilczej rzeczywistości?! – zaprotestowałem gwałtownie.

Z.W.: Ludzie nie porzucają wiary. Jeśli chodzi o mnie, żyję sobie w Sandomierzu, mam kochającą żonę, gó..o mnie obchodzi cała ta polityka – ja mam jak u Pana Boga za piecem. Postęp równa się temu, że idziemy do tyłu. Ile postępu zostaje w kulturze, tego nie wiadomo. Nie ma już sztuki – jest regres. Niewielu artystów myśli o świecie pozytywnie. Wszystko zaczęło się i skończyło w Paryżu za czasów Picassa, Braque’a i tzw. hiszpańskich alfonsów. Interesują mnie głównie książki z pogranicza filozofii i religii. Według mnie sztuka jest dążeniem do Boga, można ją opanować – być w czymś mistrzem. Kiedy czyta się św. Hieronima, św. Augustyna czy Kartezjusza, można tam zobaczyć dążenie do zbliżania się do tego „ono”.

T.A.B.: Gwoli dziennikarskiej rzetelności muszę odnotować fakt pana wystawy w warszawskiej Zachęcie w r. 2014 – gdyż była to pierwsza prezentacja twórczości tak obszerna, retrospektywna i całościowa, obejmująca poezję, malarstwo, rzeźbę, a przede wszystkim dokumentację kilkudziesięciu akcji w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Zrozumiałem też dzięki panu, że każdy sam może już wywnioskować fakt, że w sztuce performa-



tywnej, dalekiej od użyteczności, efemerycznej (gdzie ważny jest np. dźwięk, będący dla artysty fizyczną formą, jak choćby dmuchnięcie) – tkwi pewien paradoks. Dokumentacja działań performerów nie jest ostatecznym dziełem. Omawiana wystawa nosiła tytuł „To” i stąd pytanie: dlaczego taki tytuł?

Z.W.: (po namyśle): Śmiesz mnie poetyckie tytuły, które w żaden sposób nie odnoszą się do wystawy. „To” – to jest to, co mam. Przede wszystkim nie chcę zamykać się w żadnej formule, nawet wtedy, gdy zajmuję się filozofią. Cała droga twórcza jest dziełem sztuki, nigdy niedokończonym i to właśnie pociąga mnie najbardziej.

T.A.B.: Pragnę panu przypomnieć, że w latach siedemdziesiątych uznał pan za centrum swojego zainteresowania „Nic” – chyba w przeciwieństwie do „To”.

Z.W.: „Nic” łąpało mnie w sidła i kusiło na różne sposoby. Trudniej jest uchwycić „nic” niż „coś”.

T.A.B.: Zbliżając się ku końcowi tej ekscytującej rozmowy, musimy omówić jeszcze jeden aspekt pańskiej sztuki, czyli malowanie.

Z.W.: Bardzo długo nie uznawałem siebie za malarza, ale zupełnie niespodziewanie docenił moje prace Tadeusz Kantor. W sztuce konceptualnej pociąga mnie związana z nią wolność, a w ogóle maluję (teraz) ze złości – bo lubię robić na złość.

Przekrojowa prezentacja twórczości Zbigniewa Warpechowskiego ujawniła jej zaskakującą różnorodność i wielowątkowość: od poezji wizualnej i prac konceptualnych, inspirowanych m.in. filozofią wschodu do dzieł odnoszących się do pojęcia „Nic”, po realizacje wykorzystujące ekspresję lub autoagresję – świadczące o wrażliwości artysty. Podsumowując całą tę wielką przygodę, jaką miałem możliwość i zaszczyt przeżyć w bezpośrednim kontakcie ze Zbigniewem Warpechowskim, doznać czegoś bardzo oryginalnego i – nie bójmy się tego powiedzieć – czegoś wielkiego – zauważam, że artysta konsekwentnie podąża ku byciu filozofem, który w młodości potrafił np. podpalić sobie włosy (zresztą fotografie tego wyczynu należą dziś do światowej skarbnicy *performance’u* i są jego podstawową ikoną!). W związku z tym zadałem zwykłe ludzkie pytanie – czy on sam, autor tego pomysłu, po prostu się nie bał? Odpowiedź też była ludzka: powiedział, że się bał! – trudno się dziwić. Stwierdziłem również, że „poetą prawdziwym” pozostał do dziś, choćby przez fakt zgodzenia się na tę rozmowę, i chociaż nie jest już – ze względu na wiek, jak sam o sobie mawiał „naciągniętą struną” – to nadal pozostaje chlubą – jeśli już nie kraju – to na pewno chlubą dziedziny, w której się artystycznie wypowiadał.

(Wykorzystano biuletyn Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta” w Warszawie, wrzesień–październik–listopad 2014, s. 23–30.)

ANNA GOREJOWSKA



Anna Gorejowska, Autoportret

MYŚLOKSZTAŁTY

Myśli, wzmacniając swą strukturę, tworzą myślokształty. Stąd już niedaleko do przyobleczenia ich w atomy materii. Między innymi dzięki malarstwu możliwe jest spotkanie świata myśli z tak zwanym światem realnym. Twórca dokonuje wyboru myślokształtów, którymi podzieli się z odbiorcami. Mogą one ukazywać odczucia piękna lub refleksje na drodze poszukiwań odpowiedzi na istotne dla niego pytania. Jednym z pytań jest to dotyczące źródła myślokształtów. Czy jest ono tożsame z wnętrzem twórcy, czy też znajduje się poza nim? Malowanie obrazów jest, być może, wyprawą, której celem jest uzyskanie odpowiedzi również na to pytanie.

Niezależnie od tego, czy myślokształty powstają w umyśle twórcy z interpretacji rzeczywistości, czy też czerpane są wprost z nieznanego bliżej pola informacyjnego, ich obecność w procesie tworzenia wywołuje silne odczucie wolności. Świat myślokształtów, niczym ocean wszechmożliwości, jest nieskończonym skarbcem pomysłów. Wystarczy zanotować te najważniejsze na daną chwilę na płaszczyźnie obrazu. Sam zaś obraz – notatnik z granicy światów, jest początkiem opowieści, której kontynuacja może mieć miejsce w umyśle odbiorcy.

Z obrazem można podjąć dialog lub wysłuchać jego monologu. Wszystko zależy od tego, czy trafi on do najważniejszego dla niego odbiorcy.

Anna Gorejowska

Wystawy indywidualne:

- Wystawa malarstwa i fotografii w galerii „Inny Śląsk” w Tarnowskich Górach – 1994 r.;
- Wystawa malarstwa w Ośrodku Kultury w Olsztynie k. Częstochowy – 2000 r.;
- Wystawa malarstwa w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” – 2020 r.

Udział w wystawach zbiorowych:

- Wystawa rzeźby – Praga 1991 r.;
- Jurajska Jesień – 2004, 2012, 2016 r.;
- Plener miejski w Częstochowie – 2003, 2006, 2008, 2017, 2018 r.;
- Jubileuszowa Wystawa Środowiskowa z okazji 60-lecia ZPAP w Częstochowie – 2006 r.;
- Wystawy środowiskowe ZPAP – 2004, 2006 r.;
- Piotrkowskie Biennale Sztuki – 2011 r.;
- Stulecie Związku Polskich Artystów Plastyków – 2011 r.

Anna Gorejowska – absolwentka Wydziału Artystycznego WSP w Częstochowie. Dyplom z malarstwa w pracowni profesora Mariana Jarzemskiego w 1995 roku. Do Związku Polskich Artystów Plastyków przystąpiła w roku 1998.



Anna Gorejowska, „Dom na Jurze”

Tadeusz Luterek

NIECODZIENNE SNY SZCZĘŚLIWCA CZYLI ARTYSTYCZNE „PRESTIGITACJE” JANUSZA JANO MIELCZARKA

Przychodzimy, odchodzimy,
Leciuteńko, na paluszkach,
Szczotkujemy, wycieramy,
Buty nasze, twarze nasze,
Żeby śladów nie zostawić,
Żeby śladów nie zostało,
Miasta nasze, domy nasze,
Na uwięzi się kołyszą,
Tuż nad ziemią, ledwo, ledwo...

Janusz Jęczmyk,
Piosenka z kabaretu Piwnica pod Baranami

Z królestwem Bożym dzieje się tak, jak gdyby ktoś nasienie wrzucił w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy, nasienie kiełkuje i rośnie, sam nie wie jak. Ziemia sama z siebie wydaje plon, najpierw żdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie. Gdy zaś plon dojrzeje, zaraz zapuszcza sierp, bo pora już na żniwo.

Z Ewangelii św. Marka (4, 26-34)

Kiedy zastanawiałem się nad znalezieniem właściwego tytułu do szkicu o literackiej drodze Janusza Jano Mielczarka, wzrok mój pobiegł w kierunku przedniej strony okładki ostatniego zbioru jego opowiadań pt. *Motocykl Pana Kafki*. Na jej czarnym tle umieszczone zostały: nazwisko autora, tytuł zbioru nazywającego opowiadania krótkimi i niemęczącymi oraz nazwa wydawnictwa. Aby osłabić minorowy wyraz pierwszej strony książki, nasz prozaik zdecydował się zabarwić jedną z liter słowa „motocykl” na czerwono. Nie ulega wątpliwości, że przez taki właśnie tytuł (który nosi również jedno z opowiadań zbioru), chciał uhonorować wybitnego pisarza i zarazem jednego ze swoich mistrzów. Po odwróceniu książki, na tylnej jej okładce, ujrzałem zdjęcie ubranego na czarno Janusza z melonikiem na głowie. To pozwalało mi uznać, że ustalony przeze mnie tytuł szkicu będzie odpowiedni. Podkreśla on bowiem skłonność, a zarazem akcentuje zdolność naszego twórcy do przybierania różnych twarzy, gestów, póż i masek, charakterystyczną dla artysty – kreatora, który stara się tworzyć i osobiście grać coraz to nowe artystyczne role.

Podarowany mi przez autora zbiór, z niezrozumiałych dla mnie względów, zacząłem czytać od końca. Pierwszym tekstem, jaki otworzyłem, było *Marzenie psa*. W nim natrafiłem na opis postaci saksofonisty altowego Paula Desmonda, występującego wraz z amerykańskim kwartetem jazzowym Dave’a Brubecka w Warszawie w 1959 roku, którego słuchaczem był również nasz prozaik.

Wywołał on moje zainteresowanie, ponieważ w czasach studenckich byłem wielokrotnym bywalcem warszawskich festiwali jazzowych „Jazz Jamboree”, a kwartet Brubecka szczególnie sobie upodobałem.

Autor wymienionego opowiadania tak kreśli obraz saksofonisty:

Wyglądał na buchaltera z jakiejś gminnej spółdzielni produkującej sznurek do snopowiązałek albo gwoździe papiaki – ale kiedy zagrał – czarne przeznaczenie odjechało do rupieciarni rzeczy zbędnych, a on wydmuchiwał ze swej srebrnej rurki obłoki marzeń, które – prócz niebios – niosły nam zapach innego świata i wolności.

Z naturalnego odruchu czytelniczego bierze się pytanie, co granie Paula Desmonda może mieć wspólnego z marzeniami nawet najbardziej wrażliwego psa? Odpowiedź brzmi: „niekiedy może”.

Na tym właśnie polega finezja prozy Janusza Mielczarka, że potrafi umiejętnie łączyć ze sobą zdarzenia od siebie odległe czy niemające wiele wspólnego, a ich połączenie sprawia wrażenie naturalnego i oczywistego. Inna prozatorska umiejętność, którą zaczął od pewnego czasu owocnie wykorzystywać, to włączanie siebie, swoich autentycznych historii i przemyśleń, do narracji, stanowiącej zasadniczą treść jego opowiadań, biegnącej jednakże swoim odrębnym, fabularnym nurtem.

Wydaje się, że autor – przez opisaną scenę – chciał ponadto przekazać jeszcze inną ważną myśl, że nasze wizualne spostrzeżenia mają głównie walor obrazowy i z tego powodu nie zawsze docierają do sedna obserwowanego zjawiska, zwłaszcza jeśli dotyczą one oglądu osób. A nawet mogą być mylące. To ważna konstatacja człowieka, który zajmował się w sposób profesjonalny sztuką fotografowania, polegającą w znacznej mierze na wnikliwej obserwacji świata natury i odkrywaniu w nim rzeczy, na pierwszy rzut oka, niedostrzegalnych. Z czasem zauważył, że proza posiada potencjalną możliwość pogłębiania takiej obserwacji. I zapewne Janusz coraz bardziej zaczął przyswajać sobie ten jej walor.

Dla dowartościowania przedstawianej analizy tekstu literackiego postanowiłem połączyć ją z wybranymi, znaczącymi faktami, wziętymi z życiorysu autora, uznając, że taka zmiana toku myślenia jest niezbędna, aby lepiej zrozumieć metamorfozy, jakie przechodziło piarstwo Janusza Mielczarka.

Napomknę, że moja znajomość z Januszem datuje się jeszcze z czasów szkolnych. Chodziliśmy bowiem do tego samego Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie, nie będąc rówieśnikami. Był moim starszym kolegą i dzieliła nas różnica trzech klas. Z tego zapewne powodu nie nawiązaliśmy ze sobą bliższych kontaktów. Zapamiętałem go jako kogoś, kto wyróżniał się w młodzieżowym środowisku, na różny sposób zwracając na siebie uwagę niestereotypowymi zachowaniami. Ubierał się modnie i z gustem, będąc sam dla siebie stylistą. Spotkać go można było na ulicach miasta na wyścigowym rowerze, a następnie na skuterze, co wzbudzało publiczne zainteresowanie. Wcześniej podjął próby wielorakiej działalności artystycznej, poczynając od poezji, poprzez malarstwo, beletrystykę, dziennikarstwo, fotografię, występy kabaretowe czy animację kulturalną, poszukując w ten sposób odpowiadającej mu drogi artystycznej. Nierzadko jego zachowania miały charakter pewnego rodzaju kulturowej kontestacji, podkreślania swojej odrębności, sprzeciwu wobec przeciętności, banału i schematu. Był barwną postacią i zasłużył sobie w środowisku, w którym przebywał, na miano ekscentryka, a ktoś, kto lubi porównania, mógłby nazwać go częstochowskim Tyrmandem.

Nie wydaje się możliwe, aby tak przemyślane kreacje mogły nie przenikać do jego twórczości. Można by zauważyć: „jakie życie, takie pisanie”.

Jeśli dobrze pamiętam, pierwszy kontakt z Januszem nawiązałem z okazji tworzenia częstochowskiej grupy poetyckiej „Profile”, której staliśmy się członkami. Jednak do bliższej znajomości doszło później, gdy Janusz został rzecznikiem prasowym Wojewody Częstochowskiego i zarazem pracownikiem Urzędu Wojewódzkiego, w którym byłem zatrudniony. Pozostawaliśmy w kontaktach służbowych, a fakt ten stwarzał okazję do rozmów na różne tematy, zwłaszcza dotyczące kwestii literackich, w tym aktualnie czytanych lektur. Stąd mogłem zorientować się, jakie są upodobania beletrystyczne Janusza, nieco inne od moich, preferujących prozę amerykańską. Niektóre z moich lektur podsuwałem koledze po piórze (Marquez, Warren), a te na ogół były przez niego akceptowane.

Pozostawał jednak wierny swoim wybrańcom (Babel, Paustowski, Hrabal, Kafka), którzy mieli znaczny wpływ na kształtowanie się jego pisarskiego profilu. Odpowiadała mu przestrzeń i klimat tzw. małego realizmu, zabarwionego subtelnym humorem sytuacyjnym.

Dużą wagę przywiązywał do precyzji w opisie postaci literackich oraz tła fabularnego, ale również prowadzonych przez te postacie dialogów, tak aby mogły zaciekać czytelnika. Przypuszczam, że usilnie nad tym pracował. Nie stronił od ironii i groteski, które zapewne przejął od swoich mistrzów. Odnosiłem wrażenie, że doskonaląc warsztat literacki, wypracował pewien model pisarski, nad którym dobrze panował i którego się trzymał, a pisanie kolejnych utworów nie nastroczało mu trudności. Jakby z dużą biegłością zonglował narracją, znając jej reguły i sekrety... Jako czytelnik jego opowiadań wiedziałem, na co go stać i nie były one dla mnie większą niespodzianką. Jednak swoje zdanie musiałem zmienić, kiedy wziąłem do rąk wydany w 2016 r. zbiorek pt. *Szczęściarz i inne przypadki* i przeczytałem pierwsze z opowiadań pt. *Emilka* (zamieszczone również w *Motocyklu Pana Kafki*). Zawierało ono nie tylko przyciągający, lunatyczny klimat, ale również charakteryzowało się trudnym do przewidzenia tokiem narracji. Występujące w nim postacie, a zwłaszcza Emilka, skrywały jakieś tajemnice, które tylko częściowo zostają odsłonięte. Autorowi zależało na tym, aby następowały nieoczekiwane zwroty akcji, ale także, aby osoby te stawiać w sytuacjach ekstremalnych. Sprawiało to wrażenie, jakby autor przestał pociągać za sznurki kierujące postaciami, ale pozwalał na to, aby wydarzenia fabularne toczyły się spontanicznie. Dzięki dokonany zabiegom nabierają one głębszego wymiaru psychologicznego. Można by to ująć i w taką konstatację, że postacie literackie, które dotychczas przyjmowały do wiadomości znaną regułę życia społecznego, zakładającą, że „byt kształtuje świadomość”, przestały jej dowierzać i czuć się od niej uzależnione. Staje się tak na skutek tego, że zaczynają odczuwać poruszenia duchowe i im ulegać.

Widać to wyraźnie w omawianym opowiadaniu, gdzie zarówno tytułowa *Emilka*, jak też doktor-turysta, w swoim postępowaniu nie kierują się własną wolą, lecz korzystają z podszeptów jakiegoś wyimaginowanego czy nawet rzeczywistego *genius loci*, a w tym przypadku ducha gór.

Podobnie, w jego ostatnich dokonaniach prozatorskich, daje się zauważyć wyraźną ewolucję polegającą na uwalnianiu się od dosłowności i otwieraniu drzwi dla sytuacji nietypowych czy niezwykłych, którymi tak chętnie karmi się rasowa proza.

Potwierdzeniem tej tezy jest opowiadanie z ostatniej książki pt. *Tajemnica pilota myśliwca*. Skojarzenie ze sobą – przez autora – dwóch bohaterów tej opowieści, od samego początku daje efekt nadzwyczajności i uderzającej kontrowersji. Jeden z nich to pilot niemieckiego myśliwca wojskowego, który wsławił się zestrzeleniem w czasie ostatniej wojny 115 nieprzyjacielskich samolotów. Drugi to Polak z wykształceniem uniwersyteckim, który zgłasza się do starego pilota, aby pełnić funkcję prywatnego opiekuna. Nie trzeba tłumaczyć, że taki, najwyraźniej świadomy, wybór przypisanych im ról sprawia wrażenie pozbawionego logiki

i rozsądku. Jak się jednak okazuje, jest on potrzebny, zwłaszcza niemieckiemu pilotowi, aby Polak został jego powiernikiem duchowym, a on odbył przed nim swojego rodzaju spowiedź. W jego wyznaniu szczególne znaczenie ma fakt, że zachował życie dzięki polskiemu pilotowi, który mógł go zestrzelić, a jednak, w niezrozumiały sposób, odstąpił od tego. Skonfrontowanie tych dwóch postaci i postaw jest wyszukaną formą literackiego paradoksu.

Równie zjawiskowe, z pogranicza snu, może kina, jest opowiadanie pt. *Trąbka*. W scenerii łąkowego krajobrazu pojawia się wędrowny trębacz, który gra dla przygodnych słuchaczy, aby zachwycać ich swoją muzyką. Jakby prowadzony przez nieziemskiego ducha, który każe mu grać – jak się wyraża bohaterka opowiadania – dla nikogo. Jednak zawsze znajduje jakichś słuchaczy i dzięki temu może spełniać przypisaną mu rolę. Jest w nim cudowna przypadkowość, nikt tu niczego nie musi, wystarczy, że wzbudza w sobie zachwyt muzyką. Tak jak bohaterka, która przyrównuje niebo do welonu Matki Bożej.

Kontynuując lekturę opowiadań, docieram do dwóch – jak sądzę – znamiennych i kluczowych dla obecnego okresu twórczego, a zarazem w wyraźny sposób połączonych ze sobą tematycznie. Pierwsze z nich to *Człowiek ze szramami na dłoniach*, drugie *Tam, gdzie NIE rosną poziomki*. Posiadają szczególny wymiar duchowy, nie tylko dlatego, że ich akcja toczy się wewnątrz i wokół kościoła, ale i z tego powodu, że ich bohaterowie, a do nich należy również autor, uczestniczą w niecodziennej rozmowie z uobecnionym w opowiadaniach Chrystusem. Niezwykle poruszające są sceny, jakie dzieją się w *Człowieku ze szramami na dłoniach*. To prawdziwe, wstrząsające misterium krzyżowej ofiary, kiedy bohaterowie opowiadania stają w obronie kościelnego *sacrum* i przez to stają się ofiarami ludzkiej nienawiści. Pokazuje, jakby odczytując znaki czasu, brutalny atak *profanum* na symbole i przejawy świętości, nie dopuszczające żadnych form współegzystencji. Atak taki nie pozostaje jednak bezkarny.

Tematem opowiadania *Tam, gdzie NIE rosną poziomki* jest sentymentalna i duchowa podróż jego bohatera, a zarazem naszego twórcy, do miejsca, gdzie doznał kiedyś mistycznych przeżyć opisanych w *Człowieku ze szramami na dłoniach*. W podróży tej towarzyszy mu kobieta, czytelniczka jego książek, która ma być uczestnikiem i świadkiem peregrynacji. Kościół, do którego przybywają, jest jednak reliktem przeszłości. Przestał pełnić swoją funkcję, jest opuszczony i zrujnowany. A jednak wyprawa nie jest bezowocna, spotykają bowiem Chrystusa, a raczej słyszą jego zdziwiony głos pytający, jaka jest przyczyna ich przyjazdu. We wspólnej rozmowie poruszony zostaje, ważny dla przyjezdnych, temat powołania pisarskiego i znaczenia napisanych książek. Bohater-autor wyjaśnia też pytającemu Bogu, jak doszło do powstania opowiadania o człowieku ze szramami na dłoniach. I chociaż autor w tytule opowiadania wyraża myśl, że odwiedzane miejsce nie rodzi już owoców, skoro nie rosną już tam poziomki, to jednak dla niego i jego towarzyszki nadal posiada symboliczny charakter. Tak dzieje się bowiem, kiedy w literaturze, podobnie jak w życiu, zaczynają działać prawa duchowe i rodzą określone konsekwencje egzystencjalne.

W moim odczuciu proza ta jest prawdziwą i szczerą penetracją ludzkich przestrzeni duchowych, ubogacającą zarówno czytelnika, jak i samego autora.

Przyznam, że pierwotny tytuł mojego szkicu był nieco inny i kończył się zwrotem: *długa droga do literackiej osobowości*. Zmieniając tytuł, postanowiłem wykorzystać w zakończeniu opracowania przytoczoną myśl. Wyraża ona przekonanie, że pisarstwo Janusza Mielczarka, po odbyciu długiej drogi poszukiwań twórczych, doszło do momentu, który z całą odpowiedzialnością można nazwać stanem literackiej osobowości. Życzę naszemu szczęściarzowi, jak sam siebie niejednokrotnie określa, aby tego się trzymał i na tym nie poprzestawał. I niech mu wieje wiatr prozatorskiej odnowy...

Częstochowa, luty 2020 r.

Ryszard Wytrych

KONIE JANUSZA MIELCZARKA

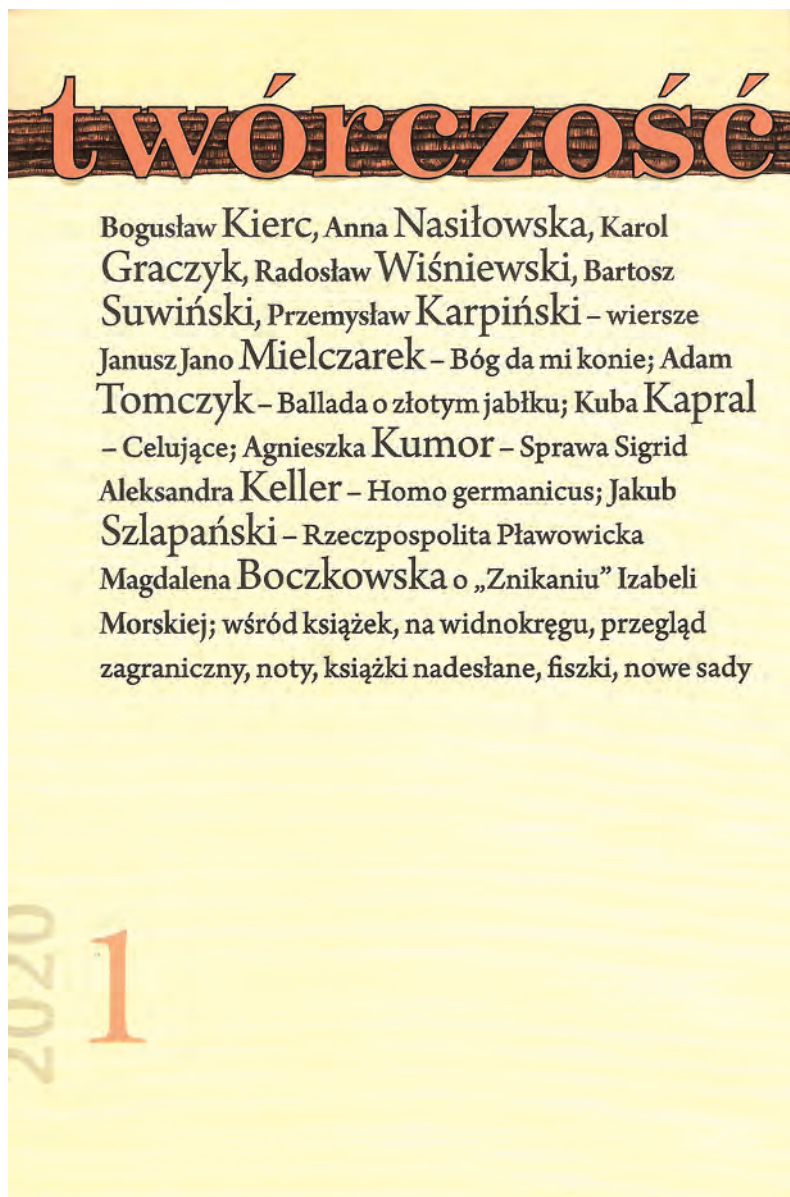
O d pierwszego kontaktu z Januszem podziwiałem go za żywy umysł, świetną pamięć i niespożytą energię twórczą. Do tego umiejętność skupiania na sobie uwagi. O czymkolwiek mówił, nie sposób było go nie słuchać. Dobitność ustnego przekazu najaktywniejszego uczestnika spotkań Towarzystwa Galeria Literacka zdominowała mnie tak dalece, że miałem problem z przebrnięciem przez pierwsze z jego opowiadań, jakie wpadło mi w ręce, zatytułowane *Mężczyzna na godziny*. Może to kwestia upodobań, subiektywnego spojrzenia, wszak lektura następnych utworów pisarza przyniosła doświadczenia zgoła odmienne. Po przeczytaniu *Ostatniej pory galopujących koni* zacząłem spoglądać na autora z pełnym podziwem. Utwory Janusza, oparte na osobistych doświadczeniach z okresu stanu wojennego, są z górnej półki. Po ich przeczytaniu zachęcałem go nawet do skoncentrowania się w dalszej twórczości na rzeczywistości naznaczonej własnymi przeżyciami, choć on z uporem odpowiadał, że budowanie fikcji bywa pociągające, wszak otwiera pole do szerszej penetracji tematu, pozwala pisarzowi na pełniejszą wypowiedź oraz na przekaz zgodny z osobistym, subiektywnym postrzeganiem. Podobna postawa jest niezbywalnym prawem artysty oraz jego wyborem. W pełni ją szanuję, choć osobiście wolę twórczość inspirowaną własnymi doświadczeniami bądź czerpiącą z przeżyć innych osób, wystarczająco jednak mi bliskich, abym rozbudowując ich relację o niezbędną w literaturze fikcję, mógł patrzeć na opisywaną rzeczywistość niemalże wzrokiem opowiadającego i odczuwać ją podobnie jak on. Owo myślenie nie jest w literaturze pozarozrywkowej niczym odkrywczym, najczęściej bywa nawet normą. Gdy zapytano Marcela Prousta, na ile w swoich dziełach odzwierciedla rzeczywistość dotkniętą osobiście, odpowiedział, że każdy utwór literatury ambitnej jest częstką autobiografii autora. Mam pewne skrzywienie na punkcie podejrzeń, że we wszystkich najwybitniejszych utworach zawarty jest jakiś ułamek osobistych przeżyć albo przynajmniej tęsknot, nawet jeżeli autor stara się skrupulatnie to ukryć.

Wracając do Mielczarka, nurtuje mnie pewien dylemat. Pisarz już na wstępie wskazuje źródło swej inspiracji do napisanego ostatnio opowiadania *Bóg da mi konie*. Swą robotę wykonał wszelako na tyle doskonale, że czytelnik musi się zastanawiać, czy autor rzeczywiście miał okazję wsłuchać się w prawdziwą, dramatyczną historię krawca Chaima, czy tylko dobrze ją wymyślił. Poprawna fikcja powinna wybrzmieć wystarczająco dobitnie, niczym zdarzenie autentyczne. Musi wkomponować się w wiarygodny, ogólny ogląd. U Janusza tak właśnie jest. Plastyczność jego prozy jest niezwykle wyrazista i nie sposób zapomnieć jej szczegółów. W przypadku *Bóg da mi konie* potęgują ją jeszcze przytłaczająca groza oraz cierpienie. Podczas lektury utworu Mielczarka przewijały się w mojej podświadomości opowiadania Żeromskiego, tyle że to ostatnie zostało napisane klarownym językiem współczesnym, oczyszczone z nazbyt rozbudowanych, trudnych dziś do przebrnięcia opisów przyrody oraz przynależnych jej zjawisk. Styl narracji autora *Bóg da mi konie* jest z jednej strony pokrewny sposobowi wyrażania się Żeromskiego, lecz jeszcze mocniej skłania się w swej tęsknocie ku genialnemu skrótowni Izaaka Babla. Babla doścignąć się nie da, lecz krótkie, treściwe zdania, flirtujące z techniką mistrza gatunku, są u Janusza utrzymane na odpowiednim poziomie.

Odnosząc się do opowiadania Mielczarka, pozzrzedziłbym nieco jedynie nad konstrukcją dramaturgiczną utworu. Opowiedziana historia zyskałaby bardzo na sile przekazu, gdyby

zarysować jakąś osnowę ukazującą wcześniejsze ścieżki głównych postaci dramatu: wysługującego się Niemcom komendanta policji oraz krawca Chaima, jeżeli żyli oni i dojrzewali do czasów wojny w tej samej społeczności. Ale to już jest kwestia relacji pomiędzy fikcją a faktografią oraz zamysłu autora utworu, który literacko dobrze się broni również w istniejącej formie.

(Opowiadanie Janusza Jano Mielczarka *Bóg da mi konie* ukazało się w „Twórczości” 1/2020, s. 8-13).



Roman Wyborski

MARZYĆ 5 LISTOPADA U DUDY-GRACZA

Jest w Częstochowie miejsce szczególne, a nawet dla Jasnej Góry *topos* niezwykajny, nawet nadzwyczajny. To dar Jerzego Dudy-Gracza, osiemnaście wielkich obrazów, z których każdy osiągałby niewyobrażalne sumy na rynku handlujących sztuką (to argument dla odbiorców „wrażliwych inaczej” na merkantylną wartość malarstwa). Bez przesady można powiedzieć: ostatnie skończone, cyzelowane dzieło katowickiego mistrza, a podjasnogórskiego krajana. Przedwczesna śmierć przerwała rozbuchaną, rozpędzoną twórczość, a nam wypadłoby zauważyć po piętnastu latach, iż teraz dobijałby ledwo osiemdziesiątki, dla wielu apogeum dojrzałości twórczej. Jeśli wypada, to... przynajmniej ogłośmy. Co? Dziejową konieczność ożywienia tamtego zakątka Sztuki, przywrócenia znaczeń, jakie owe obrazy mają/ powinny mieć w ogóle oraz w szczególnym otoczeniu jasnogórskiej Kaplicy, gdzie zmagania *sacrum* z *profanum* nabierają mocy nieporównywalnej do żadnego innego kontekstu.

W tym kontekście esej ten dedykuję kilku Osobom – znaczącym postaciom Kultury. Najpierw pani Magdalenie Piekorz, od niedawna dyrektorowi częstochowskiego teatru, uważającej siebie słusznie za wychowankę katowickiego mistrza na tyle, że podjęła takie wyzwanie. Następnie ks. biskupowi Antoniemu Długoszowi: od pogrzebu śp. Jerzego na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza nie ustaje nasza realna i wirtualna rozmowa o dziele Jerzego, a współudział ks. Biskupa w jedynej – dla uczczenia zgonu Mistrza – manifestacji środowisk twórczych na piętrze Kaplicy był i pozostał ponadczasowym błogosławieństwem. Te dwa nazwiska otwierałyby nieskończoną listę (z niżej już podpisanym) wirtualnego bractwa *Golgoty Jasnogórskiej* Jerzego Dudy-Gracza, sponsorującej (w angielskim znaczeniu) realną – choćby dwa razy w roku – scenę Teatru im. Mickiewicza U Dudy-Gracza – Na Piętrze.

Kilka kwestii z tego akapitu wymaga obszerniejszego przedstawienia. Dopiero teraz pierwszy raz użyto miana *Golgoty*, pod którym funkcjonuje dzieło śp. Jerzego. Osobisty dystans do tej nazwy uzasadniałaby sekwencja scen biblijnych, akcentów i aluzji ujętych Czasem i Postacią od Zmartwychwstającego po Wniebowstępującego (z tekstem bpa Antoniego 15 lat temu) bardziej niż sama linearna płaskość, wręcz przyziemność dziania Się na obrazach. O ile opowieść Drogi Krzyżowej byłaby znanym z innych cykli wypełnianiem obrazu tyluż postaciami, co treściami „bardzo polskimi”, to wyróżnione powyżej cztery obrazy byłyby aktem wiary odważnego, ba! zuchwałego niedowiarka (?), uzależnionym na tyle od konceptu i techniki malarskiej, że do patrzącego należy decyzja o przystaniu do wizji Jerzego lub nie, co jest akurat moim przypadkiem: łaknącego, szukającego ciągle i wszędzie Przewidywalności Ciała Zmartwychwstającego. Została tu przywołana Droga Krzyżowa. Nazwa ta, prócz standardowych obrazów, płaskorzeźb i temu podobnych, w świątyni ma desygnat zgromadzenia i nabożeństwa zarazem. Taki też tytuł nadano owej manifestacji ówczesnych środowisk twórczych, gdzie od kotłów i skrzypków Filharmonii, przez saksofon Woszczyzny, po chór szkoły Muzycznej pod Pośpiechem, słowo zmagало Się z muzyką, nadając nabożeństwu prowadzonemu przez o. Golonkę, niestrudzonego orędownika i przyjaciela śp. Jerzego oraz Wilmy i Agaty, rzadko osiągalne, oddolne natężenie modlitewno-emocjonalne. Jednym słowem – wzorzec. A drugim, koniecznym słowem, a nawet zdaniem, byłoby życzenie zdrowia o. Golonce, aby co najmniej raz jeszcze dołączył do wspomnianego bractwa.

Napisałem był – wzorzec, teraz mały doń *bemol*. Wydawałoby Się, iż bogactwo różnorodności tropów i skojarzeń emanuje z każdego obrazu – i Tradycji – energią tworzenia, impro-

wizowania, wierszowania..., tak, aby ich przekaz i zasób treści starał się dorównać źródłu. To jeszcze przed nami. Z pewnością każdy z bywalców Piętra Dudy-Gracza ma swój obraz lub swoje obrazy, dla których „wchodzi-na-golgotę” dla osobistej inspiracji w kontemplacji (gdy jej nie przeszkadza głos przewodniczki standardowo spłaszczającej „to-co-widać”). Proszę i mnie pozwolić na takie wyznanie, i to od naj... Stając na początku, patrzymy nie na standardowo pierwszy obraz przedstawiający sąd Piłata; nb. dla naszej wówczas „Drogi...” nazwałem go dziennikarskim (z racji przeładowania mikrofonami, wyprasząc o niezrównany głos Ani Terlickiej z radia Jasna Góra). Patrzymy wzdłuż korytarza na, u szczytu, przyzwoicie nagiego Jezusa na tle baldachimu i monstrancji z hostią, powszechnie kojarzonymi z procesją Bożego Ciała. Podaruję PT. Czytelnikom drażnienie wszystkich sensów najmocniejszego wyzwania Dudy-Gracza i zarazem kwintesencji rozpisanego na kilka stadiów studium Ciała Cierpiącego Boga-Człowieka (jedno z nich znalazło się na znakomitym ówczesnym plakacie Roberta Sękiewicza). Długo po nim wizerunek św. Tomasza na tle wieży Babel. Zaraz po tym obraz z Obrazem Częstochowskiej jako Pietą. W języku sportowym – moje podium. Oczywiście w każdym obrazie jest niejedno COŚ, a pośród nich wymienione osoby, od Autora (Cyrenejczyk), przez Małżonkę, po Córkę (Weronika), dziś jedną z bardziej wyrazistych reżyserek teatralnych, której – nb. obecnej na ówczesnej „Drodze...” – również dedykuję ten apel.

Osobnego uzasadnienia wymagałyby propozycje sceny i *sponsoringu* (w anglojęzycznym znaczeniu). Instytucjonalnie można powołać się na Filharmonię, co jakiś czas przenoszącą muzykowanie do akustycznej Sali Rycerskiej. Potencjalnie i poza godzinami nabożeństw, stałymi i okazjonalnymi, nic nie przeszkadzałoby aktorom głosem i tekstem (jak inicjalnie uczynił to Ernest Bryll) wzmocnić przekaz Dudy-Gracza. Tu kłania się *sponsor*, świadek świadomy religijnie i życiowo istotnych aktów: od chrztu, przez bierzmowanie, po ślub. Ktokolwiek uznał znaczenie jasnogórskich obrazów Dudy-Gracza, nie może nie świadczyć *extra omnes* o ich ponadczasowo potencjalnej ważności i wartości. Wspomniałem o wierszowanym wkładzie Brylla, którego *Wieczernik* byłby najmocniejszym literackim tekstem odniesienia do dzieła Dudy-Gracza. W niegdyś katowickiej, a potem jasnogórskiej zażyłości Wojciecha i Jerzego, była szansa na kongenialne do „Golgoty...” dzieło Kilara. Aż dziw, że tak nikłą inspiracją są poszczególne gmatwaniny treści poszczególnych obrazów. Ale też żal, iż tak mało zeń wywożą np. maturzyści, domniemana sól ziemi; fenomen (kolejny na skalę światową) krajowej przedmaturalnej peregrynacji na Jasną Górę odpowiada czasowo zaistnieniu „Golgoty...” i nic lub prawie nic nie wskazuje, aby te dwa światy owocnie się spotykały. Czas temu zaradzić.

Odpowiedź na pytanie: jak – jest podwójnie, potrójnie utrudniona. Najtrudniejsza na pytanie: jak pisać – nie dość, że laickim językiem o nabożeństwie i mitologii drogi krzyżowej, to jeszcze laika (?) językiem o Sztuce. Od najstarszych i najbardziej fantastycznych dzieł obrazujących – na ścianach, odrzwiach i witrażach – *Biblię pauperorum*, gruntowana była ciągłość emocjonalnej przynależności – raczej widza, mniej „uczestnika” owej drogi... – do wyobraźni wspólnoty z tym lub innym twórcą i przekazem. Na samej Jasnej Górze są co najmniej trzy wizerunki drogi krzyżowej, a jeszcze Przeprośna Górka dopomina się uwagi w swojej nadwartości rzeźbami-pomnikami Szymona Wypycha. W samej Częstochowie, jak wszędzie, tyle, ile świątyń katolickich, tyle dróg krzyżowych, chociaż zdarzają się wzbogacenia takie jak u św. Wojciecha, świętującego swoje półwiecze obrazami „mówiącymi inaczej” Józefa Ulińskiego pod każdą stacją zwyczajowej drogi krzyżowej. Spośród ostatnio sygnowanych przez uznanych malarzy, z barokowym rozbuchaniem i peerelowskimi zawiłościami Dudy-Gracza kontrastuje oszczędność kolorowych plam Stanisława Rodzińskiego

w Kościele Akademickim. Bynajmniej nie jest to spór estetyczny profesorów krakowskiego z katowickim. Jeśli w zamyśle Rodzińskiego każda stacja w cichości świątynnej nadobecnosci ówczesnej Ofiary zachęcałaby do duchowego kroczenia ku *sacrum*, to prowokacje Dudy-Gracza w swoistym zawieszeniu piętra dobudówki do Kaplicy jakby pobudzały najpierw do równie rozbuchanego *profanum* twórczo grupowych emocji, aby poprzez nie i *katarsis* – a także dzięki nim – ujrzeć przysłowiowe światelko w tunelu szansy na *sacrum*.

Miliony słów napisano i wypowiedziano – jedne bardziej banalne (niegodne, aluzyjne...) od drugich – z przyczyny owych czternastu stacji, a szczególnie tzw. trzech upadków, gdzie estetyczne studium cieleśnie dotkliwej udręki konkuruje z etyczną ekstrapolacją w najbardziej karykaturalne rejony. Co do tego pierwszego, poza udręczonym ciałem Jezusa w wizerunku Dudy-Gracza, spróbuję namacalnie uzmysłowić Jego zdrętwiałe palce i zboliałe... pięty, które naturalną wielkością i chropawą terakotą wystają z ceglanych ścian świątyni bydgoskich Męczenników, miejsca ostatniej posługi i zarazem inauguracji męki ks. Jerzego Popiełuszki. Tu dygresja osobista. W „wojennych” latach 80. moja myślowicka Archikonfraternia Literacka (rok założenia w Warszawie – 1507; poza stolicą drugi w Kraju dom po bydgoskim – tam właśnie), męskie bractwo pobożne i matecznik tzw. podziemia, oprócz statutowej mszy niedzielnej prowadziła parafialne nabożeństwa różańca i drogi krzyżowej, a w nich odnawiała intencję powrotu do otwartego, legalnego działania Solidarności. Nasz komentarz-modlitwa do bodaj „Trzeciego upadku” musiał być soczyście adekwatny, bo usłyszałem gorący szepot chłopaków: „No to już wiim, co to ta ich Solidarność”. Może doczekam(y) takiej „Gromnicznej”, gdy doroczna jasnogórska pielgrzymka parlamentarzystów przy obrazie „Trzeciego upadku” wyzna na tyle głośno i szczerze *mea culpa*, iż obecni przypadkowo tam, np. maturzyści, nb. suwerennie konstytucyjne podmioty czynnego prawa wyborczego, wyjadą z Jasnej Góry z przekonaniem: „To teraz bardziej świadomie przypilnujemy tych, cośmy sobie wysłali na stołeczną poniewierkę”.

PS Tekst pisany latem/jesienią na tytułową datę zgonu Jerzego 5 listopada doczekał marcowej daty Jego urodzin, która odtąd stanie się także datą powtórnego połączenia pod katowickim adresem ul. Sienkiewicza Małżonków Wilmy i Jerzego Duda-Gracz. Odtąd też, dzięki jasnogórskiej „Golgocie...”, będzie można obcować z Wilmą na Jej opiekuńczym wizerunku. A pogrzeb i trumna śp. Wilmy być może objawia śląskim nazwiskiem rodowym (jak w wielu innych przypadkach, np. wspomnianej w „Galerii” panny Mackiewiczówny) pełną prawdę o zwyczajnej i nadzwyczajnej Damie Kultury. Prawdę, *nomen omen*, bo taki tytuł nosi spektakl córki Agaty w katowickim teatrze, pierwszej dopiero realizacji znanej w Kraju katowiczanki, do którego marcowej premiery nie dopuściła kwarantanna. Chciałoby się rzec: zestaw prawd, z którymi uporałaby się tylko wyobraźnia i paleta Jerzego.

PS 2 W marcu urodziny obchodzi też Ernest Bryll, w tym roku 85. Rzecz o Jerzym zacząłem od Jego niedosłej osiemdziesiątki. Już po wysłaniu pierwszego PS w urodzinowej rozmowie usłyszałem Małgorzatę, żonę Ernesta, wspominającą pobyt opiekuńczy w śląskim szpitalu u prof. Bochenka, gdy rekonwalescent, obdarowany nowym życiem, czyli bajpasami (czterema), leżał na łóżku, które dopiero co opuścił bajpasowany Jurek (a przedtem Andrzej Wajda). Nie wchodząc w szczegóły więzi ówczesnych rekonwalescentów, to zmartwychwstańcze łożo, także tajemniczy, legło u źródła jasnogórskiego kontemplacyjnego dzieła obu twórców.

roman_wyborski@op.pl

Maciej Rudlicki

CZY MIŁOŚĆ JEST SZTUKĄ?

Jeden z najwybitniejszych myślicieli i filozofów XX wieku, Erich Fromm (1900–1980), którego prace są nacechowane szczególnym zaangażowaniem w ważne problemy współczesnego społeczeństwa i cywilizacji, napisał między innymi dwie książki dotyczące tematów rzadko poruszanych: *O sztuce miłości* i *O miłości do życia*.

Powtarzające się w obu tych tytułach słowo „miłość” wnosi tu aspekt emocjonalny, rzecz można prawie intymny, choć wyczuwalny jest także kontekst społeczny. I to właśnie staje się dla Fromma sednem jego rozważań.

Takie słowa i pojęcia jak: piękno, szczęście czy też miłość, tak powszechnie i często używane, a tak trudno definiowalne, nabrzmiały wielością nadawanych im indywidualnie znaczeń, są niezbędne w opisie życia człowieka. Zawarty w nich duży ładunek emocjonalny wpływa na sposób komunikacji i kontakty międzyludzkie, czasem w znaczący sposób determinując ich atmosferę. Mnogość wywodzących się stąd pytań i aspektów ludzkiej natury jest poważnym polem badań niektórych psychologów i filozofów.

We wstępie do polskiego wydania *O sztuce miłości* z 2014 r. (nakładem PIW), Marcin Czerwiński pisze: „Miłość, jak ją rozumie Fromm, to w gruncie rzeczy nie tyle uczucie, ile sposób zaangażowania człowieka wobec bytu, świata w ogólności, sposób zaangażowania wobec społeczeństwa w dialogu, jakim jest działanie publiczne, praca, twórczość”.

Takie stanowisko może wywoływać pewien rodzaj wątpliwości czy dystansu wobec przyswojonych w naszej świadomości stereotypów. Opisywanie i odnoszenie tego pojęcia i uczucia do sfery społecznej może budzić pewne zdziwienie, ale jak sądzę, nie powinno zniechęcać do zastanowienia.

Wydaje się naturalnym, że ktoś, kto odkrywa w sobie miłość do drugiego człowieka, nie myśli kategoriami skutków społecznych tego stanu rzeczy czy jakichkolwiek w tym znaczeniu – zewnętrznych, wychodzących daleko poza intymny świat przeżyć. Posługiwanie się wobec czyjegoś uczucia miłości presją dydaktyczną, wywodzącą się z takiego sposobu myślenia, może być przecież odczuwane dolegliwie, naruszać wrażliwość zainteresowanych, być poczytywanym za nieuprawnione i zbędne.

Ale czy można zaprzeczyć, że zawarty w miłości pewien rodzaj egoizmu nie zderza się z realnym światem, że pragnienie miłości i szczęścia nie znajduje się w konfrontacji z trudną rzeczywistością i prawem innych do własnego szczęścia?

Erich Fromm zdecydowanie wypowiada się za tym, że powyżej opisane uwarunkowania społeczne są powodem, dla którego uprawnione jest twierdzenie, że miłość jest sztuką.



Erich Fromm, foto Wikipedia

Sztuką życia w realnym społeczeństwie, gdzie uwarunkowania są wzajemne. Jeśli zatem chcemy doznać miłości prawdziwej, dojrzałej, polegającej na umiejętności dawania, a nie na egoizmie, to musimy to zrozumieć i właściwie postępować.

To oczywiste, że każdy człowiek chce być kochany, ale zdecydowanie mniej ludzi zastanawia się nad tym, czy posiada zdolność kochania innego człowieka i jak pięknym, ale trudnym i odpowiedzialnym jest to uczucie, jeśli nie odnosić go wyłącznie do erotyzmu.

Fromm wyróżnia dwie fazy miłości: zakochanie się i pozostawanie w miłości. O ile ta pierwsza faza, będąca rodzajem zauroczenia, fascynacją erotyczną, potrzebą stałej bliskości drugiej osoby, zakwita czy też wybucha romantycznością, to ta druga stopniowo wnosi do rozkwitłego uczucia coraz więcej trudnych spraw i problemów. Skutki tych następstw bywają czasem życiowo bolesne, a zdarza się, że dramatyczne. Pierwsze zauroczenie, które bywa czasem nazywane stanem chorobowym ludzkiej duszy, nie ułatwia wzajemnego dobrego poznania się, rozpoznania swoich osobowości, dostrzeżenia prawdziwych zalet i wad, a za wystarczający dowód tego poznania jest uznawane zbliżenie fizyczne. Dlatego właśnie Fromm zachęca, aby miłość traktować jako pewien rodzaj sztuki życia, którą świadomie postępujący człowiek może opanować lub przynajmniej zrozumieć, ograniczając w ten sposób negatywne następstwa powstałego uczucia, które mogłyby dotknąć komplikacjami dwoje, a czasem całą rodzinę. Autor podkreśla niezwykle trudność takiego podejścia, nacechowanego braniem pod uwagę rozmaitych okoliczności, lecz zaprzecza nasuującemu się wnioskowi, że książka jest poradnikiem.

Erich Fromm, będąc psychologiem, potrzebę kochania upatruje także w życiowym osamotnieniu człowieka, które rodzi poczucie niepokoju, a czasem bezradności. Potrzeba przezwyciężenia samotności jest przecież jedną z najważniejszych potrzeb człowieka od samego początku jego biologicznego ukształtowania, ponieważ wynika z warunków ludzkiego istnienia. Obydwie prace Fromma powstały w drugiej połowie XX wieku i choć od tego czasu minęło kilkadziesiąt lat, a nasza cywilizacja zmieniła się i zmienia w zawrotnym tempie, jego poglądy nabierają, moim zdaniem, coraz większej wagi, w tym zwłaszcza w kontekście problemu osamotnienia. Świat, który w swej rynkowej bezwzględności na piedestale ulokował pieniądze, w znaczący sposób podważył liczące się dla nas wartości humanitarne i znaczenie autorytetów.

Coraz częściej z mediów dowiadujemy się o tragicznych skutkach prób wywoływania przez młodzież stanów euforycznych poprzez zażywanie niebezpiecznych substancji, narkotyków, w celu rozładowania wewnętrznego napięcia i w znacznej mierze z powodu lęku przed osamotnieniem. Zdaniem naukowców coraz większe uzależnienie młodych ludzi od wirtualnego świata powoduje w ich mózgach zmiany, które wpływają na świadomość i wrażliwość.

Niezwykle analityczny i humanitarny sposób pojmowania uczucia miłości, jaki opisuje w swoich pracach Fromm, w moim przekonaniu zderza się dość brutalnie z pragmatyzmem życia i zapewne ze współczesną duchowością młodego człowieka. Zderza się także ze współczesnymi poglądami na wartości określające styl życia. Ale czy warto odrzucić taki punkt widzenia w całości, nie dokonując żadnego wysiłku umysłowego nad tym problemem? Przecież nie chodzi tu o miłosne fascynacje, o których opowiada się czasem pół żartem pół serio. Chodzi o zrozumienie znaczenia najważniejszego uczucia człowieka, nadającego sens jego życiu i konstruującego treść życia rodziny. To prawda, że realne życie ze swoją nieprzewidywalnością nie skłania do takich rozważań, nic wszakże nie wskazuje, żeby w dobie cyfryzacji i robotyzacji miłość nie była już potrzebna.

Niezwykle piękną myśl o miłości i jej sile wyraził Karol Marks. Napisał on w *Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych z 1844 r.*: „Przy założeniu, że człowiek jest człowiekiem

i jego stosunek do świata jest ludzki, to miłość możesz wymieniać tylko na miłość, zaufanie tylko na zaufanie itd. (...) Jeśli kochasz, nie wzbudzając wzajemnego uczucia miłości, to znaczy jeśli twoja miłość jako miłość nie wytwarza wzajemnej miłości, jeśli ty jako człowiek kochający poprzez swe przejawy życia nie czynisz siebie człowiekiem kochanym, to twoja miłość jest bezsilna, jest nieszczęściem”.

Założenie Marksa („człowiek jest człowiekiem”) wydaje się proste i oczywiste, a jednak próbom odpowiedzi na to pytanie poświęciło swe prace naukowe wielu badaczy. Pisali o tym między innymi: Luc Ferry i Jean-Didier Vincent w dziele pt. *Co to jest człowiek*, Jared Diamond *Trzeci szympan*, Isaiah Berlin *Pokrzywione drzewo człowieczeństwa* i wielu innych, także E. Fromm i Zygmunta Freud. Problem w tym, że wraz z narastającą wiedzą o pochodzeniu i istocie człowieka oraz o życiu psychicznym i społecznym niektórych zwierząt, podobieństw zauważa się coraz więcej.

Skomplikowana natura człowieka, poddanego popędowi i namiętnościom podświadomości, z różnymi zawiłościami psychiki i charakteru, jest wszakże tłem, na którym rodzą się jego uczucia. Nic nie jest tu łatwe do opiniowania i przewidywania.

Żeby próbować zrozumieć siebie samego, trzeba czasem sięgać bardzo głęboko.

Zapewne nie urodziliśmy się po to, aby być filozofami, ale żeby trwał gatunek, żeby istniał człowiek. Stąd też biologiczna moc, z jaką działają instynkty, jest nadal bardzo duża. Ze studiów na kierunku biochemii Uniwersytetu Łódzkiego pamiętam fragment wykładu prof. Dmochowskiego, który stwierdził: „dwa instynkty rządzą istnieniem świata zwierzęcego, instynkt głodu i instynkt rozrodu, bez nich nie byłoby życia”. Trudno zaprzeczyć, że podlegamy tym samym mechanizmom. Ale dziś nie jesteśmy zwierzętami i seks, jak pisze prof. Leszek Kołakowski, to u współczesnego człowieka sprawa kultury.

Od czasów Freuda istnieje spór wśród naukowców o fundamentalny powód pojawienia się uczucia miłości u człowieka. Czy jest to wyraz instynktu seksualnego, jak twierdzi Freud, czy też wynika to z ogromnej potrzeby zespolenia, jak wypowiada się Fromm, czego jednym z przejawów jest pożądanie seksualne. Odmienność i wyrazistość biologicznych ról dwóch płci nie pozostawia wątpliwości, że mężczyźni to „siewcy”, i to nieraz do późnych lat swego życia, a kobiety to dawczynie życia w jego formie gotowej do rozwoju i walki o przetrwanie.

Instynktowna i fizjologiczna determinacja do spełniania tych ról nie budzi wątpliwości, choć przebiega czasem z dużymi odstępstwami od uznanych społecznie norm.

Właściwie nie jest dla mnie jasne, czy w poczuciu swej wyższości lub niewiedzy możemy z pełnym przekonaniem powiedzieć, że uczucie miłości jest tylko i wyłącznie cechą człowieka. W świecie zwierzęcym jest wystarczająco dużo przykładów łączenia się w pary na całe życie. Jaki jest powód takiego właśnie wyboru, jaki czynnik o tym decyduje? Coraz bardziej rozwinięte badania świata zwierząt udowadniają, że niektóre gatunki małp, ptaków, ale też słonie i delfiny posiadają zastanawiająco wysoką inteligencję. Dysponują też rodzajem samoświadomości, która pozwala im nawet zrozumieć, że w lustrze oglądają samych siebie, a nie jakieś inne zwierzę. Jeśli tak, to czyż nie może powstać w mózgu takiego zwierzęcia potrzeba rozpoznania sylwetki emocjonalnie oczekiwanej? A jak zrozumieć potrzebę wykonywania tańców godowych, nacechowanych urokiem wymyślnych figur i czułością, przez niektóre gatunki ptaków?

Należy jednak zastanowić się nad pytaniem, czy miłość, uznawana za prawdziwą, jest wyłącznie uczuciem egoistycznym, zamkniętym w szczelnym odizolowaniu od innych ludzi, którzy przecież też chcą kochać i być kochanymi? Albo też czy można kogoś prawdziwie kochać, a innych nienawidzić? Czy można kochać Boga, a nienawidzić człowieka?

W książce *O miłości do życia* na tak postawione pytanie Erich Fromm odpowiada: „Ten, który kocha tylko jednego człowieka – nie kocha nikogo”.

Apoteoza miłości między ludźmi zapisana jest już w Starym Testamencie w następujących słowach: „znacie serce obcego, bo sami byliście obcy w kraju Egiptu, dlatego kochajcie obcego”. Jeśli jeszcze wspomnieć inny biblijny nakaz: „kochaj bliźniego swego jak siebie samego” – to dla rozumienia pojęcia miłości otrzymujemy głębokie humanitarne przesłanie.

Miłość prawdziwa jest zatem zaprzeczeniem egoizmu, jest otwarta na innych, na miłość człowieka w ogóle, a więc ma kontekst społeczny, ponadnarodowy.

Historia ludzkości nie jest jednak dowodem na to, że dominującym uczuciem między ludźmi jest miłość. Wydaje się, że zupełnie inne cechy człowieka zdecydowały o jej rzeczywistym przebiegu. To właśnie tu, w Europie, mimo dwóch tysięcy lat religijnej edukacji miłości, wybuchły największe na świecie wojny światowe o niewiarygodnie olbrzymiej ilości ofiar. To tu doszło do eksterminacji ludności cywilnej, do przemysłowego ludobójstwa na ogromną skalę. To tu obcy lub inny znaczyło – śmierć. Nikt i nic nie było w stanie temu zapobiec. Mimo tych doświadczeń, nadal żyjemy w stanie chwiejnej, niebezpiecznej i obrzydliwej moralnie tyranii strachu.

W ostatnich latach z powodu wojen, biedy i głodu w Europie, Afryce i Azji doszło do nienotowanej od stuleci skali migracji. W samej tylko Syrii ofiary wśród ludności cywilnej oceniane są na około trzysta tysięcy zabitych. Dziesiątki tysięcy ofiar ludności cywilnej pozostały na zawsze na ziemiach Europy i Azji, na dnie Morza Śródziemnego. Nasze rozumienie miłości bliźniego zostało wystawione na ciężką próbę. Niestety, dla wielu, dla bardzo wielu, to tylko zagrożenie, brud i zaraza.

Dobitnym symbolem myślenia tych ludzi są płoty, płoty za wszelką cenę, odgradzające dzikich od cywilizowanych. Dla wielu miłość człowieka kończy się tam, gdzie zaczyna się obcy. Nawet Papież Franciszek ma duże trudności z wytłumaczeniem tego fałszu moralnego nie tylko niektórym wiernym, ale i niektórym kapłanom. W poczuciu koniecznego symbolu zdecydował, aby państwo Watykan przyjęło kilkudziesięciu bezdomnych emigrantów.

To nie religie są winne wzajemnej bezrozumnej agresji, pojawiającej się w rezultacie rozmaitych aktów terroru, to obłąkani kapłani są siewcami zła i śmierci, fanatycznymi edukatorami zemst, topiącymi swoją chorą miłość Boga w obcej krwi.

Tę wielką etyczną wartość, jaką jest miłość bliźniego, dostrzegli już na kilkaset lat przed Chrystusem buddyzm i konfucjanizm, o czym w książce *Religie Świata* napisał Douglas E. Harding. W swojej istocie jest ona bowiem uświadomioną koniecznością obrony człowieczeństwa. Według Hardinga niezwykle dosadnie wyraził to następca, ale i krytyk Konfucjusza, Mo Di, który powiedział, że wolą Boga jest miłość powszechna i nierozróżniająca, a wojna sprzeczna jest z jej naturą i nic, prócz miłości, ozdowieńczo nie poskutkuje.

Praktycznie od zawsze człowiek próbuje relatywizować zasady moralne. Jeśli ktoś zabił jednego człowieka, to w zgodnej opinii jest mordercą, ale jeśli potrafił zabić tysiące czy miliony, to jest wielkim człowiekiem, któremu należą się pomniki, szacunek i pamięć historyczna. Przykładów w historii jest wystarczająca ilość, by udowodnić słuszność tego spostrzeżenia. Funkcjonujące w opinii społecznej pojęcie wojny sprawiedliwej *de facto* zaprzecza temu, że każda wojna jest złem, że każda wojna jest powodem śmierci ofiar niewinnych, że jest klęską człowieka.

Największy z hebrajskich proroków, Jezus Chrystus, głosił, że boska moc spoza Świata – to wielka Miłość i że musimy się miłować nawzajem, tak jak Bóg nas miłuje. Jego

dramatyczny i wzruszający życiorys rozprzestrzenił tę religię z niesłychanie pozytywnym skutkiem do tego stopnia, że dla wielu stał się Bogiem. A co z miłością? I tu jest problem. Gwałtowny rozwój cywilizacyjny, przesycony cyfryzacją i robotyzacją, fora internetowe, smartfony, drapieżny globalny rynek – oto tło, na którym z trudem kiełkuje dziś ludzka miłość. Bezwzględna konkurencja nakierowana na sukces za wszelką cenę, zanik autorytetów, podważanie moralnych wartości w imię osiągania celu, niszczą zarodki miłości jako rzeczy zbyt trudnej i wymagającej zbyt dużo czasu, w pojęciu niektórych bezproduktywnego. Wszystko na szybko i wszystko w pigułce.

Upowszechniona w Europie przez religie judeochrześcijańska moralność pozostaje w konfrontacji z realnym życiem. Czy to oznacza, że to już jej kres, czy zadyszka? Wszystko zależy od tego, czy będziemy chcieli być ludźmi, czy tylko dodatkiem do maszyn lub wręcz maszynami w ludzkim ciele. Myślę, że nadal jest możliwe, aby zachować nasze człowieczeństwo, a mając odwagę i godność umieć pogodzić sukces z uznawanym przez siebie stylem życia. Jeśli zachowamy swoją zdolność do przeżycia uczucia zrodzonego z porywu miłości do kogoś, kto otwiera przed nami początek nowego życia, jeśli zachowamy imperatyw dawania siebie komuś, jeśli w drugim człowieku będziemy widzieć także siebie samego ze wszystkimi naturalnymi potrzebami człowieka, to *homo sapiens* przetrwa, podporządkowując swojej etyce cywilizację, którą stwarza.

Warto jednak zadać pytanie, z jaką wiedzą o powyższych problemach wychodzi ze szkoły w naszym systemie edukacyjnym uczeń. Dlaczego wśród sporów o sposób nauczania biologii człowieka, w tym o jego seksualności, nie dajemy programowej szansy uświadomienia – kim jest człowiek? Czym jest człowieczeństwo? Co to jest dojrzała miłość człowieka do człowieka? Niestety, zbyt często dominuje w powszechnym rozumieniu miłości mit kłliwej i banalnej bajki przesyconej zapachami feromonów i agresją hormonów, w której zamiast głębszej refleksji używa się podsumowania typu „i żyli długo i szczęśliwie”.

Tak, miłość jest sztuką, jak twierdził Erich Fromm. Jest sztuką życia z człowiekiem, wśród innych ludzi, jest apoteozą człowieczeństwa. I dlatego, że jest sztuką – tak niewielu potrafi ją uprawiać.

Życzę wszystkim aby słowa jednego z największych tragiców greckich, Sofoklesa, napisane w VI w. p.n.e., były zawsze aktualne, a brzmią one: „Jedno słowo uwalnia nas od wszystkich brzemion i cierpień życia, tym słowem jest miłość”.

08-12-2019



Małgorzata Nowakowska-Karczewska

SZCZĘŚCIE



I

„Szczęście z nieszczęściem chodzi na przemiany,
Jak wieniec różnymi zioły przeplatany”.
(Jan Kochanowski)

Ludziom zawsze marzy się szczęście, baśniowy los, wielka miłość, bogactwo, sława. Człowiek poszukuje, co naturalne, piękna, dobra, rozkoszy. Doskonale wyczuwał owe tęsknoty Calderon de la Barca, który w *auto sacramental Wielki teatr świata* pisał:

„Gdyby mógł człowiek wybierać swą dolę,
Nikt by nie wybrał cierpienia i bólu”.

Tymczasem życie jest bardziej złożone – by przywołać fragment fraszki *O rozkoszy* Jana Kochanowskiego – nie ma nieustannej radości, każdy kontakt ze światem przynosi przyjemności, ale i cierpienia:

„Rozkoszy na świat szczerzej nie podano,
Ale do każdej zółci przymieszano”.

Niełatwo przychodzi człowiekowi pogodzić się z ową zmiennością losu, kruchością szczęścia, w dodatku niejeden (ja także) gotów przyznać, że nie mylił się Heinrich Heine, który w cyklu *Lamentationen* napisał:

„Szczęście jak dziewczka na nas woła,
niedługo w miejscu zostać chce (...)
odwraca się i dalej mknie.
Nieszczęście za to gdy zawita (...)
rozgości się, o czas nie pyta”.

Pełnię szczęścia wyklucza, zdaniem wielu, smutna świadomość marności, przemijalności ludzkiego żywota.

„Sen to tylko, sen znikomy,
Na krótki czas pozwolony” –

pisał Zbigniew Morsztyn, poeta arianin, dumając nad paradoksem człowieczego losu.

Śmierć jest zawsze obok nas, nawet jeśli w codziennej krzątaninie staramy się o tym zapomnieć.

„Choćbyśmy w samym środku życia byli,
waży się kwilić
pośrodku nas” –

konstatawał Reiner Maria Rilke, któremu od dzieciństwa los nie oszczędził cierpienia i zgotował bolesną – chorował na białaczkę – śmierć.

Pasja życia sprawia, że człowiek nigdy nie chciał pogodzić się z nieuniknionymi prawami natury, zawsze gotów był, gdy nadchodzi kres, krzyknąć: „o miliard lat za wcześniej ginę!” (Julian Tuwim).

Przez wieki, zgłębiając tajemnice życia, poszukiwano (i czyni się to nadal) cudownych eliksirów, mogących zapewnić wymarzoną nieśmiertelność. Odwołał się do tych praktyk cytowany powyżej poeta, w wierszu *W Barwistanie*, z lekkim przymrużeniem oka przypominając:

„Ekstrakty z wiotkich ziół,
Balzamy serafickie,
Tynktury czarnoksiężskie,
Esencje alchemickie”.

W młodości człowiekowi chyba łatwiej upajać się radością życia: „Szczęśliwa młodość!... nawet smutki zaprawne ma rozkoszą”, wzdychał ongi Adam Asnyk.

W młodości chce się zachłysnąć życiem, poznawać wszelkie jego smaki, odrzucając troskę o przyszłość.

„Na wóz siadamy rankiem, każąc,
Choćby na zbity łeb, lecz gnać,
i niewygody lekceważąc
Wołamy: jazda, k... m...!” –

zapewniał Aleksander Puszkina w wierszu *Wóz życia*, który w przekładzie Juliana Tuwima nabrał dynamicznej, ostrej formy.

Tak barwne, ale i tragiczne było niewątpliwie życie Jana Potockiego, autora *Rękopisu znalezionego w Saragossie*. Chęć doświadczenia mocnych wrażeń sprawiła, że spróbował lotu balonem z Blanchardem, na Malcie walczył z piratami, fascynował się światem ponadmysłowym, poznawał magiczne zaklęcia, wierząc, że danym mu będzie widzieć rzeczy przyszłe, leczył się sam, dokonując różnych eksperymentów. Nieustanne podróże były dla niego nie tylko wyrazem ciekawości świata, ale i sposobem ucieczki od obsesyjnych myśli o śmierci. Wszystko zawiodło, samobójczym strzałem przerwał swoje życie.

Julian Tuwim, pisząc *Życie moje* pewnie także marzył o bogactwie i różnorodności doświadczeń:

„Bierz, gub, trwoń, trać,
W lot! w śmiech! w gniew! w szal!
Żyć! śnić! drzeć! łkać!
Mknij, leć, pędź, w cwał!”.

W rzeczywistości melancholik, nadwrażliwiec dręczony przez rozmaite fobie, unikał raczej gwałtownych zmian. Rychło dostrzegł, że każdy dzień jest najczęściej prozaiczny:

„Nadenerwuje, nabiega się człowiek przez cały dzień,
Tutaj strzępek radości, tam ostry odłamek zgryzoty”.

Ucieczką od prozy życia były książki (zgromadził ogromny, wielotematyczny księgozbiór) i twórcze zmagania:

„Muskają mnie słowa skrzydłami,
Żądłami tną do krwi.
Skłutemu, strutemu słowami
Tak słodko mi!”.

Hipochondryk, często myślał o śmierci, odszedł przedwcześnie, nagle, tak jak przewidywał w wierszu Śmierć:

„Jak brzytwą masło, tak przetnie mózg,
Jak kamień w wodę – cicho: plusk...”.

Życie mija, a człowiek ma najczęściej odczucie niedosytu, rozczarowania, niespełnienia, o czym pisała choćby Kazimiera Iłakowiczówna:

„zawsze będzie – nie to i – za mało,
gorzko, nie w porę, na próżno”.

Myśli podobne gnębiły Fausta, bohatera dramatu Johanna Wolfganga Goethego:

„Z trwogą się rankiem zrywam z łoża mego
I lży mię dławią na myśl, że znów dzień,
Dzień nowy świta, który w swoim biegu
Ani jednego nie spełni z mych snień”.

Doktor Faust, podobnie jak autor dramatu, podlegał bardzo zmiennym nastrojom, od euforii do skrajnego zniechęcenia. Znakomicie wykształcony, stawiał sobie wysokie cele, z pasją studiował przez lata rozmaite księgi, oddawał się alchemicznym eksperymentom, by wreszcie stwierdzić, że są granice, których niedoskonały jednak umysł ludzki przekroczyć nie jest w stanie. Pojawiła się melancholia, myśli samobójcze, przekonanie, że sprawy doczesne niszczą wszelkie wzniołe dążenia:

„Uczucia, źródła życiodajnych soków
Schną i kostnieją w ziemskich spraw natłoku (...)
Szczęście za szczęściem w wirze czasu pryska”.

Pakt z diabłem był dla Fausta próbą przywrócenia utraconych nadziei.

Ludzi łączy pragnienie szczęścia, dzieli pojmowanie go. Bogactwa, zaszczyty, władza, pożądane przez wielu nie są gwarancją pomyślnego losu. Wystarczy przypomnieć choćby

dzieje Domicjana, ostatniego cesarza z dynastii Flawiuszy, zaszytowanego przez dworzan we własnym łożu. Cudze powodzenie w dodatku często rodzi zawiść skromniej przez los obdarzonych, na dowód przytoczyć można fraszkę Jana Kochanowskiego *O zazdrości*:

„Przekłęta zazdrość dziwnie się frasuje,
Kiedy u kogo co nad ludzi czuje.
Więc jeśli nie zje, tedy przedsię szczeka,
A ustawicznie na twoje złe czeka”.

Ludzie o bogatym wnętrzu wybiorą raczej dobra duchowe, ucieczkę od spraw przyziemnych, w przekonaniu, że tylko w sobie można odnaleźć prawdziwe szczęście. Pisał o tym Juliusz Słowacki w poemacie *Godzina myśli*:

„Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta”.

Takie odejście od zgiełku świata marzyło się też Maciejowi Kazimierzowi Sarbiewskiemu, znakomitemu poecie, zwanemu ongi „chrześcijańskim Horacym”, kaznodziei Władysława IV. „Nigdy nie jestem tak szczęśliwy jak w samotności” – pisał do zaprzyjaźnionego biskupa. Chciał opuścić dwór, osiąść na wsi, której spokój uwielbiał i oddać się literaturze, pracował nad epopeją narodową *Lechiada*. Nie zdążył, zmarł nagle, przedwcześnie, w trakcie kazania.

Stanisław Trembecki, uzdolniony poeta, ale utracjusz, karciarz, którego długi spłacał król, wołał oddawać się raczej przyjemnościom mniej wyszukany, co zanotował odwiedzający go często Julian Ursyn Niemcewicz: „(...) brudny, niewyczesany, w szlafroku, albo z Żydem ćwiczył się w nauce szachów lub z bezwstydnymi wszetecznikami brudne płodził rozkosze”.

Innym, jeśli od losu nie wymagają zbyt wiele, do szczęścia wystarcza rodzina, dom, który wcale nie musi mieć tylu pokoi, jakie marzyły się ongi owej żonie modnej z satyry Ignacego Krasickiego:

„Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych”.

Wystarczy, jak mówił jeden z mieszczań ukazanych w dramacie *Faust*, że

„Wieczorem wesół wracasz do domeczku
I błogosławisz czas i pokój święty”.

Szczęśliwym czyni człowieka dom stworzony stosownie do upodobań, dom, w którym jeśli taki ma się kaprys, można sobie ściany „srokać z chińska lub w arabeski”, jak zapisano w jakimś pamiętniku.

Sympatycznie, nieco żartobliwie taki dom opisał Jan Lemański:

„(...) Domek niby małży koncha,
W domku – konsze małża – żonka

Przylepiona do mała – żonka.
Oto szczęścia abecadło”.

W ciszy własnego domu można choćby, przyrządziwszy sobie filiżankę kawy, ta bowiem „rozkwieca serca, budzi koncepta, zapala wyobraźnię”, tworzyć, słuchać ulubionej muzyki czy ulec, podobnie jak Charles Baudelaire, zmysłowemu pięknu i tajemniczości kota:

„Legnij mi tu na sercu, kocie mój uroczy;
Schowaj pazurki! Wiedzieć chcę, azali
Wyczytam co w twych ślepiach: zajrzę w cudne oczy,
Uczynione z agatu i ze stali”.

Mawia się często, że człowiek jest kowalem własnego szczęścia, nie zawsze jest to takie proste, wystarczy urodzić się w złym czasie, złym miejscu, by wszelkie usiłowania legły w gruzach.

Cyprian Kamil Norwid, jako młody, wszechstronnie uzdolniony poeta, wyjechał za granicę dla „zbogacenia intelektu i gromadzenia wrażeń”. Uznania dla własnej, niełatwej twórczości na obczyźnie nie znalazł, a duma nie pozwalała mu szukać taniego poklasku. Maria Kalergis odrzuciła jego uczucie, próby „zbogacenia się” zawiodły, zmarł jako schorowany nędzarz w przytułku dla emigrantów. W wierszu *Do Teofila Lenartowicza* tak podsumował swój los:

„Bo ja z przeklętych jestem tego świata,
Ja bywam dumny i hardy (...)
Szkoda, mój bracie, na wiatr ducha wywiać
I krew wypływać tęsknotą,
Żeby siedzących w cyrku uszczęśliwić”.

Równie gorzki nastrój towarzyszył w życiu Juliuszowi Słowackiemu, i on na próżno gonił za „bańką mydlaną zwaną miłością”, jak pisał w liście do przyjaciela. Niewesołe refleksje wygnańca zamykają poemat *W Szwajcarii*:

„(...) I tu – i tam – za morzem – i wszędzie (...)
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle – i wiem, że źle będzie”.

A czasem bywa, że coś przychodzi zbyt późno, znużenie troską o codzienne, czasem trudne sprawy, zniechęca do walki o szczęście. Kazimiera Iłakowiczówna w wierszu *Dziecko fortuny* tak tę myśl wyraziła:

„Wszystko to, za czym człowiek goni,
jeszcze teraz, jeszcze żywe:
tylko wyciągnąć dłonie,
a każde szczęście możliwe (...)
I szczęście za szczęściem się zbliża,
ale ja nie mam siły”.

Niektórym ludziom bliższa jest może jednak postawa Leopolda Staffa, któremu, by czuć się szczęśliwy, upojony urokiem życia, wystarczał, ot, nawet zwykły spacer:

„Jest mi tak dobrze na duszy (...)
Najpiękniej bowiem jest, kiedy (...)
jest się po prostu
Tak, jak jest wszystko dokoła”.

A może warto też powiesić nad progiem domu podkowę, pono przynosi szczęście nawet tym, którzy w to nie wierzą???

II

„Ukochać trzeba, coś ukochać,
Trzeba dać sercu bić”
(Adam Asnyk)

Miłość zatem, zdaniem wielu, jest najlepszą drogą do szczęścia, pozwala przeżyć chwile najwyższego upojenia, zapomnieć o lękach i smutkach. Ileż rozkoszy dać może choćby zmysłowy pocałunek! „Całowałem – pisał Julian Tuwim – usta Twoje, całowałem je w ciemności, w szarym aksamicie miłosnej nocy (...) Byłem tak nieziemsko szczęśliwy, że uczułem, iż staję się czymś bezcielesnym i płynę jak światło”.

Miłość nie zna barier wieku. Johann Wolfgang Goethe, przystojny mimo nielicznych śladów ospy na obliczu, kobieciarz, mawiał na starość: „Natury genialne przeżywają okresy ponownego pokwitania, podczas gdy inni ludzie tylko raz bywają młodzi”. Wierny owemu mniemaniu, w 72 wiośnie życia, mimo trapiącego go reumatyzmu i choroby nerek, zakochał się w kilkunastoletnim dziewczęciu. Rodzina Ulryki odmówiła zgody na małżeństwo, tedy bolesna zadra tkwiła w sercu poety do końca życia. A panna, co ciekawe, nigdy za mąż nie wyszła.

Adam Asnyk, mężczyzna wysoki, przystojny, o nienagannych manierach, zapalony taternik, poznał przyszłą żonę w czasie pobytu w górach. Wkrótce, a miał już lat 37, ożenił się i z radością pisał do ojca: „Ludzie mówią, żem odmłodził”. Los podarował poecie tylko szczyptę szczęścia, ledwie po roku ukochana Zofia zmarła w połogu (i jak tu nie zgodzić się z Heinem?).

Potrzeba miłości sprawia, że korzysta się z różnych sposobów, by szczęście szybciej nadeszło. Ongi przypisywano magiczne właściwości niektórym (nasięźrzał, lubczyk) roślinom. Krytykował te przekonania Szymon Syreniusz, który w swoim zielniku pisał: „głupstwo i szaleństwo zieleń temu albo owemu to przypisować (...) i sobie obiecować, co rychlej i pewniej samo przyrodzenie, uroda, gładkość i obyczaje cudne sprawować mają”.

Oczywiście wygląd, pierwsze wrażenie zawsze jest ważne, wystarczy przypomnieć, jak uważnie Telimena taksowała wzrokiem Tadeusza:

„Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką
I w twarz spojrziała”.

Zafascynowanie fizycznym urokiem kochanka towarzyszyło też bohaterce sielanki *Obudzenie* Wincentego Reklewskiego:

„Śpi przy mnie kochanek oto (...)
 Śpijże mi moja pieszczoto! (...)
 Rumienia mu się jagody,
 zdrowie w czerstwym ciele płynie;
 oczy twe, Jaremie młody,
 śpiące rzucają promienie”.

Autorowi sielanki marzyło się takie idylliczne życie, blisko natury, ale należał do pokolenia, którego młodość przypadła na niespokojne czasy wojen napoleońskich. Los obdarzył Wincentego szczodrą, dał talent, urodę, szlachetność, odwagę (wyróżnił się wyjątkowym męstwem w bitwach pod Raszynem i Smoleńskiem), ale poskąpił lat. W czasie wyprawy wojsk napoleońskich na Moskwę poeta zachorował prawdopodobnie na tyfus. Zmarł w moskiewskim lazarecie, mając zaledwie 26 lat.

Korzystano, by jak najszybciej poznać oblubieńca, nie tylko z siły roślin miłośniczych, ale i pomocy „czarownic”, co w sekrecie wyznaje przyjaciółce mieszczańeczka z dramatu *Faust*:

„Mnie ukazała mojego w kryształce,
 Wśród kilku śmiałków; żołnierską miał postać.
 Pilnie wciąż za nim rozglądam się, ale (...)
 Dotychczas jakoś nie mogę go spotkać”.

Praktyki takie odrzucał Wacław Potocki, miast tego radził:

„Niechaj nikt guseł, niechaj nikt czarów nie szuka,
 Fraszka i egzorcyzmy. Jest na miłość sztuka,
 Jest fortel. Choć odmienna, choć tak bardzo płocha,
 Kto pragnie być kochanym, niechaj sam wprzód kocha”.

Panom, by w sztuce uwodzenia stali się biegli, Owidiusz w *Ars amandi* udzielił rady, z której i dziś chyba chętnie korzystają:

„Możesz wkraść się do jej serca,
 prawiąc zręczne komplementy.
 Najskromniejsza jest wrażliwą
 na czar pochlebstw niepojęty”.

Poczucie szczęścia wiąże się także z miłością zmysłową, równie ważne jak westchnienia czy zalotne spojrzenia są rozkosze fizyczne. Śmiało, frywolnie mówił o tym choćby Daniel Naborowski:

„Nadobna stopa, piękne i kolano,
 Ale kiedy by wyżej ukazano,
 Jest tam jeszcze coś pośrodku trzeciego,
 Nad co na świecie nic foremniejszego”.

Tedy by sprawdzić się w łożu, korzystano z rozmaitych porad. Ciała rozkoszom służyć miały np. szparagi czy marcepan (stąd cukrowa kolacja podawana nowożeńcom do sypialni). Haur natomiast w swoim poradniku dowodził, że „małżeński uczynek pobudza” pokrzywa uwarzona w winie z miodem i pieprzem. Sięgano też, często ze szkodą dla zdrowia, a nawet życia, po niebezpieczne afrodyzjaki.

Miłość to nie zawsze wielka namiętność, czasem w poszukiwaniu szczęścia trzeba kierować się rozsądkiem. Korzystała z owej mądrości Telimena, jeszcze powabna, jeszcze przy pomocy pudru czy różu mankamenty urody umiejąca zatrzeć, bo chciała „użyć świata, póki służyć lata!”. Rozmyślając tedy, na kogo zarzucić swą sieć:

„Odkryła nieco pierś, wygięła się bokiem
I sama siebie pilnym obejrzała okiem.
I znowu zapytała o radę zwierciadła”.

Nie wszystko poszło po jej myśli, ale Rejenta Bolestę złowić się udało.

Rosądkiem kierował się też Asesor, wybierając miast kokietki Telimeny, Teklę Hreczeszanekę:

„Panna nie nadto młoda, już pono półwieczna,
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
I posażna, bo oprócz swej wioski
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski”.

Między kobietą i mężczyzną zawsze toczy się swoista gra, nie wszystko w miłości układa się pomyślnie, często wkrada się zazdrość, niepewność, złość, a wtedy niejedna chętnie krzyknęłaby jak Telimena:

„(...) ha, języku smoczy! Serce jaszczurcze”,

przylapawszy ukochanego na kłamstwach i niewierności.

Nie jeden mężczyzna pewnie także doświadczył podobnie silnego wzburzenia, jakie odnaleźć można w wierszu Kazimierza Przerwy-Tatmajera:

„Przeklina się ją! Gardzi się nią z duszy! (...)
a równocześnie żal za nią gniew głuszy (...)
i tej kobiecie (...)
proch byś zamiatał spopzed nóg ustami!”.

Bywa różnie, ale, jak pisał Adam Asnyk:

„Lepiej z kochaniem dni przeszłochać,
Niż z pustką w sercu żyć”.



Joanna Grygiel

OPowieści KATALOŃSKIE (fragment)



Schronisko nad jeziorem Juclar

12 września 2019 r., Tarter

Moja opowieść zatrzymała się na przyjeździe do Andory. To kraj ciasno upchany w jednej głębokiej dolinie, stanowiącej korytarz między Hiszpanią a Francją. Językiem urzędowym jest kataloński, ale wielu ludzi mówi także po francusku. Dopuszczalny jest też hiszpański. Andora dzieli się na 7 parafii. My – ja, mój mąż i nasza córka – mieszkaliśmy w największej z nich – Canillo. Nasza miejscowość, czyli El Tarter, ciągnie się wzdłuż głównej drogi i składa się głównie z apartamentów dla turystów. Centrum El Tarter stanowią przede wszystkim sklepy bezcłowe, gdzie obok ogromnego wyboru papierosów i alkoholi można nabyć pamiątki, w tym gigantyczne słonie, posągi Buddy i dinozaury. Ciekawe, czy jest na nie zbyt?

Jest czwartkowy poranek i zaczynamy prawdziwie górską część naszej wycieczki, która dla mnie miała stanowić namiastkę opuszczonego w tym roku wyjazdu w Alpy. Kasia dostała w biurze turystycznym mapki i opisy szlaków w naszej parafii i zdecydowała, że zaczniemy lajtowo – od wycieczki do największego jeziora w Andorze, położonego bardzo blisko naszego siedliska.

To miała być krótka wycieczka (w przewodniku ustalono jej trudność jako średnią): około 14 km długości i 500 m przewyższenia. Jarek z Kasią stwierdzili, że na takie coś nawet nie warto brać jedzenia, zabrał się więc z nami jedynie jeden plecak i woda.

Według przewodnika szlak zaczyna się przy parkingu położonym 3 km od wlotu doliny Incles. Podjechalśmy do doliny, ale uznaliśmy, że wjazd do niej jest dozwolony tylko dla mieszkańców, więc samochód zostawiliśmy na publicznym parkingu przy głównej drodze. Przemaszerowaliśmy dziarsko 3 km wąską asfaltówką, podziwiając wspaniałe widoki i cie-

sząc się, że pogoda nam sprzyja. Rano, co prawda, termometr wskazywał tylko kilka stopni powyżej zera, ale niebo było bezchmurne, a słońce przypiekało coraz mocniej. Na tej wysokości – około 1800 m n.p.m. – upał już nie doskwiera, ale promienie słońca cały czas wykonują swoją krecią robotę. Przekonaliśmy się o tym już niejednokrotnie, ale przynajmniej w tym jednym prawdziwi z nas Polacy – nie uczymy się na własnych błędach.

Dotarliśmy do parkingu, na którym stało sporo samochodów – a zatem zakaz wjazdu był chyba tylko w naszej wyobraźni – i przeszliśmy przez mostek na rzece Incles, przy okazji starając się uratować żabę, która nie chciała Niemca. Nie, nie wiem, dlaczego mi się tak powiedziało, chyba skojarzenie z księżniczką, ale nie, to był książę... Jeszcze raz: staraliśmy się uratować żabę, która nie chciała ustąpić drogi samochodowi.

Żaba chwilowo przeżyła, a asfaltówka zamieniła się w pnącą się pod górę ścieżkę. I tak jak zawsze bywa w przypadku jezior polodowcowych, początkowo łagodne podejście doprowadziło do stromego progu skalnego, gdzie kiedyś lodowiec pokazywał swój jęzor. Tak, kiedyś to były porządne, uczciwe lodowce. Nam udało się jeszcze zobaczyć ich resztki. Za chwilę pozostaną tylko zdjęcia...

W każdym razie, gdy już człowiek wespnie się na odpowiednią wysokość, w tym wypadku było to około 2300 m n.p.m., góra wypłaszcza się i pojawia się błękitne oko polodowcowego jeziorka. Tyle razy już to widziałam, a jednak za każdym razem zachwycam się na nowo. Zwłaszcza gdy – tak jak w czwartek – w jeziorku odbijają się zaśnieżone szczyty, a z lazurem wody stara się konkurować błękit nieba.

Nie tylko szczyty były zaśnieżone. Gdy tak wlokłam się, jak zwykle na końcu wycieczki, zatopiona w swoich myślach, dopiero po chwili dostrzegłam wokół siebie jakieś białe placki.

Ale przecież już w środę wieczorem, wjeżdżając do Andory, zauważyliśmy, że góry są lekko polukrowane. W nocy temperatura w Tarterze spadła do 3 stopni, więc wyżej musiało być



Jezioro Juclar

dużo zimniej i śnieg mógł sobie leżeć nie niepokojony. Teraz, gdy wyszło słońce, zaczął się powoli topić i po skałach spływała woda.

Dojście do schroniska przy jeziorze Juclar zajęło nam niewiele ponad 2 godziny, tyle że na liczniku zamiast 4,5 km mieliśmy prawie 8. Czułam się już zmęczona, o tym, że byłam głodna, chyba nawet nie muszę wspominać, więc pomyśl Kasi, by wydłużyć wycieczkę i podejść kilkaset metrów (w pionie!) do następnego jeziorka, nie przypadł mi do gustu.

Ostatecznie stanęło na tym, że wracamy, tylko inną drogą – trawersującą północne zbocza. Początek obu szlaków był identyczny. Pokonaliśmy górną część progu polodowcowego, ale potem zamiast schodzić, zaczęliśmy się wspinać na zbocze.

Początek był męczący, ale jeszcze nie było źle. Niestety, wyżej zalegał świeży śnieg i w ogóle trudno było namierzyć wąską, mało uczęszczaną ścieżynkę. Na szczęście Andorczycy dość starannie oznaczają swoje szlaki, więc po prostu kierowaliśmy się od jednego namalowanego na skale znaku do kolejnego.

W górę było ciężko, ale prawdziwe schody zaczęły się dopiero, gdy szlak prowadził w dół. Nie, nie, to nie były prawdziwe schody, nikt ich tam nie wykuł! Jednak prawdziwe w sensie metaforycznym, bo zbocze było dość strome, a zjechanie wraz ze śniegiem, który dość luźno trzymał się podłoża, nie wydawało się atrakcyjną opcją. Przynajmniej mnie się takie nie wydawało.

Przemieszczaliśmy się więc od jednej kępki trawy do drugiej, czasami zapadając po kostki. Stareńkie buty przemokły mi już dawno. Jarek z Kasią próbowali unikać płynącego szlakiem strumyka, ale mnie było wszystko jedno i w sumie wolałam strumyk od zdradliwych płatów śniegu.

Po chwili szlak znów zaczął wspinać się na kolejny pagór, przekraczając wysokość 2400 m n.p.m., a każdy męczący metr w górę oznaczał prędzej czy później jeszcze bardziej



Warto czasem zatrzymać się i pozachwycać

męczący metr w dół. W końcu dotarliśmy do najwyższego punktu na szlaku i zaczęło się uciążliwe dla kolan schodzenie.

Po jakimś (w moim odczuciu bardzo długim) czasie pozbyliśmy się śniegu i stopniowo strumyk płynący po ścieżce stawał się coraz mniejszy. Zeszliśmy do granicy lasu, a potem do rzeczki Manegor, będącej dopływem Incles. Kasia proponowała kolejny „skrót”, ale teraz byłam już asertywna i zdecydowałam, że idziemy może dłuższą, ale łagodną ścieżką wzdłuż strumienia, który doprowadzi nas do mostku z żabą.

Oczywiście żaby już na nim nie było, ale była asfaltówka, która doprowadziła nas do samochodu. Ostatecznie cała wycieczka trwała 7,5 godziny zamiast 4.

Do Tarteru wróciliśmy wieczorem (przejazd samochodem zajmował zaniedbywalne 5 minut w jedną stronę).

Byłam cała ubłocona, bo czasami schodziłam na siedząco lub brodząc w wodzie po kostki, a moje buty można było wykręcać. Głodna przestałam być już parę godzin temu, jednak nadszedł najwyższy czas, by znaleźć jakąś żywność. Zachęcająco wyglądająca knajpka przy wylocie doliny Incles była zamknięta, bo nie było jeszcze siódmej.

Na szczęście restauracja naprzeciwko naszego mieszkania była czynna. To, że wyglądam jakbym taplała się ze świnkami w błocie, a Jarek jakby zamienił się w Indianina, było kompletnie nieważne. Zimne piwo alhambra smakowało jak nektar bogów.

Te chwile po zejściu z gór, kiedy człowiek czuje się wykończony, ale szczęśliwy: że dał radę, że napakował w siebie tyle widoków, że teraz będzie zapas na całą zimę, są najlepsze. Nigdy lepiej nie smakują zwykłe potrawy, nigdy bardziej się nie czuje, jak fajnie bywa żyć.

Zamówiliśmy po wielkim talerzu makaronu – nie ma jak węglowodany po wysiłku – i spałaszowaliśmy wszystko do czysta.

13 września 2019 r., Tarter

W piątek wstaliśmy o szóstej w celu podjęcia próby zdobycia najwyższego szczytu Andory – Coma Pedrosy, który dla ułatwienia będę nazywać Ponderosą (to mój sposób na zapamiętanie tej nazwy). Jak też wiadomo, tego dnia próba nie doszła do skutku z powodów magicznych (czyli piątku, trzynastego), a także ogólnego zmęczenia po czwartkowej wycieczce, które zapewne odczuwali wszyscy, a ja wyrażałam głośno i dobitnie.

Ostatecznie po zjedzeniu śniadania poszliśmy z powrotem spać i wstaliśmy dopiero po dziewiętej, by zjeść kolejne śniadanie i ustalić plan awaryjny. Nasz wspaniały nadprzewodnik, czyli Kasia, miał kilka interesujących propozycji.

Zaczęliśmy od szukania pobliskiego *kesza*¹, niestety, bez powodzenia, bo mostek prowadzący na drugą stronę rzeczki okazał się zamknięty na kłódkę. Trudno. Podjechalismy do Ransol i zatrzymaliśmy się przy zabytkowym kościółku. Tym razem *kesz* był na miejscu. Mogliśmy jeszcze przy okazji zwiedzić muzeum motoryzacji, ale uznaliśmy, że są ciekawsze rzeczy.

Następnym punktem programu był wodospad w pobliżu Canillo. Nasz pojazd znów został sam na parkingu, a my zaliczyliśmy dwukilometrowy spacer do platformy widokowej i z powrotem oraz jednego *kesza* na tejże platformie.

1 Nazwa używana w grze terenowej użytkowników odbiorników GPS, polegającej na poszukiwaniu tzw. skrytek (ang. geocache) uprzednio ukrytych przez innych uczestników zabawy. Ukrywane przeważnie w interesujących miejscach skrytki zawierają dziennik odwiedzin, do którego wpisują się kolejni znalazcy, a także drobne upominki na wymianę. Lokalizacja miejsca ukrycia skrytki przekazywana jest przez jej założyciela innym uczestnikom gry poprzez wprowadzenie współrzędnych geograficznych w jednej ze specjalnych internetowych baz danych, tzw. serwisów geocachingowych.



Dolina Incles

Teraz czekała na nas najbardziej chyba znana atrakcja Andory, czyli panoramiczna platforma widokowa Roc del Quer. Aby do niej dotrzeć, wjechaliśmy na serpentyniastą, górską drogę. Na szczęście do platformy było tylko 6 km, więc nie zdążyłam zasnąć na zakrętach.

Sam spacer do platformy jest urokliwy, a widoki na obie strony wąskiego górskiego grzbietu zapierają dech w piersiach. Na końcu znajduje się wysunięta platforma, na której – zawieszona nad przepaścią – siedzi naga męska postać.

Pogoda trochę zaczynała się psuć i ciemne chmury zbierały się niepokojąco nad górami, ale warunki do zachwycania się widokami i robienia zdjęć i tak były doskonałe.

Po zabawach z *keszami* i podziwianiu krajobrazów przyszła pora na bardziej konkretną aktywność fizyczną. Aby ją zrealizować, pojechaliśmy dalej serpentyniastą drogą, aż dotarliśmy do przełęczy Coll d'Ordino, położonej na wysokości 2000 m n.p.m. Tam weszliśmy na międzyparafialny szlak C1. Okrąża on szczyt Tomb de les Neres i ciągnie się trawersem w sosnowych lasach przez 8 km. Jest to tzw. szlak balkonowy, to znaczy zapewniający (co jakiś czas) widok na doliny i wznoszące się po ich drugiej stronie pasma górskie.

Można popatrzeć z lotu ptaka na andorskie miasteczka: La Massana, Encamp i Ordino. To łatwy szlak, nie ma na nim żadnych trudności (ani śniegu w tym momencie), jedynie końcowe podejście z powrotem na przełęcz wymaga odrobinę wysiłku. Po prostu spokojna przechadzka, która zajęła nam 2 godziny.

Powoli robiło się późne popołudnie i pora byłaby coś zjeść, choć oczywiście znów przepiliśmy czas, w którym jest to łatwo osiągalne. Zjechaliśmy do Ordino, ale lokalna restauracja o tej porze mogła nam zaoferować tylko napoje, więc podjechaliśmy do trochę większej La Massany.

Zatrzymaliśmy się na dużym parkingu w okolicy centrum i zauważyliśmy, że mieszkańcy szykują się do jakiejś uroczystości. Policjanci, a może była to straż miejska, zamknęli ulice



To już tylko stroma błotnista ścieżka

w pobliżu kościoła, gdzie gromadzili się ludzie, w tym dzieci ubrane w mundurki i trzymające małe flagi.

Tu ciekawostka: w Andorze jest 12 żołnierzy, nie wiadomo, ilu jest policjantów, pewno więcej. Nawiasem mówiąc, Andora jest jedynym krajem, gdzie każde gospodarstwo domowe ma obowiązek posiadania broni. Zatem obywatele Andory obronią się w razie czego sami. Albo raczej na pewno nie obronią...

Podeszliśmy zobaczyć, co się dzieje, ale póki co nie było wiadomo, o co chodzi, a nam nie chciało się czekać na ewentualne wyjaśnienie się sytuacji, zwłaszcza że byliśmy głodni.

Jedyną szansą na ciepłe pożywienie o tej porze była pizzeria lub kebab i szczęśliwie trafiliśmy na tego typu lokal na głównej ulicy. Kasia trochę się krzywiła, ale ostatecznie pogodziła się z pizzą z kurczakiem, ja wybrałam wegetariańskiego falafela, a Jarek kurczaka w panierce.

Gdy po kawie wyszliśmy z lokalu, główną ulicą przejeżdżała jakaś kawalkada oficjeli w asyście licznej ochrony. Jakiś przystojniaczek w garniturku łaskawie nam pomachał przez otwarte okno limuzyny. Zdziwieni popatrzyliśmy po sobie, moim zdaniem słabo wyglądaliśmy na potencjalnych wyborców. Jednak kto go tam wie? Może po prostu najedzeni wyglądaliśmy sympatycznie i dlatego pomachał? I tak nie wiemy, kto to.

Zdecydowaliśmy się jeszcze na mały spacer po okolicy połączony z *keszowaniem*. Ścieżka nad rzeczką prowadząca do wioski l'Aldosa okazała się bardzo ładna, a polowanie na skrytki – udane.

Z La Massany wróciliśmy do mieszkania odpocząć przed planowaną ekspedycją na Ponderosę, choć niespożyta Kasia pognała jeszcze szukać *kesza* w Tarterze, znajdując przy okazji malowniczy most wiszący.

14 września 2019 r., Coma Pedrosa

W sobotę znów wstaliśmy o szóstej rano. Zjedliśmy, co tam jeszcze było, spakowaliśmy dwa plecaki z żywnością, wodą i kurtkami – ja miałam iść na lekko, tylko z aparatem i kijkiem, by zwiększyć swoje szanse na wejście. Przed siódmą wyszliśmy na ciemną i pustą drogę. Do Arinsal, gdzie zaczyna się szlak, mieliśmy około pół godziny samochodem.

Jarek i Kasia obczytali się w opisach trasy, zamieszczonych w Internecie przez zdobywców Ponderosy, więc byli dobrze przygotowani. Wiedzieli na przykład, gdzie można zostawić samochód i że potem trzeba przejść pod tunelem. Tak też zrobiliśmy. Nie do końca było to optymalne rozwiązanie, bo za tunelem też był parking, ale zatrzymując się na nim, zyskalibyśmy góra kilometr.

Problem z wejściem na najwyższą górę Andory nie ma jednak związku z odległością, bo szlak nie jest długi – nam wyszło w sumie około 16 km, tylko z wysokością. Coma Pedrosa ma 2943 m n.p.m., co oznacza prawie 1500 m podejścia (i, co gorsze, tyle samo zejścia). Dla mnie to naprawdę sporo, w granicach życiowego rekordu, więc byłam przygotowana na to, że nie dam rady.

Gdy wchodziliśmy na szlak, powoli zaczynało się rozwidniać. Sprawdziliśmy wcześniej kilka prognoz pogody: wszystkie zapowiadały dzień bezdeszczowy, umiarkowanie słoneczny, zatem idealny na wędrowkę. Rano było chłodno, więc szło się bardzo dobrze.

Początek szlaku prowadzi kamienną drogą przez las. Przy granicy parku narodowego droga przechodzi w ścieżkę, która dość ostrymi serpentynami wspina się na zbocze. Trosz-



Ten pan jest symbolem Andory



Schronisko nad jeziorem Juclar

kę przypomina to wejście na Rysy od słowackiej strony. Potem szlak dwukrotnie wspina się na skalne progi o wysokości 70–80 m, ale nie wiąza się z tym żadne trudności techniczne. W końcu dociera do rozległej doliny, gdzie jest rozwidlenie dróg – jedna z nich prowadzi do położonego 40 m wyżej schroniska.

To mniej więcej połowa drogi na szczyt. Dotarliśmy tam bardzo sprawnie, zajęło nam to niewiele ponad 2 godziny i od razu wiedziałam, że chcę iść dalej – jedna z wersji, które rozważałam przed wyjściem zakładała, że poczekam w schronisku, aż Kasia z Jarkiem wróci z Ponderosy. W schronisku chwilę odpoczęliśmy, wypiliśmy gorącą herbatę i zjedliśmy tradycyjną „górską” bagietkę z pasztetem (specjalnie na tę okazję przywiezionym z Polski).

Druga część podejścia zaczęła się od... zejścia na dno doliny. W dolinie weszliśmy na ścieżkę, która wzdłuż strumienia prowadzi dość płasko aż do zbocza Ponderosy. Stamtąd rozpoczęło się mozolne podchodzenie – najpierw trawiastym stokiem, a potem mocną serpentyną – aż na kolejny próg polodowcowy, gdzie napotkaliśmy małe jeziorko.

Chwilę odpoczęliśmy, potem kamiennym wąwozem, po rudym oсыpisku wielkich głazów, wspięliśmy się na kolejny skalny próg, który skrywał drugie – większe i jeszcze bardziej błękitne jeziorko – Estany Negre. Wzdłuż jego brzegu, wędrując po kamiennym osuwisku, dotarliśmy do piarzystego zbocza prowadzącego do przełęczy Portella de Baiau, za którą rozciąga się już Hiszpania. Po prawej mieliśmy naszą Ponderosę z dobrze już widoczną flagą Andory na wierzchołku, po lewej ciut niższy Sanfonts.

Do szczytu został nam koci skok – raptem 250 metrów w pionie. Tyle że rzeczywiście prawie w pionie. Wierzchołek Coma Pedrosy wznosi się stromo piarzystym kopcem i trzeba się po prostu na niego wspiąć po osuwających się spod nóg kamieniach. I na koniec problemem dla mnie nie okazała się wysokość ani zmęczenie – a przecież miałam już w nogach jakieś 1200 metrów przewyższenia, tylko to rozjeżdżające się pod nogami paskudztwo plus ekspozycja.

Jakoś tam jednak parlałam w górę, szukając możliwie najlepszego oparcia dla butów. Przed nami drapała się grupa kilku dziewcząt, które od jakiegoś czasu doganiałyśmy. Próbowaliśmy podążać za nimi i za żółtymi kropkami oznaczającymi wytyczony szlak – i to okazało się błędem. W pewnym momencie utknęłam i nie umiałam przemieścić się w żadną stronę. Przed sobą zobaczyłam rozpląszczone na zboczu jak żaby dziewczyny i nie umiałam ustalić, czy wchodzi, czy też próbują zejść.

Uznałam, że muszę poszukać innej drogi, może spróbować wspinać się z prawej strony, gdzie widziałam Kasię. Wtedy popełniłam błąd kardynalny i spojrzałam w dół. Jak łatwo się domyślić, zobaczyłam dużo pustki i sparaliżował mnie atak paniki. Nie umiałam zrobić kilku kroków w dół. Ostatecznie przemieściłam się na coś w rodzaju niewielkiego wgłębienia i oświadczyłam, że dalej nie idę.

Zeszła do mnie Kasia, ale widząc moją panikę, odpuściła przekonywanie mnie, że dam radę. Na moją prośbę zostawiła mi moją kurtkę, którą niosła, bo gdy tylko przestałam się ruszać, to natychmiast zrobiło mi się bardzo zimno. W międzyczasie zszedł do nas Jarek. Ustaliliśmy, że ja zostanę z jego plecakiem, podczas gdy oni wejdą na bardzo już bliski wierzchołek, a potem pomogą mi zejść.

Atak szczytowy rzeczywiście trwał bardzo krótko. Ledwo zdążyłam zjeść jabłko (co podniosło mi poziom cukru i pozwoliło się uspokoić) i zrobić kilka zdjęć, a już Jarek był z powrotem.

Zejsście w okolice przełęczy nie było przyjemne, ale jakoś daliśmy radę. Dalej nie było już trudno, tylko bardzo, bardzo długo. Zawsze wolę wchodzić niż schodzić. Końcówka, czyli niekończące się serpentyny po nierównych kamieniach, była trudna do zniesienia, bo kolana nie chciały mi się już zginać, ale w takiej sytuacji nie można zrobić nic innego – po prostu trzeba iść.

Kasia z Jarkiem troszczyli się o mnie jak o małe dziecko: poili co kawałek i dodawali otuchy, gdy widzieli, że bardzo się już męczę. W sumie wędrowaliśmy przez 8 godzin, nie licząc postoju w schronisku.

Do Tarteru dotarliśmy około siedemnastej, a zatem znów nie w porze „jedzeniowej”. Na szczęście nasza restauracja była czynna i można było uzupełnić kalorie makaronem i piwem. A potem czekała już na nas tylko ciepła kąpiel, reszta whisky i relaks.

Martwiłam się, że dzisiaj odczuję skutki tej wyczerpującej wycieczki, ale o dziwo, poza ogólnym zmęczeniem nic mi nie jest.

Wstaliśmy dopiero o wpół do ósmej, bez pośpiechu spakowaliśmy nasz niewielki dobytek, oddaliśmy klucze do mieszkania i wyruszyliśmy na ostatni etap naszej katalońskiej przygody.

W planie była Tarragona, ale ostatecznie wyszło inaczej. I też pięknie!



Coma Pedrosa

Jarosław Kapsa

PEKIN – PAMIĘĆ WYPIERANA



Baraki – Pekin w latach 50., foto ze zbioru ODDC Muzeum Częstochowskiego (dr Juliusz Sętowski), kolekcja Baczyńskiego

Bywają nazwy rzeczy oczywistych, które swoją oczywistość tracą wraz ze zmianą pokoleń mieszkańców i krajobrazu miasta. Był więc w Częstochowie Sachalin, był mostek kacapski, był Pekin; tak jak dziś jeszcze marginalnie krążą inne, gasnące nazwy: Bańbór, Komorniki, Wypalanki. Sachalin, swą nazwą odzwierciedlający czasy rosyjskiego zaboru, to były łąki i piaszczyste łachy nadwarciańskie na południe od Zawodzia, ulubione miejsce rekreacji letniej niezamożnych częstochowiaków. Mostki kacapskie były dwa; pierwszy – wiadukt bezkolizyjnie prowadzący kolej herbsko-kielecką nad linią warszawsko-wiedeńską – wyburzono w sierpniu 1914 r., drugi – wiadukt na linii warszawsko-wiedeńskiej umożliwiający przejście pod torami z ul. Jasnogórskiej na ul. Krótką i ul. Wilsona – zlikwidowano wraz z przebicciem „przez tory” alei Jana Pawła II.

Pekin – to miejsce, którego też w krajobrazie odnaleźć nie można; miejsce starannie wypierane z pamięci zbiorowej. Miejsce złe.

I

Prehistoria miejsca związana była z budową w 1906 r. kolei herbskiej. Dworzec kolei herbskiej powstał tam, gdzie dziś jest przychodnia kolejowa, na tyłach ul. Boya-Żeleńskiego; resztki obiektów stacyjnych jeszcze można odnaleźć, tak jak i ślad po torach: planowana Promenada Śródmiejska. Z budową wiązała się konieczność wzniesienia baraków, miejsc

schronienia dla robotników, magazynów sprzętu itd. Ten plac budowy, na obszarze między obecną ul. Hoene-Wrońskiego a ul. 1 Maja, zmienił się istotnie po wybuchu „wielkiej wojny białych ludzi”:

„Wielkie te baraki zbudowali okupanci dla celów wojennych. Na bagnisty teren, pokryty wówczas wodą, nawieźli kilkadziesiąt wagonów miału węglowego, zniwelowali grunt, wysuszyli i na ogrodzonym drutem terenie powstało dziwne drewniane miasteczko-baraki. Były to magazyny wojskowe, składy mundurów i bielizny, wielka pralnia elektryczna, zakłady kąpielowe i dezynfekcyjne. Tam to, wyładowywane z dworca herbsko-kieleckiego, oddziały wojskowe w ciągu niespełna dwu godzin pozbywały się brudu cielesnego, ubrania ich poddawane były zabiegom dezynfekcyjnym przeciw epidemjom i wszom. W ciągu tych dwu godzin, gdy żołnierz kąpał się, mył, strzygł i golił, bielizna jego wędrowała do mechanicznej pralni, do cerowalni, następnie do elektrycznej prasowni, tak że opuszczając baraki po dwu godzinach, żołnierz był od stóp do głowy wyświeżony i czysty. Po ustąpieniu okupantów baraki na Stradomiu przeszły pod zarząd polskiego Państwowego Urzędu do spraw powrotu jeńców, uchodźców i robotników – tzw. „Pur”. Baraki nadal spełniały swą zasadniczą rolę zakładów dezynfekcyjnych i kąpielowych dla reemigrantów i najbiedniejszej ludności. Stopniowo jednak poczęły się zaludniać, przekształcając się w baraki mieszkalne. Kolejno był tam utworzony obóz dla uchodźców ukraińskich, potem hotel emigracyjny, hotel dla pątników. Wreszcie uległy rozparcelowaniu: część baraków przeznaczono na tymczasowe mieszkania dla bezdomnych, w jednym pomieszczono szkołę powszechną, w pozostałych budynkach ulokowano zakład dla dzieci jagliczych. Napór bezdomnych, potęgujące się stale bezrobocie i rosnąca nędza w masach robotniczych zniewoliła Zarząd Miasta do wyrugowania z tej posiadłości zakładu dla jagliczych, który przeniesiony został do bardziej odpowiedniego murowanego budynku w Herbach. Baraki zostały przeznaczone w całości na mieszkania dla bezdomnej, najbiedniejszej ludności naszego miasta. Stan, w jakim znajdowały się baraki, wymagał nakładu wielkiej gotówki i gruntownego remontu: drewniane budynki, budowane prowizorycznie bez fundamentów na bagnistym terenie przetrwały nad podziw długo. Ich przeznaczeniem było służyć tylko i wyłącznie przez czas wojny. W tym przecież celu były budowane”¹.

Wojna, o czym się nie pamięta, to wielka migracja mas ludzkich. Zanim bohater odda życie za Ojczyznę lub zanim ogień z karabinów maszynowych nie zatłucze odpowiedniej ilości „mięsa armatniego”, trzeba owych bohaterów czy też owe mięso armatnie dowieźć z daleka w stanie nadającym się „do spożycia”. Jesienią 1914 r., by powstrzymać rosyjski „walec” (ofensywę W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza), koniecznym było przewiezienie z frontu zachodniego na front wschodni kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Częstochowa była dogodnym punktem przeładunkowym; kolej herbska łączyła linie byłej Kongresówki z siecią kolei niemieckich. Zatem tu dowożono, przepakowywano w kolejne „eszelony” wiozące na Jurę (Myszków, Zawiercie), na Łódź czy wprost na Kielce. Niemcy to naród Roberta Kocho, generalicja zdawała sobie sprawę, że większym od Rosjan i Francuzów wrogiem jest niewidoczna gołym okiem bakteria, mnożąca się w ludzkim tłoku, w brudzie niemytych ciał,

1 *Drugi reportaż z baraków na Stradomiu*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 285 z 14 grudnia, s. 5.

w smrodzie fekaliów, w gnijących śmieciach. Z wrogiem – bakterią – walczyła bogini dobra – higiena. O dobro należało walczyć z całą bezwzględnością: izolować chorych na tyfus, pozwalając im zdychać w odosobnieniu; zamykać w więzieniach (a w razie konieczności zabijać) kobiety zarażone syfilisem; szczepić przeciw cholerze i ospie każdego rekrutę; a – przede wszystkim – zwalczać brud i smród, od prawieków będący barwami i zapachem każdej wojny.

Zatem z pruską dyscypliną: wyładować masę żołnierską, rozebrać, wykąpać metodą Prishnitsza, oprąć ich brudne łachy, nakarmić, odziać i wyekspediować na śmierć frontową.

Wojna rodziła także ruch migracyjny w drugim kierunku. Część mięsa armatniego zamiast ginać, jak „nakazują” podręczniki szkolne, szła do niewoli, niosąc z sobą, prócz ran i traumy, wstrętne, małe, zaraźliwe mikroby. Trzeba było owe tłumy jeńców także umyć i oprąć w Częstochowie. Wojna jeszcze to wszystko trzymała w ryzach, Niemcy słynęli z porządku i organizacji. Zmagania mocarstw zakończyły się cywilizacyjną katastrofą, masy żołnierskie wracające z frontu mieszały się z tłumami uciekinierów z płonącej rewolucyjną pożogą Rosji. Nadzwyczajne musiały być wysiłki „młodej” władzy Częstochowy; miasto musiało ponad 100 nieruchomości oddać na rzecz organizującego się lub stacjonującego wojska (kilkanaście tysięcy „halerczyków”, kilka tysięcy powstańców i uchodźców ze Śląska), a prócz tego zapewnić pomieszczenia dla jeńców lub internowanych ze wschodu (denikenowców, jeńców bolszewickich, internowanych żołnierzy ukraińskiej armii Petlury). Baraki były solidną pruską robotą, więc przez jakiś czas utworzony w nich ośrodek Polskiego Urzędu Repatriacyjnego uchodził, na tle innych, za wzorcowy. Pisano:

„Hotel Urzędu Emigracyjnego bowiem urządzone jest pod każdym względem wzorowo, posiada centralne ogrzewanie i elektryczne oświetlenie z własnej dynamo-maszyny oraz łaźnie i wanny. W barakach znajduje się 50 pokoi po kilka



Baraki – Pekin w latach 50., foto ze zbioru ODDC Muzeum Częstochowskiego (dr Juliusz Sętowski), kolekcja Baczyńskiego

łóżek, a ponadto dwie duże sale po 80 łóżek każda. (...) pobyt zakładników w Hotelu emigracyjnym potrwa około 6 tygodni”².

Niestety, to co miało być przejściową pomocą, stało się wyrokiem; zamiast na 6 tygodni, „rozbitkowie” z wielkiej rosyjskiej katastrofy lądowali tu na stałe, bez perspektyw, bez nadziei na zmiany. Polska i Częstochowa z trudem dźwigały się materialnie po wojennej zawierusze, na pomoc uchodźcom brakowało środków. Zimą, w początkach 1924 r., „Goniec Częstochowski” alarmował o warunkach pobytu dzieci w barakach: na choince organizowanej przez harcerzy było 279 dzieci, sierot przebywających w stradomskim obozie; zaledwie 100 ma buty, zmarznięte i głodne³. List M. Misiorskiego, współorganizatora spotkania świątecznego, opisywał: w obozie „biją, jeść nie dają”, sieroty ratują się żebraniem w sąsiednich domach. Brak węgla, zimno w pomieszczeniach, urągające warunki sanitarne”⁴.

Wraz z uchodźcami-rozbitkami wkroczyła do barakowych pomieszczeń bieda, lokalna bieda. I nie wyszła przez kolejnych trzydzieści pięć lat.

II

W sąsiedztwie baraków dzieciństwo spędził częstochowski malarz Jerzy Duda-Gracz. Mieszkał na ul. Hoene-Wrońskiego, ojciec miał sklepik na ul. 1 Maja. Twarze mieszkańców baraków, twarze częstochowskiej biedy, odtworzył na płótnach „Golgoty Jasnogórskiej”. Nie poznajemy tego: biedy się nie widzi, biedy nie pamięta. Gdzieś w tle przewija się w lekturach i serialach. Bieda częstochowska tworzyła własny świat, własny język, własną kulturę. Tak jak dziennikarz warszawski Wiech próbował odtworzyć gwarę warszawską, tak na stronach przedwojennego „Słowa Częstochowskiego” odnaleźć można w felietonach język własny Pekinu.

Czytamy zatem o niemiłej przygodzie pana Mojżesza Mrówki, któremu „antysemita-policjant” zarzucił brak higieny przy sprzedawaniu kapusty na rynku. Sprawa oparła się o sąd grodzki:

„Z wielką ufnością podszedł tedy p. Mojżesz do stołu sędziowskiego w sali rozpraw sądu grodzkiego. Swobodnie oparł się o pulpit i z miłym uśmiechem słuchał aktu oskarżenia. Nie stracił zimnej krwi nawet wtedy, gdy główny filar oskarżenia świadek posterunkowy zarzucał mu, że beczka brudna, stała na brudnym wozie, sam on zaś nakładał kapustę na wagę brudnymi rękami, którymi brał pieniądze, poklepywał konia i drapał się w rozłożystą brodę. Sędzia po wysłuchaniu świadków, zagadnął oskarżonego: Panie Mrówka, niech no mi pan powie prawdę, czy rzeczywiście miał pan czyste ręce? – Panie sędzio kochany, co znaczy czyste? Lubiler to ja nie jezdem, buchałter tyż nie, mynyster może ma czyściejsze, ale i na moich ręków nie można narzekać. – Jest pan w błędzie. Jeśli buchałter czy jubiler mają brudne ręce, to jest ich sprawa prywatna. Pan musi mieć czyste, sprzedając artykuły żywnościowe – Rzeczywiście racja, ale czy ja mogię mieć brudnych ręków jak ciągle ich trzymam w kwaszoną kapustę? Żeby najbrudniejsze byli to tyż się umyją! Zresztą mogię zrobić to dla pana sędziego, że w brodę mnie będzie

2 „Goniec Częstochowski” 1925, nr 32 z 8 lutego, s. 3.

3 „Goniec Częstochowski” 1924, nr 7 z 9 stycznia, s. 3.

4 „Goniec Częstochowski” 1924, nr 11 z 13 stycznia, s. 3.

drapać żona, a konia więcej nie pokleпам, niech mu choroba zdechnie, ale pieniądze brać i kapusty nakładać muszę z rękami. Jakby to ja umiałem robić z nogami, za wybryka natury w cyrku zarabiałbym ładną forszę, i nie byłoby te sprawę”⁵.

To była gwara rynku Starego Miasta. A ulicy Wieluńskiej... Posłuchajmy:

„Pięć dorożków samych świadków do kościoła pojechało, a w ostatniej arku-szerka i krzesna z pętakiem. A że to moja pani, nie taksówkami? Ale... skąd-że znowuj, taksówka dobra, kto zbradziażony do domu z restauracji wraca, ale nie do tego. Starożytna moda każe, do krztu dorożką. Pięknie i bogato se pojechali. Tylko ich patrzeć spowrotem. A nie wi paniusia, jak tam z kory-tem? Jest tego do cholery i trochę. Samych śledzi piętnastu wczoraj w wodzie moczyli. – Schab na własne oczy widziałam. Ma być także samo galareta z nogów i komput. – No, to i pod względem ochłaja będzie przywoicie... Bądź pani spokojna, Malinowska potrafi gości przyjąć – bez mordobicia się nie obejdzie, a nie wiadomo, czy i do Panny Marji (nazwa szpitala miejskiego – przyp. red.) kogo nie odwiozą, Świadki już poniekąd schlane, że zazdrość bierze patrzeć. Długo będą ludzie o tych krzcinach mówili”⁶.

Do tej mowy murarskiej dodajmy rozmowę dwóch mieszczek, z których jedna czuła się zdradzana i to z taką „ślepą fladrą”:

„– Chłop, moja pani Kornaszewska, jak ta świnią, zawsze w cudze kartofle polizie. Przy pysku go trza trzymać krótko i baczenie na niego bez przestanku dawać. – Jakże go, kochana pani Knapik, za pysk mam trzymać, kiedy to on mnie w mordę, czem ma pod ręką, leje? – Takiem prawem czarodziejskiem sposobem musisz go pani brać. Ziele mu odpowiedzialne do żarcia wrzucić, najlepiej w grochówkie. – Grochówki nie lubi! – Może być krupnik, czyli też pomidorowa z kluskami. Albo czekaj pani. Mam. My go już teraz przytra-ciem. Jako człowiek tronkowy lubi barszcz czerwony na kościach z uszkami. W jedno uszko włożysz pani tasiemkę od swojej halki, stanika lub poniekąd najlepiej leformów. Podasz mu to pani z tem dobrem słowem. Jak tylko po-łknie – zdechł pies. Na tamtą dziwę ani spojrz, w pani się zakocha na sto dwa. – Dziękuję, kochana pani Knapik, za dobrą radę, żeby tylko pomogło. – Musi!”⁷.

O obyczajowości mówi nam historia pana Andrzeja:

„P. Andrzej zaprzysiągł zemstę sąsiadom i długo się zastanawiał, jak ją urze-czywiścić. – Czy oblać ukropem Skowolską – zastanawiał się – czy Skowol-skiemu uszkodzić rękę lub nogę. Po długich wahaniach zdecydował, że ani jedno, ani drugie nie będzie dobre i że najlepiej będzie sprać synka Skowol-skich, 10 letniego Henryka. Czemu się p. Andrzej kierował przy powzięciu ta-

5 *Obrazki sądowe. Grymaśny policjant*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 101 z 5 maja, s. 4.

6 *Obrazki sądowe. Chrzczyny i ich epilog*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 208 z 13 września, s. 5.

7 *Obrazki sądowe. O serce mężczyzny*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 79 z 8 kwietnia, s. 5.

kiej decyzji wyszło na jaw dopiero przy rozprawie w sądzie grodzkim, gdzie p. Andrzej odpowiadał za pobicie młodego Skowolskiego. – Dlaczego mając żal do rodziców, pobił pan chłopca? – spytał sędzia. – Zaraz wysokiemu sądowi tę okoliczność wytłumaczę. Mnie państwo Skowolscy dosyć już krwi napsuli, tak, że się im mordobicie uczciwie należało. Ale nie wiedziałem, kogo z nich na zdrowiu uszkodzić. Bo do obydwóch, proszę sądu, nie miałem siły. Kwestja była, proszę sądu, trudna. Bo, trza wiedzieć, że państwo Skowolscy tak się kochają, jak pies z kotem. Więc jakbym jego skrzywdził, toby ona miała frajdę, jakbym ją okaleczył, to on by znów miał uciechę. A ja, proszę sądu, żadnemu z nich przyjemności nie chciałem robić. Długo kombinowałem, coby zrobić, żeby obydwójce mieli zmartwienie i wykalkulowałem, że innej rady nie ma, tylko trza im dzieciaka sprać”⁸.

Cytaty z „częstochowskiego Wiecha” są niezbędne, by zrozumieć koloryt Pekinu. Tam, kto taką mowę nie władał, za „flądre” lub „lebiegie” mógł jedynie uchodzić.

III

Skład baraków falował. Powojenni rozbitkowie ustąpili miejsca lokalnej biedzie, lata „wielkiego kryzysu” pomnożyły liczbę „pekińczyków”.

„Ludzie bezdomni – to mieszkańcy baraków na Stradomiu. Mają niby dach nad głową, ale oddzieleni od siebie prowizorycznymi przegródkami słyszą, co się dzieje u sąsiadów i nie mogą czuć się jak u siebie, wiedząc, że i ich sąsiedzi wszystko o nich wiedzą. Baraki – to jedno olbrzymie mrowisko, ale bez ładu, jaki w mrowisku panuje. Nie w pracy, a w oczekiwaniu pracy trwają tu ludziska, gniotą się i duszą w zaduchu, deptają sobie po piętach, klną na czym świat stoi, a setki dzieci patrzą na to wszystko i rosną w brudzie moralnym, w najgorszej szkole życia, bo w złym przykładzie starszych. Grozę położenia pogarsza straszne przeciążenie baraków. W obecnej chwili mieszka tam 406 rodzin, a więc 1624 osób, a z tej liczby aż 12 rodzin (32 osoby) nocuje na korytarzach, bo brakuje dla nich przegródek, zwanych tu szumnie „mieszkaniem”. Sprawę baraków trzeba rozwiązać koniecznie. Jest tyle organizacji, które wołają stale, że troską ich największą, to wydobyć z nędzy proletariatu. Niechże te ich słowa zostaną poparte przez czyn Niechże powstanie w Częstochowie komitet zapewnienia bezdomnym dachu nad głową. Niech za pustymi frazesami przyjdzie czyn”⁹

– wzywano przed wojną.

„Jesteśmy w rejonie baraków miejskich na Stradomiu – gdzie mieszka dzisiaj około 300 rodzin bez jakiegokolwiek nadziei poprawienia swego losu w najbliższej przyszłości. Ludzie ci powolną męką konania złamani, przed śmiercią głodową ratują się jak mogą, byle tylko dzień przeżyć, byle tylko za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni życia. Gromadka bosych, obdartych dzieci,

8 *Obrazki sądowe. Kogo Bić?*, „Słowo Częstochowskie” 1933, nr 149 z 4 lipca, s. 4.

9 *Straszny los mieszkańców baraków*, „Gazeta Częstochowska” 1938, nr 28 z 5 lutego, s. 3.

oblega nas, obrzucając nieufnemi spojrzzeniami. Dzieci wymizerowane, blade, o zapadniętych policzkach i przygasłych oczach. Na korytarzu zamienionym w tej chwili na mieszkanie znalazło schronienie kilkanaście nieszczęśliwych rodzin. Trochę sprzętów, tu i ówdzie łóżko – nie wszystkich stać na nie – jakiś garnek, parę stołów, kilka zniszczonych stołków – to wszystko. (...) W drugim baraku, gdzie panuje nieopisana ciżba, przeciskając się między rozrzuconymi na korytarzu sprzętami, wchodzę do „mieszkania” zajmowanego przez p. Jana Migdalskiego obciążonego liczną, z 7 osób składającą się rodziną. Na kilku metrach kwadratowych, w okropnych warunkach sanitarnych żyje kilkoro dzieci – prawdziwe widma nędzy. Wizyta dobiega końca. Wszędzie z najciemniejszych zakamarków tego siedliska nędzy wyziera ponury, wylękły strach o Jutro”¹⁰.

Baraki nie były jedynym złym miejscem w Częstochowie. Równie złą sławą cieszyły się bieda-domki z wapienia na Ostatnim Groszu, przeludnione Stare Miasto czy fabryczne *slumsy* ulic Ogrodowej, Krakowskiej, Małej. Niebezpiecznie było nawet pod samą Jasną Górą:

„Kto przechodzi wieczorami obok straganów, ustawionych wzdłuż ulicy Kordeckiego na placu jasnogórskim, ten mógł zauważyć, że w straganach tych, które ze zmierzchem pustoszeją, panują jakieś dziwne szmery, przechodzące chwilami w hałas i krzyk. To szumowiny, pijane i zdziczałe – wyprawiają orgje w straganach, opuszczonych na noc przez właścicieli. Nierzadko też niczem niekrępowana para wybucha śmiechem, szafując obficie najwstrętniejszymi wyzwiskami, a gdy przechodzień zbliży się do takiej kryjówki, aby stwierdzić, co się tam dzieje, posypie się nań stek najbrudniejszych epitetów. Stragany te są w porze wieczornej, a często także nocą kryjówkami, gdzie panoszy się wyuzdanie, gdzie znajdują schronienie ludzie bez jutra, którym obojętne są dobre obyczaje. A przecież tuż naprzeciw, w domach przy ulicy Kordeckiego – znajduje się wiele mieszkań, w których nocują setki pątników i ci ludzie zmuszeni są nieraz być świadkami wyuzdanych rozmów mętów społecznych. Na stragany te warto zwrócić uwagę, co się w nich dzieje wieczorną porą, warto zainteresować się temi kryjówkami wszelkiego zła, które należy tępić z całą bezwzględnością”¹¹.

„Przy ul. Trzeciego Maja 48 istnieje szpital dla chorych wenerycznych, gdzie przebywają na leczeniu kobiety z półświatka. Zachowanie się tych kobiet niekiedy pozostawia wiele do życzenia, np. bardzo często wyglądają oknami, siadają nawet na oknach w nieprzyzwoitych pozach i sypią brukowemi dowcipami, zwabiając niejednego przechodnia. Dorośli, ludzie porządni, przekonawszy się, że są to kobiety upadłe, ze wstrętem odchodzą dalej, ale dzieci, od których nie można wymagać krytycyzmu, zatrzymują się przed szpitalem i słuchają wstrętnych »dowcipów« wyuzdanych kobiet ulicy”¹².

10 *Wędrowniki częstochowoznawcze. Tato, daj jeść*, „Słowo Częstochowskie” 1933, nr 99 z 30 kwietnia, s. 3.

11 *Dzikie orgje na straganach*, „Słowo Częstochowskie” 1931, nr 80 z 21 czerwca, s. 3.

12 *Nieprzyzwoite córki Koryntu*, „Słowo Częstochowskie” 1931, nr 102 z 18 lipca, s. 3.

„Od pewnego czasu bezpieczeństwo w obu parkach miejskich pozostawia bardzo wiele do życzenia, bowiem wieczorami w słabo oświetlonych alejach bocznych grasują szumowiny, napadając na przechodniów. W ub. sobotę o godz. 21 w parku Staszica w głównej alei kilku łotrów zaczepiało i biło łaskami osoby, używające przechadzek. Nie wiadomo, czy ma się tu do czynienia z pijakami, czy też z ulicznikami, szukającymi zadowolenia w awanturach. Kilka osób otrzymało nawet dotkliwe razy od nikczemnych uliczników, grasujących w pięknym parku miejskim, a nie było nikogo, kto by mógł zając się łotrami i zapewnić bezpieczeństwo publiczności, żadnej wytechnienia wśród zieleni i zapachu pięknej flory. Podobnie jest niemal codziennie w parku Trzeciego Maja – tam nierzadko jakiś łotr napadnie znieścacka na przechodnia, bijąc go kijem lub pięścią. Zdarza się nawet tak, iż ulicznik żąda od przechodnia papierosa, a gdy się spotka z odpowiedzią odmowną, daje upust swemu zwyrodnieniu. Kobiety napadane bywają często i nikt nie może stanąć w ich obronie, ponieważ w parku brak posterunku policyjnego. Po jednej z zabaw publicznych zgraja pijanych opryszków urządziła zbiegowisko w jednej z bocznych alejek parku Trzeciego Maja, co widząc przechodzący tamtędy posterunkowy, niepełniący wówczas służby, bezzwłocznie interwenjował. Na widok stróża bezpieczeństwa szumowiny uspokoiły się, gdy jednakże posterunkowy odszedł, zgraja w dalszym ciągu awanturowała się i tylko dzięki kilku przechodniom, którzy przystanęli, aby udaremnić awantury, opryszki opuścili park. W tymże parku ćmy uliczne napastowały przechodniów, a ich „opiekunowie”, rekrutujący się z nizin społecznych, pilnowali sposobności, aby móc naiwną ofiarę wciągnąć w zasadzkę. Przypuszczamy, że władze nasze, które skutecznie walczą z przestępczością, zechcą zwrócić uwagę na ruch wieczorny w obu parkach miejskich, skąd powinny być wyrugowane męty społeczne, aby nie zakłócały spokoju i nie zagrażały bezpieczeństwu”¹³.

Powyższe obrazy nie dotyczą zakazanych peryferii; to centrum dużego miasta, to bezpośrednie otoczenie Jasnej Góry. „Pekin” – baraki stradomskie – leżał na uboczu. Jednak samo nagromadzenie biedy w jednym miejscu powodowało, że stał się symbolem społecznej patologii.

IV

Bieda nie hańbi, ale nędza nie uszlachetnia. Pijaństwo, przemoc, codzienne i conocne awantury, kradzieże, bijatyki, gwałty; taka była rzeczywistość Pekinu.

„W wyniku obfitej libacji doszło pomiędzy kilku mieszkańcami baraków, znanymi policji awanturnikami, do sprzeczki, która przemieniła się rychło w zaciętą bójkę. Udział w batalji wzięło około 30 osób. Walczono przy pomocy siekiery, szabli, bagnetów, łomów, haków żelaznych itp. narzędzi, wyrywanych sobie wzajemnie z rąk przez walczących, którzy nie poprzestając na tem, poczęli wyrывать z pobliskiego parkanu deski, by ze zdwojoną siłą natrzeć następnie na przeciwników. Wobec zaciętego jej charakteru, teren,

13 *Męty społeczne w parkach miejskich*, „Słowo Częstochowskie” 1931, nr 69 z 9 czerwca, s. 3.

na którym bitwa rozgrywała się, zamienił się wkrótce w istne pobojuwisko. Mimo że wszyscy uczestnicy bójki byli ranni, nie ustawała ona. Położyła dopiero kres wzajemnej masakrze policja, którą wobec uszkodzenia znajdującego się w barakach telefonu, zawiadomiono dopiero po upływie pół godziny od chwili wybuchu „wojny”. Na widok granatowych mundurów walczący rzucili się do ucieczki, która udała się tylko lżej rannym. Reszta w liczbie 15 osób, ciężko rannych, pozostała na placu boju i tych zatrzymała policja¹⁴.

„Policja częstochowska dowiedziawszy się, że w barakach miejskich potajemnie przebywa poszukiwany przez władze Henryk Małek, wysłała tam w ubiegły wtorek kilku posterunkowych, celem aresztowania Małka. Przybyłym policjantom Małek stawiał czynny opór, a jego matka, Jadwiga Tysler, uderzyła kijem dębowym w głowę jednego z policjantów, zadając mu lekkie uszkodzenie ciała. Po stronie szumowin stanęły: Anna Adamus, Honorata Olczyk, Karolina Hazier, Władysława Rejn i Józef Królikowski, zamieszkali także w barakach i podburzali zgromadzony tłum przeciw policjantom, usiłując też odbić Henryka Małka. Tylko nadludzkim wysiłkom policjantów zawdzięczać należy, że nie doszło do dalszych zająć. Ostatecznie policja opłamała położenie, aresztując wszystkich wyżej wymienionych, którym grożą bardzo ciężkie kary za wywołanie tego zajścia”¹⁵.

Tego typu wydarzenia nie należały w barakach do wyjątkowych. Od czasu likwidacji obozu PUR stałym celem Rady Miasta było zlikwidowanie siedliska nędzy. Na przeszkodzie stawała ogólna bolączka – brak mieszkań. Dochodziły inne; teren, na którym stały baraki, nie należał do miasta; najpierw ciągnęły się korowody z przejęciem nieruchomości przez miasto od władz administracyjnych państwa. Potem odnalazł się formalny właściciel:

„Mało komu wiadomem jest w mieście, że miejskie baraki dla bezdomnych na Stradomiu stoją na gruntach, stanowiących własność zakonu OO. Salezjanów, którzy, o ile się nie mylimy, otrzymali je przed wojną w drodze zapisu. Grunty te przez szereg lat stały bezużytecznie i wreszcie podczas wojny niemieckie władze okupacyjne zbudowały tam baraki dla żołnierzy. Po wojnie zaś baraki zostały rozszerzone i w pierwszych latach niepodległości dawały schronienie uchodźcom, od kilku zaś lat stanowią ostatnią ucieczką dla licznych zastępów biedoty miejskiej. Według przybliżonych obliczeń, w barakach miejskich zamieszkuje około 2 tysięcy osób. I co trzeba zaznaczyć: to zdawałoby się ostatnie dno nędzy wydaje się rajem licznym rzeszom najniezwyklejszych z pośród nieszczęśliwych, bezdomnym, zyskującym w barakach jakiś kącik i kawałek dachu nad głową. Zarząd Miejski baraki te dzierżawi od Skarbu Państwa. Ale OO. Salezjanie nie zapomnieli o tych swych gruntach w Częstochowie i w tych dniach do prezydenta miasta Mackiewicza zgłosił się dyr. OO. Salezjanów ks. Józef Strauch z Lublina i w imieniu prowincji zakonu OO. Salezjanów w Oświęcimiu zażądał usunięcia baraków, powołując się na nieprzedawniony tytuł własności OO. Salezjanów. Zarząd Miejski oświadczenie to przyjął do wiadomości, lecz, rzecz

14 *Krwawa wigilia w barakach Stradom*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 92 z 24 kwietnia, s. 4

15 *Bójka szumowin z policją*, „Słowo Częstochowskie” 1931, nr 106 z 23 lipca, s. 3.

naturalna, pozbawiony jest możliwości natychmiastowego spełnienia być może zresztą niepozbawionego słuszności żądania, gdyż usunięcie baraków i zwrot placu wówczas dopiero staną się możliwe, gdy baraki zostaną zastąpione innym odpowiednim pomieszczeniem dla bezdomnych¹⁶”.

Brak możliwości przesiedlenia mieszkańców Pekinu uniemożliwiał rozwiązanie narastających problemów. Próbowano je łagodzić, wprowadzając różne formy interwencji. Już w latach 20. w jednym z baraków urządzono trzyklasową szkołę dla dzieci. Oprócz nauki dzieci dokarmiano, zaopatrywano w ciepłe ubrania. Przy barakach funkcjonował także punkt pomocy dla bezrobotnych. Gdy szkołę przeniesiono do nowego gmachu przy ul. Sobieskiego, z inicjatywy żony prezydenta Mackiewiczza urządzono w barakach świetlicę dla dzieci. Opisywał to reportaż w „Słowie”:

„Dziecko z dzieckiem. Niepozorna postać dziewczyny omatulonej w nędzną, zapewne matczyną, chuścinę. W zawojach tej chuściny niesie kilkumiesięczne dziecko. Siostrzyczki. Nie! Ta drobna, na lat czternaście wyglądająca dziewczynka, ma już szesnaście lat i jest już matką. Szesnaście lat – wiele na tak wątłe rozwiniętą dziewczynkę, mało, stanowczo za mało na matkę kilkumiesięcznego dziecka. Stoi oto ze swym żywym ciężarem przy jednym ze stołów jadalni i z apetytem zajada z miseczki zupę. I ona, i jej dziecko korzystają z dobroczynnej akcji dożywiania, a raczej wyżywienia dzieci w barakach miejskich. Słusznie, jest jeszcze dzieckiem i niczem nie różni się od swych rówieśniczek. Tyle, że jest już matką, gdy tamte chodzą jeszcze do szkoły, bawią się i martwią po dziecięcemu. Dobrze się stało, że dobroczynną akcją wyżywienia dzieci objęto te dwie bezzadne istoty – matkę-dziecko i jej dziecko. Bo i jakżeby to dziecko żywiło siebie i swe dziecko.

Elegant w bucikach. W tej to dużej sali jadalnej, pełnej gwaru, aromatu gorącej stawy, brzęku łyżek pracowicie wygarniających zupę z naczyń, między zbiedzonym i wymizerowanym ludkiem dzieciarni barakowej zwraca moją uwagę chłopczyzna lichy przyodziany. Na pozór nie wyróżnia się między rówieśnikami; chyba miną dumną i radosną i powagą, z jaką kroczy pomiędzy stołami. Wie, że jest przedmiotem zazdrości towarzyszy, więc usiłuje być poważnym, choć oczy mu się śmieją i co trochę pomykają ku własnym nogom. Już wiem: buty! – Nie, proszę pana: buciki! Czarne, z połyskiem, akuratnie dopasowane i nowiusienkie. Buty, to były tamte, stare buciska po ojcu, które już z nóg zlatywały i reperować ich nie można było, bo same dziury i łaty. (...)

Wczoraj i dziś. Mieszkańcy baraków wspólny i jeden tylko herb mają: nędzę. Dziś stanowią wielką rodzinę, którą gardzić nie należy, nie należy nawet współczuć – pomoc trzeba okazać i serce! Nóż, wódka, rozpusta – to było wczoraj i nie bez winy społeczeństwa, które mieszkańców baraków miejskich znało tylko z komunikatów policyjnych, publikowanych w prasie codziennej pod krzykliwymi tytułami. Dziś jest inaczej. W barakach na Stradomiu żyją ludzie, nieszczęśliwi, znękani przez nędzę i głód – ale ludzie, którzy mają prawo do życia, wychowują młode pokolenia i którzy kiedyś wrócą do społeczeństwa i zażądają przywrócenia im praw równości, które utracili nie ze swej winy.

16 O.O. *Salezianie żądają zniesienia baraków na Stradomiu*, „Słowo Częstochowskie” 1935, nr 212 z 15 września, s. 4.

Nie wiem, jak się to stało, że wielka przemiana w rodzinie mieszkańców baraków dokonała się tak nieobyczajnie po cichu. Nie było ani jednego balu na ten cel, ani odczytu, ani bankietu, ba! nawet komitetu, ani żadnej organizacji kobiet czy innej dobroczynności. Bez prezesów, członków zarządów, bez odezów, krzyku i częściej gadaniny, która w wielkim gwarze autoreklamy poprzedza często każdą akcję. (...) Baraki były rojowiskiem nędzy ludzkiej rodziny: starcy, dorośli obojga płci, młodzież i dzieci mieszkali wspólnie w brudnych korytarzach, oddzieleni jedynie zawieszonymi szmatami, oddzieleni jeno przestrzenią kilkucalową między łózkami. Drewniane, wspólne baraki nie były ogrzewane w zimie, a do szczęśliwych zaliczał się ten, kto zdobył osobny kąt. Dzieci wychowywały się w najpotworniejszych warunkach zdrowotnych i moralnych, a rodzice nie mieli żadnego wpływu na ulżenie ich niedoli. Choroby, nędza, głód i robactwo były wiernymi towarzyszami nieszczęsnych mieszkańców baraków. Tak żyło kilkaset rodzin ludzkich wśród społeczeństwa 120 tysięcznego powiatowego miasta jeszcze wczoraj nikt się o tych biedaków nie zatroszczył, nikt im z pomocą nie pospieszył. Jeno komunikaty policyjne głośliły: nóż, wódka, rozpusta – baraki na Stradomiu. Cnotliwa i moralna 120-to tysięczna Częstochowa gorszyła się tem stanem i tem zgorszeniem się zamykała bilans swej dobroczynności i współczucia dla nieszczęsnych rozbitków życiowych, których zły los zagnał do baraków na Stradomiu”¹⁷.

Dzięki „cnotliwej i moralnej” społeczności Częstochowy:

„O 1-ej po poł. w barakach odbyło się otwarcie dwóch świetlic, jednej dla dorosłych, drugiej zaś dla dzieci. Świetlica dla dorosłych mieści się w wielkiej sali, pełnej powietrza i światła, świetlica zaś dla dzieci z takiej samej sali i czterech pokoi. We wszystkich ubikacjach wesoło błyszczą nowe piece kaflowe. Przeznaczenie świetlicy dla dorosłych nie wymaga żadnych zbytecznych wyjaśnień i bezrobotni znajdują w niej godziwe rozrywki, dobroczynną lekturę, ciepło moralne i tak cenne dla ubogiego człowieka w ciężkim czasie zimowym ciepło fizyczne. W świetlicy dla dzieci odbywać się będzie dożywianie 500 dzieci i karmienie mlekiem 70 niemowląt. Z zestawienia tych dwóch cyfr widać, jak licznem potomstwem Opatrzność pobłogosławiła mieszkańców baraków”¹⁸.

V

Świetlica, dożywianie, to jakby łagodzenie nowotworu przyłożeniem plastra. Bieda ma różne oblicza, każde odstręczające:

„»Ojciec bez serca, nie dbał o żonę ani o dzieci, tylko wyjechał w świat do Prus za robotą, a gdy ją dostał, to nie dawał znaku o sobie, a matka pozostała się i męczyła z dziećmi. To było dawniej, a potem... Ojciec mój w 1919 r. wzięwszy kochankę, osiadł z nią na stałe w Mysłowicach na Śląsku. Ojciec

17 AS., *Wczoraj i dziś wielkiej rodziny rozbitków życiowych. Reportaż z baraków na Stradomiu*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 283 z 12 grudnia, s. 5.

18 *Radosne święto w szarym i ciężkim życiu mieszkańców baraków*, „Słowo Częstochowskie” 1934, nr 271 z 27 listopada, s. 3.

mój w początkach przyjeżdżał czasem do matki, może, że matka go kochała, bo pomimo krzywd, jakich doznała od ojca, zapragnęła dziecka...» W 1926 r. przyszedł na świat chłopczyk drobny, mizerny. Na dziecku się odbiły w łonie jej zgryzoty, które wtenczas przechodziła. I cóż ojciec? Grosza nie przysyła, choć nad nieszczęsnymi zawisła utrata mieszkania, za które od 2 lat nie płacą, choć matka zarabiała przy szosie (2 dni w tygodniu) 8 zł. tygodniowo, które w żaden sposób wystarczyć nie mogły. W swym pamiętniku młoda dziewczyna pisze to, o czym nigdy nikomu nie mówiła. Ojciec córce w niczym nie pomaga, bo nie chciała być jego kochanką. »Takie to żądania ojciec 45-letni miał do swej córki 24-letniej, powiedział, że gdy się zgodzę, wszystko mi posprawia i mogę na zawsze pozostać u niego«. I cóż ma zrobić młoda, ładna dziewczyna, od której nawet ojciec żąda takiej zapłaty za pomoc w ciężkim okresie bezrobocia? »Mówię do matki: Mamo, trzy drogi mam do wyboru. Jedna jest droga hańby, z której można żyć, lecz którą iść nie chcę, druga – śmierć, a trzecia droga – wyjść za męża«. Niestety, to wyjście za męża, na które się zdecydowała, pisząc przed rokiem – to jej tragedia: małżeństwo bez miłości, a nawet bez kariery, »to nie będzie karierą, lecz barjerą. (...) Matka jego pracuje 3 dni w tygodniu, on też czasem zarobi parę groszy... I cóż za życie będzie? Ja nie wiem... (...) bo żeby chociaż był ładny, tobym jakąś przyjemność czuła do niego, a tak, to nie chcę nawet blisko siedzieć przy nim, nie chcę, żeby jego dłonie pieściły me ręce... a co dopiero będzie, gdy jego ręce po ślubie będą chciały pieścić mnie?.. Bo teraz jest bardzo nieśmiały do mnie, gdyż czuje on ten chłód lodowaty, jaki wieje ode mnie. On wie, że ja go nie kocham, a nawet nie lubię, i nic sobie z tego nie robi, a tylko chce jak najprędzej ślubu... ja znowuż lękam się ślubu... bo co z kochanym jest upragnionem szczęściem... to z niekochanym czemś okropnem«¹⁹

– pisała młoda częstochowianka w opowiadaniu przesłanym na konkurs „Pamiętniki bezrobotnych”.

„Dziś mija 10 dni od chwili wyeksmitowania 3 rodzin bezrobotnych z domów przy ul. Wieluńskiej i 3 Maja. 10 długich, jak wieczność, dni. Jaką tragedję przeżywają ci nieszczęśliwi ludzie, skazani na obozowanie na ulicy na chłód i głód? Tragedję tę trudno wyrazić słowami, a jest ona tem większa, że przeżywają ją również nieletnie dzieci, skazane już w zaraniu młodości na prowadzenie życia koczowników. Od 10 dni codziennie prawie zwracaliśmy się z apelem do Tymczasowego Zarządu miasta o zajęcie się losem tych 3 wyeksmitowanych rodzin, przez udzielenie im jakiegokolwiek dachu nad głową. Domaga się tego całe społeczeństwo miejscowe. Magistrat pozostał jednak nieczuły na mękę, przeżywaną przez wyeksmitowanych. Nie wzruszył go okrzyk rozpaczki dzieci, które wskutek tyłodniowego bytowania pod gołym niebem obłożnie zachorowały. Wołania tych dzieci, mających w gorączce, słyszą codziennie liczni przechodnie – nie słyszy ich jednak nasz magistrat”²⁰

– taka, niewidziana przez magistrat nędza, spływała do Pekinu.

19 Wł. Weychard-Szymanowska, *Pamiętniki bezrobotnych*, „Głos Kobiet” 1933, nr 1 styczeń-luty, s. 5-6.

20 *Wędrówki częstochowoznawcze. Tato, daj jeść*, „Słowo Częstochowskie” 1933, nr 99 z 30 kwietnia, s. 4.

W pierwszym okresie jeszcze była nadzieja, przekonanie, że dostanie się jakąś pracę i dzięki niej wydobędzie się z baraków. Potem nadzieja zmieniała się w depresję, owocującą czasami eksplozją buntu, burzliwymi manifestacjami przed urzędem pracy i przed magistratem, które policja tłumić musiała z użyciem broni. Potem przychodziła rezygnacja... W barakach rządzili „pachanowie”, byli więźniowie uzurpujący sobie prawo narzucania własnych zasad, żądających wódki „za opiekę”, bezceremonialnie wyzerający obiad z cudzych garnków. Chłopi przyjmowali to z niemą pokorą, buntowały się baby, niejednokrotnie z pogrzebaczem czy drągiem w ręku broniące własnej strawy, ciała własnego i córek, resztek praw do intymności i godności. Dzieci...?

„Od dłuższego czasu widzi się, czy to przy zbiegu ulic Sobieskiego i Al. Wolności lub choćby na ul. Strażackiej, obok stacji towarowej całe gromady małych chłopców i dziewczyn, które oblegają wozy naładowane węglem, aby choć kawałek tegoż ukraść. Niejednokrotnie taki chłopiec czy dziewczynka dostanie batem po głowie, niejednokrotnie w pośpiechu zeskakując naraża się na kalectwo złamania nogi, a mimo to wciąż widzi się jedne i te same twarze obdartych dzieci. Atak na wozy odbywa się pewną metodą albo zbiorowo ze wszystkich stron, wówczas jeden z chłopców poświęca się i dostaje baty od woźnicy, ale reszta zdąży ukraść po kilka kawałków węgla lub pojedynczo z tyłu, ściągając go drutami. Za każdym prawie wozem sunie gromada czyhających dzieci, co wywiera na przechodniach nader przykre wrażenie”²¹.

„Węglokrady” to widok częsty w czasach wojny i wielkiego kryzysu lat 30. XX w. Na ul. Sobieskiego ryzykowały oberwanie batem, gorzej było na torach kolejowych, tam strażnicy nie wahali się strzelać do dziecka. Ryzyko było wszędzie: kradniesz owoce z sadu, psem ostrym poszczują; robisz za „pajęczarza”, zrywasz bieliznę ze sznura, jak cię dopadną, nie oddadzą w ręce policji, kijami dla nauczki skórę wygarbują. Bez tego ryzyka nie ma życia. Świat Pekinu stawał się jedynym światem wychowanych tu dzieci. Światem ludowego darwinizmu, gdzie by przeżyć, trzeba było być silnym. Wzorem kariery był „pachan”, stary złodziej, bandyta. Malce zaczynały od kradzieży owoców, подростки stawały się węglokradaми. 14-latkowie mieli już swoje „żony”, które wypuszczali „na zarobek” na Śląsk. O niektórych rodzinach krążyły legendy:

„Rodzina Szymaszków znana jest w Częstochowie z kradzieży i innych przestępstw, za które pokutowała lub pokutuje w więzieniu. Matka Marjanna, kochanka znanego złodzieja i bandyty Nowickiego, który przed trzema laty usiłował zamordować policjanta w Sieradzu i za to odsiadyuje karę 8-letniego ciężkiego więzienia, odsiadyuje karę 1-rocznego więzienia za różne kradzieże, syn jego, Władysław karany już był kilkakrotnie za kradzieże kieszonek, z włamaniem itd. Władysław Szymaszek, wychowany w atmosferze cuchnącej przez matkę, której opinia już w latach najmłodszych była najgorszą, poszedł w jej ślady i już jako kilkunastoletni chłopak dopuszczał się kradzieży, za co przebył jeden rok w zakładzie poprawczym w Studzieńcu. Po wyjściu stamtąd nie tylko, że się nie poprawił, ale sztuczkami złodziejskimi zaczął wkrótce dorównywać matce, którą wreszcie prześcignął, dając się poznać

21 *Gromady grasujących dzieci*, „Gazeta Częstochowska” 1938, nr 22 z 28 stycznia, s. 3.

licznym mieszkańcom miasta i okolic, jako niebezpieczny opryszek, budzący postrach, a policja i sądy miały z nim niemało do czynienia, notując stale nazwisko syna łotrowskiej rodziny”²².

Proceder bywał przeróżny:

„Coraz więcej uprawiają „trzy karty” różne szumowiny miejskie, które uprawiają ten oszukańczy hazard od dziada, pradziada. Krzewiciele kultu „dziadowskiego” ostatnimi czasy, są gorliwie tropieni przez policję, mimo to ciągle polują na niewinnych „baranków”. Onegdaj dwaj nieznani osobnicy wciągnęli do oszukańczej gry p. Józefa Buczwalda (Bociania 2), gdy wracał z baraków miejskich z otrzymaną tam zapomogą. Na ulicy Nowokieleckiej urządzono „jaskinię” gry i po upływie kilku minut spostrzegł p. Buczwald, wprowadzie po niewczasie, że opryszki naciągnęli go na 30 złotych, poleciał tedy do komisariatu i zwierzył się urzędującemu policjantowi ze swego zmartwienia. Policjant przyrzekł stroskanemu p. Józefowi zająć się schwytaniem opryszków”²³.

„Od dłuższego czasu złodzieje miejscowi obrali sobie za teren swych operacji ulicę św. Barbary i w ostatnim czasie bardzo często zdarzają się tam kradzieże, z których ani jedna nie została wykryta i tak: przy ul. św. Barbary Nr. 5 skradzione zostały kury, gęsi, świnię itp., a w nocy z wtorku na środę znów operowali złodzieje w domu przy tejże ulicy Nr. 15a. Poodrywali wszystkie kłódki w komórkach, a ponieważ lokatorzy tego domu, doświadczeni już poprzednimi kradzieżami, wszystek drób zabierają na noc do mieszkań, wobec czego złoczyńcy nie mogli niczem się obłowić”²⁴.

Drobna kradzież, napady, wymuszenia, ale pewne zasady utrzymywały normę. Nóż wyjmowano tylko dla postrachu, zabić było ciężkim grzechem, chyba że w grę wchodził odwet lub zemsta. Od świata zewnętrznego niczego dobrego nie oczekiwano, świat zewnętrzny miał twarz policjanta, a z nim nie honor było rozmawiać.

VI

Nazwa Pekin upowszechniła się po wojnie. Wcześniej były to po prostu „baraki”. W czasie okupacji niemieckiej baraki uległy likwidacji. Wynikało to z kilku powodów. W 1943 r. okupanci utworzyli na południe od II Alei dzielnicę niemiecką, wysiedlając polskich mieszkańców. W tym samym roku przedłużono ulicę Śląska do ul. Sobieskiego, władzom okupacyjnym zależało więc na utrzymaniu porządku i bezpieczeństwa w „czworokącie”: II i I Aleja, al. Wolności do Domu Księcia (zajętym najpierw na apartamenty dla oficerów, potem także na szpital) i zabudowania b. dworca herbskiego, ul. Sobieskiego, ul. Pułaskiego. Powrócono także do wykorzystania otoczenia stacji Stradom przy kolei herbsko-kieleckiej dla potrzeb wojska; z tym, że w odróżnieniu od poprzedniej wojny ważniejszy był tu przeładunek nie ludzi, lecz sprzętu, amunicji, paliwa.

22 *Stały mieszkańiec kryminatu*, „Słowo Częstochowskie” 1932, nr 8 z 12 stycznia, s. 3.

23 *Na krańcach miasta hazard wciąż kwitnie*, „Słowo Częstochowskie” 1932, nr 39 z 18 lutego, s. 3.

24 *Uwagze władz*, „Słowo Częstochowskie” 1931, nr 6 z 21 marca, s. 3.

Baraki zostały w 1943 r. opróżnione, przeznaczone pod magazyny. Ludność z baraków przeniosła się do opuszczonych domów dzielnicy żydowskiej. Gdy odeszły wojskowe władze niemieckie, a po nich sowieckie, do baraków ponownie wróciła bieda.

W skromniejszym wymiarze odrodził się Pekin. Drugi kres Pekinu miał charakter święta państwowego. 1 maja 1956 r. chciano symbolicznie podkreślić, że nastął kres stalinowskich „błędów i wypaczeń”, że od teraz władza jest z ludu i dla ludu. Zgromadzeni na placu lokatorzy baraków wysłuchali przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej Bolesława Baranowskiego, następnie załadowali swój dobytek na furmanki i samochody. 77 rodzin przeprowadzono do nowych mieszkań, 5 do wyremontowanych w starych domach, troje samotnych starców przeniesiono do domu starców. Pod opuszczone baraki podłożono ogień. Całość tej ceremonii sfilmowano i prezentowano w Polskiej Kronice Filmowej. „Na miejscu spalonych dziś baraków stradomskiego Pekinu (...) już w przyszłym roku rozpoczęta zostanie budowa nowoczesnego osiedla mieszkaniowego, zaczątku nowej dzielnicy Śródmieście II – oświadczył uczestnikom pogrzebu stradomskich baraków Bolesław Baranowski – Tu, gdzie w latach międzywojennych panowały nędza i rozpacz, zapanuje na zawsze w nowym pięknym osiedlu słoneczna radość”²⁵.

„Uroczyscie” wyprowadzeni mieszkańcy baraków zajęli nowy blok wybudowany przy ul. Sobieskiego. Wcześniej część rodzin wyprowadzono do bloku przy al. Pokoju na Rakowie. Mieszkańcy baraków, przybyli po wojnie ze wsi podczęstochowskich, mieli swoje specyficzne, wiejskie zwyczaje. Do dziś się wspomina, jak do bloku przy ul. Sobieskiego przenosili się z kurami, królikami, a nawet świniakami, które próbowano hodować w piwnicach²⁶.

W barakach na Stradomiu mieszkały 82 rodziny. W tym samym czasie w zrujnowanych domach przeznaczonych do rozbiórki było 325 rodzin, w suterynach (piwnicach) 668 rodzin, na poddaszach 641, w innych nieodpowiednich lokalach 439. W sumie mieszkania pilnie potrzebne były dla 2 155 rodzin (8 335 osób). Dodatkowo 786 rodzin mieszkało w nadmiernie zagęszczonych mieszkaniach, tzw. komunalkach, gdzie jedno większe mieszkanie przydzielone było kilku rodzinom. Pekin okazał się trwalszym niż miejsce tak nazywane. Pekinem w latach 60. nazywano stare kamienice czynszowe na Rakowie i Ostatnim Groszu, domy fabryczne na Wyczerpach, wiele innych miejsc, delikatnie określonych jako „substandardowe”, do których wprowadzano socjalistyczną biedotę. Pekinem stał się także Dom Księcia, gdy po 1956 r. wojsko przekazało go miastu. W zrujnowanej kamienicy zakwaterowano blisko 300 rodzin. Na parterze urządzona została izba wytrzeźwień. Naprzeciwko był „Węglóbok”, gdzie można było zarobić na opróżnianiu wagonów, a przy okazji podebrać dla siebie wiaderko węgla. Kroniki milicyjne obfitowały w historie z życia codziennego „nowego Pekinu”, a dzieci z Domu Księcia stały się, jak ich poprzednicy, synonimem zagrożenia ładu i porządku publicznego.

Dzieje Pekinu nie mieszczą się w żadnej historii ani oficjalnej-państwowej, ani w prywatnej, bo życie „bez wartości” ulega zatarciu. Takie Pekiny istniały i istnieją w każdym mieście. Dziś nazywa się je budynkami z mieszkaniami socjalnymi i prowadzi „w tym temacie” odpowiednio skonstruowaną politykę społeczną. Istnieje nawet pewna ciągłość myślenia; chodzi o to, by biedę, zło i patologię wyprowadzić z normalności i schować gdzieś na uboczu. Potem kolejne diagnozy wskazujące, że wyodrębnione rodziny dysfunkcyjne stają się jeszcze bardziej dysfunkcyjnymi, a mieszkańcy zamiast pozytywnie

25 „Gazeta Częstochowska” 1956, nr 4, 1-15 maja, s. 1.

26 Informacje o powojennym Pekinie przekazał Zbigniew Wolniczek.

się socjalizować, oddają się picciu wódki i paleniu ognisk w mieszkaniach; zatem tego typu diagnozy wskazują na konieczność otaczania Pekinów drutem kolczastym i przykrywania kopułą betonową. Z drugiej jednak strony owe diagnozy i analizy pozwalają nam uzasadniać podnoszenie podatków, tworzenie nowych programów i nowych instytucji, służących do walki z biedą, nędzą, demoralizacją, czyli z Pekinem. Tym samym, tak jak nie ma normalności bez nienormalności, dobroczynności bez biedy, policji bez złodziei, tak i nie ma miasta bez Pekinu.



Baraki – Pekin. Podpalenie i zniszczenie baraków w 1956 r. po wyprowadzeniu mieszkańców, foto ze zbioru ODDC Muzeum Częstochowskiego (dr Juliusz Sętowski), kolekcja Baczyńskiego



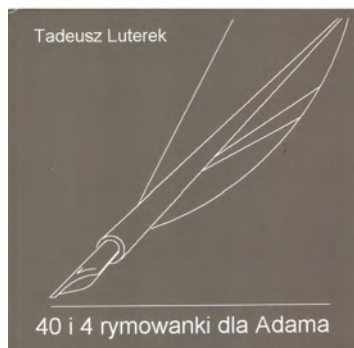
Zbysław Janikowski, *Moja Częstochowa w PRL, mój PRL w Częstochowie. Tylko dla cierpliwych*, Drukarnia „Garmond” Krzysztof Kubara, Częstochowa 2019.

Osobista książka opowiadająca o życiu w Częstochowie w czasach PRL. Autor wybrał gawędziarski sposób prowadzenia narracji, pełen dystansu, humoru i zadumy, dzięki czemu czyta się ją z wielką przyjemnością. Wątki zostały przypisane do poszczególnych miesięcy, stąd książka liczy 12 miesięcy oraz, co ciekawe, kilka zakończeń. Opowieść uzupełniają fotografie ze zbiorów prywatnych. [B.S.]



Janusz Jano Mielczarek, *Motocykl Pana Kafki. Opowiadania krótkie, niemęczące*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2020.

Wybór 17 opowiadań, w tym *Bóg da mi konie*, które ukazało się w „Twórczości”, uzupełniony 23 miniaturami, poprzedzony autorskim wstępem i zakończony posłowiem-listem Oli Keller. Autorem ilustracji jest Jacek Pałucha. Na okładce krótka recenzja Bogdana Knopa, fragment tekstu Barbary Strzelbickiej i fotografia autorstwa Elżbiety Jolanty Goli. Jednym słowem: Janusz Mielczarek wśród przyjaciół! [B.S.]



Tadeusz Luterek, *40 i 4 rymowanki dla Adama*, Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2020.

Tomik konsekwentnie Mickiewiczowski: od tytułu, poprzez formę aż do treści wierszy. „Rymowanki”, choć pozbawione tytułów i opatrzone jedynie numerami, zwykle już w pierwszym wersie zdradzają temat lub adresata apostrofy. Napisane 11- lub 13-zgłoskowcem, ujęte w 5 dystychów, podejmują istotne dla duchowego życia wątki. Słowem wstępnym opatrzyli tomik historyk sztuki Adam Wojciechowski oraz historyk Andrzej Chwalba. [B.S.]

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Zbudzić się przed zaśnięciem*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019.

Arkadiusz Frania o powrocie pisarki „po 10 latach milczenia publikacyjnego (...), jest to *comeback* obfity, bo na zbiór składa się aż 105 tekstów. Trzydzieści lat temu w jednej z autoprésentacji pisarka złożyła deklarację, która zachowuje swoją aktualność: »Jestem cierpliwa i... czekam. A póki co, nie rozstaję się z długopisem i niech wiersze same mówią o sobie«. (...) pozostaje wierna własnej dykcji poetyckiej i wrażliwości, nie podszywa się pod nikogo, nie fałszuje przekazu”.



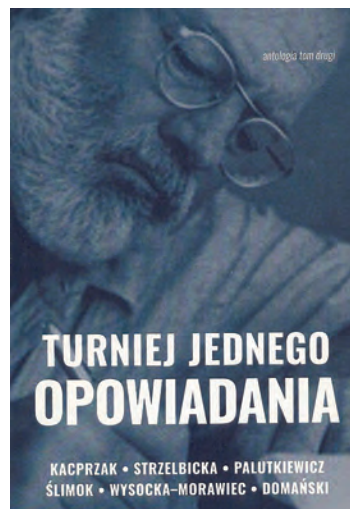
Jacek Gierasiniński, *Nic tak szybko w życiu nie umiera jak wiersze*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019, wydano w serii Biblioteka Galerii.

Czwarty tom poetycki autora, tym razem opatrzony słowem wstępnym Arkadiusza Frania, zatytułowanym wymownie *Jacek Gierasiniński – poeta krwi o wysokiej temperaturze wrzenia*, w którym znajdziemy następujące stwierdzenie: „Możliwe, iż pisarz (...) traktuje liryki jako brulion (...) duszy, (...) w polityce poetyckiej autora nadmierne czułość zabija puls liryzmu, gasi jego oddech, fałszuje wiersze, udaje je, a nie stwarza”.



Turniej jednego opowiadania. Antologia. Tom drugi, red. Michał Wilk, Koło Literackie Anafora, Częstochowa 2019.

Książka zawiera krótkie (pięciominutowe, co wynika z regulaminu turnieju) teksty, nagrodzone w Turnieju Jednego Opowiadania, organizowanego przez Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w sezonie czerwiec-listopad 2018 r. Ich autorami są: Kuba Kacprzak, Barbara Strzelbicka, Emilia Ślimok, Marek Palutkiewicz, Paulina Wysocka-Morawiec i Sławomir Domański. Książka została dofinansowana przez OPK „Gaude Mater”. [B.S.]





Z głębokim smutkiem żegnamy zmarłego 6 kwietnia 2020 r.

Zbislawa Janikowskiego,

inżyniera włókiennika, pisarza, felietonistę i satyryka, częstochowianina
i wielkiego miłośnika Częstochowy.

Był autorem książek wspomnieniowo-reportażowych, satyrycznych, książeczek dla dzieci, artykułów oraz niezapomnianych Częstochowskich Szopek Noworocznych, inicjatorem spotkań „Zbislaw Janikowski rozmawia z...”, współscenarzystą i komentatorem filmów o Częstochowie. Za swoją działalność został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, srebrną odznaką „Zasłużony dla Województwa Śląskiego”, honorową odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” oraz Nagrodą im. Karola Miarki. Wieloletni członek Towarzystwa Galeria Literacka i współpracownik „Galerii”, w której systematycznie publikował felietony.

Zespół redakcyjny Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”
Zarząd i członkowie Towarzystwa Galeria Literacka

Jan Ciesielski

AKTUALNOŚCI

Gazety pęcznieją w tematach,
tematy pęcznieją od treści,
choć sztuka już zesła z afisza,
znów w nowych realiach się mieści.

Są tacy, co kupili
abonamenty mądrości,
są tacy, co wykpiłi
poprzebierane wartości.

Programy wciąż nowe się głosi
i stroje, i miny wciąż świeże,
dobrobyt znów wzrasta wśród ludu
i dawne sztandary się pierze.

Są tacy, co kupili
abonamenty mądrości,
są tacy, co wykpiłi
poprzebierane wartości.

A nam już w tej pomyślności
coraz trudniej się schować;
co proste, zawiłym się staje,
więc uczmy się abstrahować!

Są tacy...

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska,
Alicja Nowak, Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek,
Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa, Anna Jędryka, Zbysław Janikowski.

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czystochowa.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Anna Gorejowska, „Zagubiony archipelag – Podróż I”

mała **GALERIA**



Anna Gorejowska, „Księżycowe sny”



Anna Gorejowska, „Wieczorny wiatr”